

Karen Young

# MILCZENIE NOCY



# Milczenie nocy

## 1

- Mam zamiar iść do pracy.

Minęło parę sekund, nim Jake McAdam oderwał wzrok od kolumny sportowej i spojrzał na żonę. W porannej ciszy jej głos zabrzmiał cicho i miękko. Melodyjnie. Jake zawsze uważał, że Rachel ma melodyjny głos. Była to jedna z pierwszych rzeczy, jakimi go ujęła. Wyprostowawszy się na krześle, patrzył na nią przez chwilę. Stała do niego plecami, szczupła i prosta, przyglądając się walce dwóch kolibrów o miejsce przy karmniku za oknem. W kuchni panowała cisza. Zbyt wielka cisza. Czy przywyknie kiedykolwiek do tej ciszy? Wypił łyk czarnej kawy, skrzywił się na jej gorycz.

- Czy to przesadzona sprawa - zapytał odstawiając delikatnie filiżankę- czy też możemy o tym porozmawiać?

- O czym tu rozmawiać?

Odłożył gazetę i wstał.

- Gdzie, Rachel?

Wzruszyła jednym ramieniem.

- Może w banku, nie wiem.

Jake wciągnął głęboko powietrze.

- W którym banku?
- Pierwszym Stanowym.
- I co byś tam robiła?

Obróciła się, popatrzyła na niego. Na jej twarzy nie malowało się żadne żywsze uczucie.

- Jakaś pracę biurową. - Wzruszyła znów ramieniem.
- Czy to nie wszystko jedno?
- Jeśli wszystko jedno, to po co chcesz iść do pracy?
- Bo nie mogę dłużej siedzieć w domu. Zwariuję, jeśli nie zacznę czegoś robić.

Jake podrapał się zmęczonym ruchem po szyi.

- Czy to potrzebne, Rachel? Zarobisz marne parę dolarów, które prawdopodobnie przesuną nas tylko do wyższej grupy podatkowej.

- Chcę się wyrwać z domu.

Uciec od tej pustki. Od wiecznych wspomnień. Może to i racja? Może przyniesie jej to rzeczywiście ulgę? Jake przesunął palcem po kancie gazety. Jemu zatopienie się w pracy nic nie dało. Choćby nie wiem ile spraw wtłoczył w dzień roboczy, nie było to w stanie odciągnąć jego myśli. Mój Boże, trudno jej się dziwić, że chce uciec z domu. Sięgnąwszy po gazetę, stracił ze stołu filiżankę. Zaklął na dźwięk tłukącej się porcelany.

- Ja to sprzątnę - oznajmiła Rachel, kierując się do schowka po szczotkę i szufelkę.
- Przepraszam - bąknął.

Schyliwszy się szybko, Rachel zaczęła zmiatać skorupy. Z dworu dobiegło gorączkowe szczekanie. W sąsiednim domu trzasnęły drzwi, po czym chłopięcy głos rzucił psu komendę. Następnym dźwiękiem był zbliżający się warkot dużego pojazdu.

Autobus szkolny.

- Nie zapomnij wynieść śmieci - powiedziała zdławionym głosem. - Dzisiaj wywożą.

- Już to zrobiłem. - Jake podsunął jej kubeł, wiedząc, że nie bardzo widzi przez łzy. - Włożyłem do kubła nową torbę.

- To dobrze.

Z dworu doszedł pisk hamulców. Jake i Rachel obrócili twarze do okna. Autobus zatrzymał się, żeby zabrać Timmy'ego, sześciolatek z sąsiedniego domu. Timmy krzyknął do Maksa, wielkiego labradora, który go pożegnał ekstatycznym szczekaniem. Autobus, przełączając z chrzęstem biegi, odjeżdżał powoli. Po chwili zaległa cisza.

Jake podszedł do kontuaru i nalał sobie nową filiżankę kawy. Odchrząknął.

- Mogłabyś się zgłosić do pomocy w magistracie. Zaczyna się rejestracja przedwyborcza. Z otwartymi ramionami przyjmą każdą wolontariuszkę.

- Dlaczego?

Podniósł na nią zdziwiony wzrok.

- Co dlaczego?

- Dlaczego miałabym się zgłaszać na wolontariuszkę? Uważasz, że nie jestem zdolna do pracy zarobkowej?

- Nie to miałem na myśli.

- Ukończyłam studia, Jake. Czyż nie powinnam tego wykorzystać?

- Oczywiście. Chciałem tylko...

- Nie mogę powiedzieć, żebyś mnie kiedykolwiek do tego zachęcał - oznajmiła z goryczą.

- No, może trochę zapomniałaś, ale...

- Dziękuję bardzo. Przy takiej zachęcie ze strony własnego męża, jak mogłoby mi się nie powieść?

Jake walnął pięścią w stół. Uderzenie huknęło w kuchni jak strzał.

- Czego ty, u diabła, ode mnie oczekujesz, Rachel? Idź, na miłość boską, do pracy! Ja ci nie stawiam przeszkód, chociaż spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Wysunąłem najlogiczniejszą w świecie propozycję, ale tobie to oczywiście nie w smak, bo wyszło ode mnie. Próbuję wyrazić zrozumienie dla twojego niepokoju o znalezienie pracy po tylu latach w domu, ale ty tego nie chcesz przyjąć. Więc jak cię mam usatysfakcjonować? Powiedz, jakiej chcesz odpowiedzi, to cię spróbuję zadowolić.

- Nic od ciebie nie chcę - odpała. - Nie powinnam była w ogóle zaczynać tej rozmowy. Czy nie możesz się raz postawić w mojej sytuacji? Ty sobie wychodzisz codziennie rano, żeby się zagrzebać w swojej pracy. Szeryf Jake McAdam, stróż prawa hrabstwa Kinard! Przez dwanaście godzin możesz nie myśleć o niczym innym. Pięknie! Jeśli ci z tym dobrze, postępuj tak nadal. Ale nie powstrzymuj mnie, kiedy szukam sposobu, żeby nie zwariować, dobrze?

Jake odstawił ze szcęką filiżankę i, mamrocząc pod nosem, sięgnął po marynarkę. Żadne logiczne argumenty nie przemawiają ostatnio do Rachel. Szczególnie gdy wpadnie w jeden z tych swoich humorów.

- A przy okazji - rzuciła ku jego plecom, kiedy otwierał drzwi - może znajdziesz w swoich rozlicznych zajęciach wolną chwilę, żeby spróbować odnaleźć naszego syna!

Po trzaśnięciu drzwi, w kuchni zapadła inna niż przedtem cisza. Rachel, założywszy ręce na piersi, jęła się wolno kołysać w przód i w tył. Po policzkach płynęły jej palące łzy. Zamknęła oczy, skuliła się w pół i pozwoliła owładnąć rozpa-

czy. Znała dobrze tę czarną otchłań, w której mogła nie myśleć, nie czuć. Wystarczyło w niej się pograżyć, a czas mijał. To było teraz najważniejsze. Żeby mijał czas. Życie zależało od tego, by dotrzeć do chwili, gdy ból i rozpacz zelżeją nieco, staną się znośniejsze.

Po paru minutach pociągnęła nosem. Po omacku poszukała w kieszeni szlafroka bibułki kosmetycznej, którą nosiła teraz zawsze, bo oczy wypełniały jej się często bez ostrzeżenia łzami. Mogło to się zdarzyć w każdej chwili - kiedy brała prysznic, prowadziła auto, stała w kolejce do kasy w supersamie, budziła się w środku nocy. Łzy, które wylała od czasu, gdy Scottie...

Pierś przeszły jej ból, nagły i ostry jak strzała. Wielki Boże, gdzież on jest? Gdzie jest jej dziecko? Nie mogła dotąd uwierzyć, że zniknął, przepadł jak kamień w wodę. W jednej chwili bawił się z Johnem-Johnem i Timmy'm, w następnej został uprowadzony przez kogoś, przez coś, przez jakieś...

Wyprostowała się i jąta pośpiesznie wycierać policzki, nos. Wiedziała, do czego to prowadzi, jeśli się nie opamięta i puści wodze wyobraźni. W ciągu minionych trzech miesięcy znajdowała się wiele razy na skraju przepaści. Nie wolno jej więcej wyzywać losu. Równowaga, którą udaje jej się utrzymać od zniknięcia Scottiego, jest zbyt niepewna. Dlatego postanowiła iść do pracy, uciec z domu przynajmniej na część dnia. Tutaj wszystko go przypomina. Sześć lat drogocennych wspomnień żyje pod tym dachem. W pokojach rozbrzmiewa echo dziecięcych śmiechów i krzyków, zatraskiwanych drzwi i biegnących stopek. Chwilami była pewna, że serce jej pęknie z bólu. Czemu Jake nie może zrozumieć, że ona musi coś zrobić?

Nowe ukłucie w piersi, inne, ale nie mniej niepokojące,

kazało jej podbiec do zlewu. Odkręciła kurek i jęła gorączkowo zmywać filiżanki, łyżki, szorować kontuar, na który Jake rozlał kawę, kiedy dopiekła mu już za bardzo. Czemu to zrobiła? Czemu nie może się pohamować, aż on traci panowanie i zaczynają na siebie krzyczeć? Czyż nie potrzebują się nawzajem jeszcze bardziej w takiej chwili? Czyż nie powinni jedno w drugim szukać ukojenia we wspólnej żałobie? Co gorsza, dlaczego mu to powiedziała?

Przestała zmywać, dłonie jej znieruchomiały. Zamknęła oczy, słysząc ponownie swoje okrutne słowa. Nie widziała jego twarzy, bo odwrócił się plecami, wiedząc, że gdy się odezwie, kłótnia będzie trwała, zaczną padać słowa raniące coraz dotkliwiej, oskarżenia coraz absurdalniejsze. Nie rozumiała, dlaczego to robi, dlaczego nie potrafi się pohamować. Wiedziała tylko, że musi sobie znaleźć coś dla oderwania myśli. Jest u kresu sił i jeśli chce to przeżyć, tylko ona sama może sobie pomóc.

Potrzebowała całej koncentracji, żeby dokończyć zmywania, po czym ruszyła na górę wziąć prysznic i ubrać się. Mijała telefon, kiedy zadzwonił. Była to jej siostra.

- Nie zjadłabyś ze mną lunchu u Flanagana? O wpół do drugiej jestem umówiona z klientem, ale będziemy miały trochę czasu dla siebie. Co ty na to?

Suzanne prowadziła od ośmiu lat własną firmę. Była piękną popielatą blondynką o bursztynowych oczach, niewyczerpanej energii i pewności siebie, uwielbianą przez męża, który pragnął jej przychylić nieba. W dodatku miała trójkę dzieci.

- Nie wiem, Suzy. - Rachel wpatrywała się w kubeł ze skorupami filiżanki zbitej przez Jake'a. - Mam coś dzisiaj załatwić. Wiem, jaka jesteś zajęta, więc nie chciałabym się umawiać i później odwoływać.

- Nie jestem nigdy taka zajęta, żeby nie móc zjeść lunchu

z moją małą siostrzyczką. Ale tego nie muszę ci mówić. A co masz do załatwienia? - Zawahała się. - Chodzi o Scottiego? Jest jakiś ślad?

- Nie, nie. Nic w tej sprawie. Prawdę mówiąc, może to nie być w ogóle nic. W każdym razie nic naglącego...

- Wolnego. Usiłujesz mi coś powiedzieć, ale tak kołujesz, że nic nie rozumiem. Powiedz wyraźnie, co cię nurtuje.

- Chcę pójść do pracy.

- Brawo! Najwyższy czas. Gdzie?

- Jeszcze nie wiem. Może w banku.

Chwila milczenia.

- I co byś tam robiła, kochanie?

- To samo pytanie zadał mi Jake.

- Cóż, jeśli ktoś mówi, że chce iść do pracy, pierwsze pytanie, jakie się nasuwa, to gdzie, a drugie, co chce robić.

- Racja.

- I?

- Nie wiem, w jakim banku, bo jeszcze nie złożyłam nawet podania. A skoro nie złożyłam podania, nie wiem, co bym tam robiła. - Rachel westchnęła. - Nie wiem, czy mam w ogóle szansę dostania pracy w banku. Zresztą gdzie indziej też.

- Och, dostaniesz pracę. Będziesz przebierała w ofertach. To najlepszy pomysł, jaki ci przyszedł do głowy od czasu...

- Od czasu zniknięcia Scottiego? - spytała cicho Rachel.

- Tak, kochanie. Musisz się czymś zająć, żeby nie rozmyślać o tym bez przerwy. - Suzanne zrobiła pauzę. - Ale matka nie była nigdy twoim najmocniejszym przedmiotem w szkole.

- Była najsłabszym.

- Więc czemu, na miłość boską, chcesz szukać pracy w banku?

Rachel wzruszyła ramionami.



- Masz lepszy pomysł?
- Nie myślałaś o szpitalu? Przecież znasz Rona Campbella?
- Znam.
- I udzielasz się tam jako wolontariuszka?
- Udzielałam. Fakt, robiłam dużo.
- Ron jako dyrektor administracyjny znajdzie ci z pewnością coś odpowiedniego. Nie zwlekaj - poradziła. - Wysztafiry się i jedź tam, zanim ci się odmieni.

Rachel oparła czoło o ścianę. Gdyby miała choć część energii i pewności siebie siostry, nie potrzeba by było aż takiego kryzysu, żeby się zdobyła na poszukanie sobie głupiej pracy. W ogóle, mając charakter Suzy, nigdy by się nie znalazła w obecnej sytuacji. Prowadziłaby dom, wychowywała dzieci, trzymała krótko męża, robiła karierę zawodową i na dodatek brała bez trudu wszystkie zakręty życiowe. Zamiast tego, dobiegając czterdziestki, szamocze się teraz, żeby nadać jakiś sens egzystencji, jaką prowadziła przez te wszystkie lata.

- Rachel?
- Słucham.
- Co do tego doprowadziło?
- Czemu pytasz? Co w tym dziwnego, że chcę wreszcie sama pokierować swoim życiem?

Suzanne milczała chwilę.

- A co na to Jake?
- Nic. W każdym razie nic konstruktywnego. Powiedział, żebym robiła, co mi się podoba. Rada z gatunku tych, jakich by udzielił dziecku wybierającemu w sklepie zabawkę.
- Jake pragnie, żebyś była z powrotem szczęśliwa, Rachel
- odrzekła cicho Suzanne.
- Więc niech odnajdzie Scottiego.

Wszedłszy do Urzędu Szeryfa Hrabstwa Kinard, Jake skierował się prosto do swego gabinetu. Nie zwalniając kroku odpowiadał skinieniem głowy na pozdrowienia. Do jego uszu docierały znajome odgłosy poniedziałkowego ranka. Teleks wystukiwał jakieś wiadomości. Ktoś zatrzaskał szufladę kartoteki. Frank Cordoba, szef detektywów, mówił coś podniesionym głosem do telefonu, po czym rzucił słuchawkę. Nastąpiła ożywiona wymiana zdań między nim a jednym z zastępców, która zakończyła się wybuchem wspólnego śmiechu. Obydwaj jęknęli, kiedy radiooperatorka Mavis przyniosła im jakiś radiogram.

- Kawy, Jake? - zapytała Mavis, kiedy dochodził do drzwi gabinetu.

- Dziękuję - odparł biorąc od niej kubek.
- Masz gości.

Zatrzymał się z ręką na klamce, zrobił głęboki wdech.

- Co za gości?
- Szefa Gonzalesa.

Tylko tego brakowało! Już ten facet umili mu dzień! Szef policji miasta, J.B. Gonzales. Jake dobrze wiedział, że różne grube ryby Tidewater ostrzą sobie zęby na urząd szeryfa, a Gonzales już wysunął swoją kandydaturę w listopadowych wyborach. Chwytał się teraz wszelkich sposobów, żeby jego nazwisko pojawiało się jak najczęściej w prasie. Ponieważ większa część hrabstwa znajdowała się poza jego jurysdykcją, zadawał sobie wiele trudu dla skierowania uwagi publicznej na narkotyki napływające do miasta, a odwrócenia jej od spraw dziejących się w jego obrębie.

- Przeprowadził ze sobą Crenshawa.

Jake się zmarszczył. Joe Crenshaw był dyrektorem miejskiego liceum. W szkołach obniżyła się ostatnio radykalnie

liczba incydentów z narkotykami, więc z czym może przychodzić Joe?

- Czekają w gabinecie?

Mavis kiwnęła głową i zrobiła do niego minę, która przywiodła na jego usta pierwszy szczery uśmiech tego dnia.

- Idź, dołóż im, szefie - powiedziała.

Uśmiech błąkał się wciąż w jego szarych oczach, kiedy otworzył drzwi. Ciemne oczy i kruczoczarne włosy Gonzalesa potwierdzały jego kubańskie pochodzenie. Czekający obok niego Joe Crenshaw miał nieco niepewną minę i lekkie rumieńce na bladych policzkach.

- Dzień dobry, panowie.

Gonzales skwitował pozdrowienie z gładką swobodą polityka, nie patrząc jednak Jake'owi w oczy. Crenshaw skinął głową i podniósł się z wyciągniętą ręką.

- Mam nadzieję, żeśmy ci nie weszli w paradę, Jake - powiedział. - Jest wcześnie, ale...

- Drzwi szeryfa są zawsze otwarte, nawet w poniedziałek rano - przerwał mu Gonzales. - Prawda Jake?

- Tak jest, J.B.

Jake zdjął marynarkę, powiesił ją na sfatygowanym wieszaku. Idąc w stronę biurka, jął zawijać mankiety koszuli. Zawsze przychodził do biura w marynarce, zdejmował ją jednak, gdy tylko się znalazł w swoim gabinecie. Mavis dokuczała mu stale z tego powodu. Jakim cudem chce zachować autorytet, urzędując w koszuli z podwiniętymi rękawami?

Mało go jednak obchodziło, jak ludzie go widzą. Liczyły się rezultaty. Dwanaście lat temu, kandydując na szeryfa, obiecywał w kampanii wyborczej wyeliminować spelunki hazardu i prostytucji, które się rozmnożyły wokół miasta. Zajął mu to trzy lata, ale je wyeliminował. Narobił sobie jednak

przez to mnóstwo wrogów. A na tym się nie skończyło, bo później położył kres licznym przedsięwzięciom kryminalnym. No, i pokrzyżował szyki wielu przestępcom. Zapominając o gościach, zamarł wpatrzony teraz w swoje ręce. Czy to jest właśnie to ogniwo, którego nie może odnaleźć? Czy Scottiego uprowadził ktoś mający z nim na pieńku? Ale kto? Który z tych ludzi?

Jak, u Boga, odnajdzie zaginionego syna?

- Mamy problem w szkole, Jake.

Jake, wyrwany z zamyślenia, spojrział nieprzytomnie na Gonzalesa, po czym zamrugał i zwrócił się do Joego Crenshawa.

- Co za problem, Joe?

Crenshaw poprawił się niespokojnie na krześle, założył nogę na nogę.

- No, nie wiem, co o tym myśleć, Jake, ale w jednej z szafek przy sali gimnastycznej odkryliśmy kilka woreczków marihuany.

- Wysokogatunkowej, świeżej produkcji - podkreślił Gonzales.

- Czyja to szafka?

- W tym właśnie rzecz. Wolna, nie należy do nikogo.

- Otrzymaliśmy anonimowy telefon - powiedział dobitnie Gonzales. - Jakiś chłopak zadzwonił na 911, starając się mówić zmienionym głosem.

- Problem w tym - podjął Crenshaw z troską - że to niewątpliwie część większego transportu. Nie chciałbym się dorobić nowych ćpunów, teraz kiedy mamy takie sukcesy w akcji prewencyjnej.

- Z tym przyszliśmy, Jake. - Gonzales podniósł się i skierował szybko ku drzwiom. Machnął ręką, żeby Jake nie wsta-

wał. Jake był od niego wyższy o dobre dwadzieścia centymetrów, więc szef policji starał się nigdy przy nim nie stać. - Jeśli to marihuana miejscowej produkcji, to trzeba wykurzyć hodowców. Znajdź pola, zniszcz plon. Aresztuj skurwysynów.

- Dlaczego przypuszczasz, że to marihuana z naszego hrabstwa?

- Na podstawie tego, co powiedział ten szczeniak. - Gonzales sięgnął do kieszeni, wyciągnął taśmę. - Przesłuchaj to, daj swoim chłopcom do analizy. Może na coś cię to naprowadzi.

- Dziękuję - odparł sucho Jake.

Dobrze wiedział, że gdyby na taśmie było cokolwiek istotnego, Gonzales wykorzystałby to sam.

- Oczywiście moi ludzie będą ci służyć wszelką pomocą, gdyby się okazało, że to na terenie mojej jurysdykcji.

- Oczywiście.

- Wstrzymam się na razie z podaniem tego do wiadomości publicznej - dorzucił Gonzales z ręką na klamce. - Na jakiś czas.

- Świetnie, J.B. Będę ci bardzo zobowiązany.

Wychodząc Joe Crenshaw odwrócił się w drzwiach.

- Nie masz żadnych wiadomości o Scottiem, Jake?

- Nie, żadnych - odparł Jake i zagryzł wargi.

- Współczuję ci. Ciągłe nie mogę uwierzyć, że coś takiego wydarzyło się w Tidewater.

- Ta-ak.

- Gdybym mógł coś...

- Dziękuję, Joe.

- Powiedz Rachel, że Marge co dzień modli się w jej intencji.

- Powiem. Dziękuję jeszcze raz.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Jake zastygł na chwilę. Poruszały się tylko palce, którymi masował nasadę nosa. Jedną z rzeczy najtrudniejszych do zniesienia było życzliwe współczucie ludzi. Wiedział, że to nonsens, ale jakoś czyniło to tym dotkliwszą niemożność natrafienia na jakikolwiek ślad Scottiego. Zawodzi oto w najbardziej zasadniczej sprawie, on, który został powołany do chronienia mieszkańców hrabstwa Kinard. Ludzie zastanawiają się pewnie, czy jest zdolny do pełnienia obowiązków szeryfa, jeśli nie potrafił zapewnić bezpieczeństwa własnemu synowi.

Czy to właśnie myśli Rachel? Uważa, że ją zawiódł, bo nie może odszukać syna? Czy dlatego się od niego odsunęła? Dlatego żyją pod wspólnym dachem jak dwoje obcych sobie ludzi?

Przestał masować nos, skierował wzrok w stronę telefonu. Wyszedł w złości. Może powinien do niej zadzwonić?

Sięgnął po słuchawkę, gdy odezwał się interkom.

- Tak, Mavis. Co tam?

- Masz jeszcze jednego gościa, Jake. To...

- Nie może tego załatwić ktoś inny? Nic nie zrobię w tym biurze, jeśli będę spędzał dzień na rozmówkach. - Postukał palcem w stertę nie odpieczętowanych listów w skrzynce na korespondencję. Obok, przy telefonie, czekało ułożone równo może pół tuzina różowych kartek z wiadomościami. - Nie zdążyłem nawet nikomu oddzwonić. Jeśli były jakieś naglące sprawy, to pewnie jest już za późno.

- Nie było nic naglącego, Jake. Wiesz, że takie sprawy załatwiam od ręki.

Jake zachichotał mimo woli.

- Już dobrze, Mavis. Poniosło mnie. Wyobraziłem sobie przez moment, że jestem tu niezbędny i nic się beze mnie nie dzieje.

- Wracając do tego gościa, Jake...
- Dobra, kto to taki?
- Chłopak. Ma na imię Michael i...
- Mavis, wiesz, że jestem tu uja... że tkwię po uszy w ważniejszych problemach. Ściągnij Jackie. Ona jest od młodocianych.

- On chce się koniecznie widzieć z tobą.
- Rany boskie, kto tu jest szefem? Powiedz mu...
- Jake, uważam, że powinieneś z nim porozmawiać.

Wyłączył z trzaskiem interkom, zamknął oczy. Ilekroć Mavis stawiała tak sprawę, dyskusja była bezcelowa. Zabębnił palcami po biurku. Prawdę mówiąc, innego dnia w ogóle by z nią nie dyskutował, bo wiedział, że nie dopuściłaby do niego nieznanego chłopca bez ważnego powodu. Nim ta prawda dotarła do jego świadomości, szcęknęła klamka i drzwi zaczęły się powoli uchylać. Kiedy nikt nie ukazał się przez dłuższą chwilę, zawołał niecierpliwie:

- No, wchodź, proszę.

Teraz drzwi otworzyły się do końca i stanął w nich wysoki, chudy, wynędzniały wyrostek w czapce z reklamą drużyny Delfinów z Miami. Rozejrzał się szybko po gabinecie, popatrzył niepewnie na Jake'a.

- Dzień dobry panu.
- Dzień dobry. Jesteś... Michael, tak?

Chłopak skinał głową, zdejmując z ramienia pasek wytartego drelichowego chlebaka, który osunął się swoim ciężarem na podłogę. Mimo ciepłej majowej pogody chłopiec był w drelichowej kurtce, wytartej niemal tak jak chlebak. Przyrzawszy się bliżej, Jake stwierdził, że jego dzinsy są równie znoszone, jakby miały za sobą wieśset mil drogi i nieskończoną liczbę prań. Nowa była na chłopcu tylko pomarańczowa

koszulka, ozdobiona na piersi potężną falą oceaniczną i napisem „Pensacola Beach, Florida”.

Uciekinier. Wszyscy oni wyrzucają pokąźną część mizerynych funduszy na niewartą swojej ceny koszulkę. Jake powiódł doświadczoneym okiem po szczupłej postaci, aż zatrzymał się na butach. Chłopak lepiej by zrobił kupując nowe buty. Te, które miał na nogach, były znoszone nie do poznania. I wielkie. Nosi chyba numer czterdzieści trzy.

- Siadaj, Michaelu - powiedział.

Chłopiec przyglądał się chwilę krzesłu, po czym uniósł chlebak i usiadł, niezgrabnie wsuwając nogi pod zbyt niskie siedzenie. Podsunął do góry daszek czapki i spojrzał Jake'owi w oczy. Po raz pierwszy Jake dostrzegł czystą, jasną barwę jego oczu. Są szare. Przystojny chłopak. Patrzy człowiekowi w oczy. Jake'owi to się spodobało. Tylu chłopców ucieka obecnie wzrokiem. Cóż, wielu z tych, z którymi ma do czynienia, to już kryminaliści. Niektórzy, wcale nie starsi od Michaela, są zabójcami. Jake odchylił się w fotelu.

- Ile masz lat, Michaelu?

- Czternaście, proszę pana.

- Czternaście. Mieszkasz gdzieś tutaj?

- N-nie... Prawdę mówiąc...

- Gdzie mieszkasz?

- Mieszkałem w Des Moines.

- W Des Moines? W stanie Iowa? - powtórzył wolno Jake. - To jesteś kawał drogi od domu.

- Już tam nie mieszkam.

Jake odetchnął głęboko. Uciekinier, zgadł od razu.

- Czy twoja rodzina wie, gdzie jesteś, Michaelu?

- Nie mam rodziny. Przynajmniej nie w Iowie.

- Nie masz rodziny? A co z twoją matką? Z twoim ojcem?



- Mamusia zginęła dawno temu w wypadku. Mieszkałem z babcią, ale ona niedawno umarła.

- Współczuję ci.

- Radzę sobie teraz sam.

- Co ty powiesz.

- Naprawdę. Jestem od półtora miesiąca w drodze, dotarłem aż tutaj.

„A gdzie jest ojciec tego szczeniaka? - pomyślał gniewnie Jake. - Powinien być przy nim w chwili, kiedy opłakuje zmarłą babcię”.

- Dlaczego przyjechałeś akurat tutaj, Michaelu? - zapytał, przypominając sobie, że chłopiec chciał z nim koniecznie rozmawiać.

Michael popatrzył mu w oczy. W jego spojrzeniu malowała się głębia przedwczesnej mądrości. Co widział, odkąd został sam? Co przeżył? Jake'a ogarnął nagły bolesny lęk, czy chłopiec nie doświadczył rzeczy, które położą się cieniem na reszcie jego życia. Nie byłby pierwszym czternastolatkiem, który przez krótkie półtora miesiąca przeszedł deprawującą edukację ulicy.

- Słyszałem wiele o Florydzie - odparł Michael z wahaniem, jakby te słowa nie wyrażały w pełni jego myśli.

- O Florydzie - spytał Jake - czy o jakimś konkretnym miejscu na Florydzie? Mieszkał tu ktoś z twojej rodziny?

- Nie w Tidewater, nie, - Po czym, ze zmarszczonym czołem, chłopiec dorzucił śpiesznie: - Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Ale mamusia mieszkała kiedyś w Miami. Babcia Dee tyle mi powiedziała.

- Babcia Dee to ta babcia, która umarła?

Chłopiec kiwnął głową.

- Nazywała się Margaret D'Angelo.

D'Angelo. Jake znalazł skądś to nazwisko, ale nie mógł sobie

przypomnieć skąd. Przyszedł mu na myśl okres pracy w brygadzie antynarkotykowej. Mieszkał wtedy w Miami, ale co z tego? Pokręcił głową.

No, tak. - Przyjrzał się uważniej chłopcu. - Więc jesteś z Des Moines i nazywasz się Michael D'Angelo.

Nie, proszę pana. - Michael, który rozluźnił się już nieco, zeszywniał znowu na krzesle, jakby szykując się do czegoś nieprzyjemnego. - To znaczy, jestem z Des Moines, ale nie - nazywam się D'Angelo.

Jake zaczynał się niecierpliwić. Wyciągnięcie czegoś z chłopca przypominało łapanie baniek mydlanych. Nie sądził jednak, by to była świadoma taktyka ze strony chłopca. Wyglądało raczej, że nie może wykrztusić tego, co ma do powiedzenia. Jake zerknął na zegarek. Ma dość pracy na cały dzień, a może i na pół wieczora. Trzeba, żeby Mavis ściągnęła Jackie Kendall. Niech Wydział Młodocianych coś z niego wydobędzie. Może uda im się odnaleźć ojca Michaela. Oczywiście, jeśli szczeniak zna jego nazwisko.

A jak się nazywasz, Michaelu? Spróbujemy odnaleźć twego ojca.

McAdam, proszę pana. Tak jak pan.

- C-co?

- Tak, proszę pana. Michael McAdam. Myślę, że pan jest moim ojcem.

# Milczenie nocy

## 2

Przez parę sekund Jake patrzył nie rozumiejącymi oczyma. Zza drzwi, których Michael nie domknął, dochodziły zwykłe odgłosy biurowe - dzwonki telefonu, podniesione głosy, kroki, donośny stukot czegoś upuszczonego na podłogę. Nic z tego nie docierało do Jake'a, kiedy przetrawiał słowa Michaela.

- Jak mogę być twoim ojcem, Michaelu? Nie znam cię. Nie widziałem cię nigdy w życiu.

- Wiem, proszę pana. - Chłopiec pokręcił głową i nagle powrócił mu wygląd czternastolatka. - Ja też nie wiedziałem do śmierci babci Dee. Została po niej skrzynia z różnymi starymi szpargałami. Znalazłem w niej metalowe pudełko z moim świadectwem urodzenia.

Z tymi słowy pochylił się i szarpnął suwak chlebaka. Ostry dźwięk zazgrzytał w uszach Jake'a jak pociągnięcie kredą po tablicy. Patrzył, jak Michael grzebie w otwartym chlebaku. W rzeczach chłopca nie ma żadnego porządku, pomyślał mimo woli. Rachel nigdy by nie pozwoliła Scottiemu na coś takiego. Kazałaby mu...

Odepchnął myśl o żonie i synku, zanim się uformowała do

końca w jego głowie. Podniósł się z trudem jak człowiek ugodzony w brzuch. Michael odnalazł tymczasem to, czego szukał, i podniósł się również.

- Proszę - powiedział podając dokument.

Jake wziął papier, ale nie spojrzał na niego od razu. Nie mógł oderwać oczu od chłopca. Czy szare oczy Michaela zwróciły jego uwagę dlatego, że do złudzenia przypominają jego własne? U diabła, nie! Co mu przychodzi do głowy? To szaleństwo! Jest od osiemnastu lat żonaty z Rachel. Żeby mieć czternastoletniego syna, musiałyby żyć z inną kobietą... ile, piętnaście lat temu!

- Niech pan obejrzy, proszę pana. Nie mam pewności, ale świadectwo wydaje mi się autentyczne.

Jake oderwał powoli niemy wzrok od poważnej twarzy Michaela i popatrzył na dokument. Nazwisko, czas i miejsce urodzenia, waga noworodka. Słowa pływały mu przed oczyma. Jest wszystko czarno na białym. Rodzice. Matka: Anne-Marie D'Angelo. Ojciec: Michael Jacob McAdam.

Anne-Marie D'Angelo. Boże! Czy to możliwe?

Dłoń drżała Jake'owi i dokument lekko falował, kiedy go czytali obaj z Michaelem. Z dudniącym sercem Jake przysiadł na kancie biurka.

Anne-Marie! Stała mu teraz przed oczami, chociaż gdyby go przed chwilą zapytano o jej nazwisko, nigdy by go sobie nie przypomniał. Było to w Miami, przeprowadzali sekretną operację antynarkotykową. Akcja była na wielką skalę, z nią w roli wtyczki. On sam ją zwerbował.

- Mówiłeś, że twoja mamusia zginęła w wypadku. Co to był za wypadek? - zapytał pod wpływem nagłego przypuszczenia.

- Zdaje się, że z jakąś ciężarówką. Nic więcej nie wiem.

Miałem wtedy pięć lat. - Michael nie spuszczał z Jake'a wzroku. - Prawie jej nie pamiętam. Babcia Dee niechętnie ją wspominała. Prawdę mówiąc, chyba nie bardzo się zgadzały.

- Mieszkałeś z mamusią, dopóki nie zginęła?

- Nie, mieszkałem zawsze z babcią Dee.

Dłoń trzymająca świadectwo urodzenia zacisnęła się gnio-tąc papier. Jeszcze jedno nie chciane dziecko, podrzucone przez matkę bardziej odpowiedzialnej babci.

- Na miłość boską, dlaczego nikt się ze mną dotąd nie skontaktował?

- Ja nic o panu dotąd nie wiedziałem. Kiedy pytałem o swojego ojca, babcia Dee odpowiadała, że był jakimś przedstawicielem prawa w Miami i pewno dawno zginął, biorąc pod uwagę tamtejsze stosunki. Uważała, że mamusia miała zawsze fatalny gust, jeśli chodzi o mężczyzn, i lepiej, że to ona mnie wychowuje.

Boże! Cóż to za nauki dla małego chłopca! Ta babcia Dee była widać bardzo rozgoryczona i zawzięta. Pewnie nie bez powodu.

- Jak mnie odnalazłeś?

- W papierach po babci był list.

Michael przyklęknął i jął ponownie grzebać w chlebaku. Jake patrzył na jego pochyloną ciemną głowę. Scottie ma blond karnację rodziny Rachel, po nim odziedziczył tylko szare oczy. Ten chłopiec, Michael, jest jak on. Ma taką samą śniadą cerę, taki sam nos, takie same wysokie kości policzkowe i silną, kanciastą szczękę. Nawet jego niezgrabne, długie kończyny, zapowiadające nieprzeciętny wzrost, potwierdzają ojcostwo jego, Jake'a. Nic dziwnego, że Mavis nastawała, żeby z nim porozmawiał.

- O, jest! - Michael podniósł się z pojedynczą kartką zło-

zonego papieru, bez koperty. - Babcia zapisała tu wszystko. Pańskie nazwisko, miasto, w którym pan mieszka, miejsce pracy, wszystko. Nie podała tylko pana adresu. Nie chciała pewnie, żebym ni z tego, ni z owego zapukał do pana drzwi.

Podał kartkę Jake'owi.

- Myślę, że babcia to napisała, kiedy zachorowała i czuła, że się już nie podźwignie.

Jake wpatrywał się w list, ale w jego piersi kłębiło się zbyt wiele uczuć, by mógł go przeczytać.

-- Długo chorowała?

- Nie bardzo. Niecałe pół roku. Miała atak serca. Znalazłem ją na podłodze, wróciwszy któregoś dnia ze szkoły. Kiedy wyszła ze szpitala, przysyłali z opieki społecznej pielęgniarkę, która z nią była w ciągu dnia. Chciałem przy niej siedzieć, ale powiedziała, że nie mogę opuszczać szkoły. Opadała coraz bardziej z sił, widziałem to. Aż któregoś wieczora powiedziała, że jest zbyt zmęczona, żeby patrzeć na telewizję. - Podniósł wzrok na Jake'a. - Zawsze przy kolacji oglądaliśmy telewizję. Zaprowadziłem ją do łóżka, a kiedy później zajrzałem do niej, już... już nie...

Jake się poderwał. Widział, że Michael panuje nad sobą resztką sił. Wyciągnął dłoń i ścisnął ramię chłopca. Czuł przenikający go dreszcz. Michael odchylił głowę, wciągnął głośno powietrze.

- Przykro mi, Michaelu.

Nie wiesz, jak mi przykro! Myśl o tym, co chłopiec przeżył, ścieła Jake'owi twarz. Michael wciągnął ponownie powietrze, usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

- Już dobrze - wymamrotał.

Jake jął instyktownie uciskać kościste ramiona chłopca. Czując, jak drży, przysunął się bliżej. Sam miał ściśnięte gard-

ło. Porwał Michaela w ramiona i poczuł, jak jego dłonie zaplatają mu się wokół pasa. Po chwili zdał sobie sprawę, że chłopiec płacze. Jego szczupłym ciałem wstrząsał niemy szloch. Ból i żałoba Michaela przenikały Jake'a jak własne. Jakich wyborów musiał ten chłopiec dokonać, żeby się tu dzisiaj znaleźć. Jego ręce zaplotły się ciaśniej, rodziło się między nimi ciepłe, nie przeczuwane uczucie.

Aż panowanie chłopca roztopiło się do reszty i ze zdławionym łkaniem poddał się cudownemu, uzdrawiającemu luksusowi płaczu. Po jakimś czasie oswobodził się z objęć Jake'a i zawstydzony jął ocierać mokre policzki. Jake podał mu chusteczkę.

- Przepraszam - wymamrotał Michael wycierając nos.

Jake się uśmiechnął. Rzucił okiem nad głową Michaela na stojącą na szafce fotografię Scottiego z Rachel.

- Nie wstyd płakać, kiedy się utraci kogoś bliskiego.

- Nigdy dotąd nie płakałem.

Znaczy, że nie płakał po śmierci matki. W życiu tego chłopca było diablo mało ludzi godnych miłości. Los nie szczędził mu doświadczeń. Jake poczuł nagle ciężar swoich czterdziestu dwóch lat. Cóż on, u Boga, zrobi z tym fantem?

Rozległo się nagłące pukanie do drzwi i do gabinetu wsunęła głowę Mavis.

- Przepraszam, Jake, ale dzwoni z Miami Rick Streeter. Będziesz z nim mówić?

Rick, kolega z czasów brygady antynarkotykowej, dzwonił już parę tygodni temu, żeby uczulić Jake'a na podejrzaną aktywność w jednym z sąsiednich hrabstw. Zatoka Meksykańska cieszyła się od dawna niechlubną sławą dogodnego miejsca nielegalnych przerzutów narkotyków, gdyż niemożliwością było upilnowanie kilku tysięcy mil brzegu. Takie tele-

my od Streetera zdarzały się już przedtem i z reguły nic z nich nie wynikało, ale lekkomyślnością byłoby zignorować ostrzeżenia, które choćby w najmniejszej mierze mogło okazać się istotne dla hrabstwa Kinard, szczególnie wobec pojawienia się w szkole marihuany z jakiegoś nieznanego źródła.

Owszem, pomówię z nim - odparł Jake, po czym delikatnie popchnął Michaela w stronę Mavis. - Weź Michaela do maszyny z napojami i zafunduj mu, czego będzie chciał, dobrze? Możesz go przyprowadzić z powrotem, jak skończę rozmowę z Rickiem.

Rozkaz, szefie. - Mavis posłała Michaelowi przyjazne spojrzenie. - Co ty na to, Mike?

Michael odpowiedział uśmiechem niepewnym, ale niewymuszonym.

Jasne. Dziękuję.

I daj to Danowi, Mavis - dorzucił Jake wyciągając rękę przez biurko. - To taśma z nagraniem spod 911, którą nam przekazali nasi przyjaciele z magistratu. Niech Dan ją przesłucha, może coś z tego wyciągnie. W mieście pojawił się nowy transport.

Dobrze, przekażę.

Mavis wzięła taśmę, przepuściła przed siebie Michaela drzwi się za nimi zamknęły.

Streeter miał niewiele do zakomunikowania. Szczęśliwie nic nie wynikło z tamtej podejrzanej aktywności sprzed paru tygodni. Zamienili jeszcze kilka słów, porównali typy na zbliżające się rozgrywki pierwszej ligi baseballowej, po czym zaczerpnął tchu i odchylił się w fotelu.

Rick, czy pamiętasz sprzed lat kobietę o nazwisku Anne-Marie D'Angelo?



- Przypomnij mi coś bliższego. Kiedy, gdzie i w jakiej fazie mego życia to było?

- Brygada antynarkotykowa, jakieś piętnaście lat temu, Miami.

- Piętnaście lat temu? Ty też tu wtedy byłeś, prawda?

- Ta-ak. Przypominasz sobie coś?

- Hmm. Anne-Marie D'Angelo. - W telefonie dało się słyszeć skrzywienie fotela, w którym Rick się widać poprawił.

- D'Angelo. D'Angelo. Towarzystwo Przewozowe. Dyspozytorka, tak?

- Zdaje się. Pamiętasz coś więcej?

- Coś mi świta. Wysoka, opływowa brunetka. Bomba, o ile się nie mylę.

Jake z pochyloną głową masował nasadę nosa.

- Nie pamiętasz niczego bardziej osobistego?

- Wygląd i miejsce pracy, czy to nie osobiste?

- Coś jeszcze?

- Inteligentna. Umiała zachować zimną krew w krytycznych sytuacjach. To była sprawa kolumbijskiego łącznika. Zgarnęliśmy wtedy Jaco Ramireza, nakryliśmy go przy przerzucie. Słodka Anne-Marie musiała potem związać żagle i zniknąć z miasta. - Rick zamilkł na chwilę. - Hej, Jake, chyba nie zapomniałeś tej sprawy? Przecież cię przyuważyli, jak braliśmy melinę. Mały włos, a gryzłbyś dzisiaj ziemię.

- Ta-ak.

Jake odruchowo potarł szorstką bliznę pod obojczykiem.

- Co jest grane, Jake? Czyżby Anne-Marie pojawiła się w Tidewater? - Rick zachichotał. - Nie gniewaj się, stary, ale coś mi się zdaje, że w tej waszej dziurze nie ma dość ubawu dla takiej babki jak ona. - Zamilkł znów. - Czeka, czekaj,

jeszcze coś. Leon Morrison. Ta-ak, Leon Morrison. Straciła dla niego głowę, pamiętasz?

- Pamiętam.

- Nie mogłem tego zrozumieć. Był wyjątkowo wredny.

Tak, był wyjątkowo wredny. Rick zaczął opowiadać historię zakończoną aresztowaniem Leona Morrisona kilka lat później, ale Jake prawie nie słuchał. Anne-Marie już wtedy nie żyła. Wynikało z tego tylko jedno - Leon był jeszcze wredniejszym typem, niż Jake sądził. Babcia Dee się nie myliła. Anne-Marie miała rzeczywiście fatalny gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

Jake westchnął i zamknął oczy. Przypomniało mu się teraz wszystko. Był to szczególnie zły okres dla niego i dla Rachel. Któregoś wieczora doszło między nimi do niebotycznej kłótni. Chodziło jak zwykle o jego pracę. Rachel jej nienawidziła. Funkcja tajnego agenta w brygadzie antynarkotykowej nie była w jej mniemaniu zajęciem dla żonatego mężczyzny. Ilekroć on jest na akcji - powtarzała - ona czeka i drży o niego. Nie bez powodu, jak się miało okazać. Tego wieczora oznajmiła mu, że jedzie do domu, do Tidewater, żeby przemyśleć sytuację. I nie wie, czy do niego wróci.

Były również inne problemy. Rachel ponad wszystko w świecie pragnęła mieć dziecko. Pragnęła tak bardzo, że Jake już nie wiedział, czy dziecko nie jest dla niej ważniejsze od niego. Czy nie wyszła za niego tylko po to, żeby mieć dziecko. Niestety, każda kolejna ciąża kończyła się poronieniem. Odbijało się to fatalnie na ich życiu płciowym. Odbijało się również fatalnie na morale Jake'a.

Czekał dwa tygodnie na powrót Rachel. Aż któregoś wieczora zadzwonił i zażądał, żeby natychmiast wracała. Pokłócili się znowu i skończyło się niczym. Odłożywszy słucha-

wkę, wypadł z domu i pobiegł prosto do baru. Spotkał tam Anne-Marie, upijającą się na ponuro, bo rzucił ją właśnie Leon Morrison. Oboje, odtrąceni, wypili dużo za dużo, po czym spędzili razem noc, pocieszając się nawzajem.

Z tego bezmyślnego, haniebnego epizodu poczęło się dziecko. Teraz musi za to płacić. Zabrać Michaela do domu. Po śmierci jego babci nie ma innego wyjścia.

Ulicą przeszła młoda matka, prowadząca za rękę małego chłopca. Jake'owi ścisnęło się serce. Przypomniała mu się twarz Michaela, kiedy podawał świadectwo urodzenia. W jego oczach malowała się niepewność. Był taki poważny, przygotowany na ewentualność odtrącenia. Jake poczuł ciepło. Nie pragnie wcale innego wyjścia, uświadomił sobie. Zabrano mu Scottiego i oto nieoczekiwanie otwiera się przed nim szansa zaopiekowania się synem pierworodnym. Pragnie tego. Żeby nie okazało się to tylko ponad siły Rachel.

Odwrócił się od okna i podniósł słuchawkę, żeby do niej zadzwonić. Nie wiedział, czy mówiła serio o pójściu do pracy. Jeśli jest w domu, Michael mógłby poczekać w biurze, a on by tymczasem pojechał się z nią rozmówić. Nie może jej zaskoczyć, nie próbując przedtem wszystkiego wytłumaczyć. Wycisnął numer i czekał. Po kilku sygnałach wiedział, że nie ma jej w domu. Musi poczekać, zatrzymać Michaela tutaj, dopóki ona nie wróci. Usadowiwszy się w fotelu, zdecydował, że może to i lepiej. Może do końca dnia przyjdzie mu do głowy sposób zakomunikowania jej tego tak, żeby nie rozbiło to ich małżeństwa.

Zatrzymawszy się przed zamkniętymi drzwiami gabinetu Rona Campbella, Rachel poprawiła włosy i zwilżyła wargi. Idzie prosić o pracę, nie na gilotynę, powtórzyła sobie. Sekre-

tarka Rona obrzuciła ją dziwnym spojrzeniem, kiedy powiedziała, że chce się z nim zobaczyć. W każdych innych okolicznościach Rachel, jako przełożona wolontariuszek, nie miałaby wątpliwości, jak zostanie przyjęta przez dyrektora administracyjnego. Tym razem jednak nie przychodzi jako wolontariuszka. Przyszła tu starać się o pracę, prawdziwą pracę. Posadę, która przyniesie jej co dwa tygodnie czek. Która odwróci myśli od Scottiego.

Zaciskała raz po raz palce na pasku torebki. Nie była pewna, czy dobrze wygląda. Zwróciwszy wzrok w głąb korytarza, na swoje odbicie w podwójnych szklanych drzwiach oddzielających biura od reszty szpitala, zlustrowała jeszcze raz swój wygląd. Prosta cyrkonowa lniana spódniczka, kremowa jedwabna bluzka, cyrkonowe czółenka na półsłupku, zegarek na ręce i złote kolczyki z perełkami. Ubrała się tak, jak poradziła Suzy, a już ona się na tym zna.

Dobry Boże, zachowuje się jak nastolatka przed pierwszą randką. Z determinacją pchnęła drzwi.

- Rachel! - Ron Campbell wstał z twarzą rozjaśnioną uśmiechem. - Co za niespodzianka! Wchodź, wchodź.

Wyszedł na powitanie zza biurka.

- Witaj, Ron.

Rachel zamknęła za sobą cicho drzwi, po czym wsunęła rękę w jego otwartą dłoń.

- Jak się masz, Rachel? Nie pokazywałaś się tak długo, że się zastanawialiśmy, czy o nas nie zapomniałaś.

- Nie, tylko...

Uśmiech zamarł jej na wargach. Ron natychmiast się zrelektował.

- Oczywiście. Przepraszam. To nie do wiary, że coś takiego mogło się wydarzyć tutaj, w Tidewater.

- Tak, rzeczywiście.
- Siadaj. Napijesz się czegoś? Kawy? Czegoś zimnego?
- Nie, nie, dziękuję.

Usiadła, wciąż ściskając w dłoniach torebkę. Ron nie powrócił na swój fotel. Oparł się o biurko, z nogami skrzyżowanymi w kostkach. Szare skarpety ze szlaczkiem, zauważyła, pasujące doskonale do miękkich sportowych półbutów, okulary w rogowej oprawie. Wygląda jak podtusiały student ekskluzywnej uczelni.

- Jak tam Jake?
- Dobrze. - Odchrząknęła. - Ma się dobrze.

Ron i Jake nigdy się specjalnie nie lubili. Może dlatego, iż tak bardzo się różnią. Jake jest bezpośredni i otwarty, zdaje się całym sobą mówić: „Jestem taki, jakim mnie widzisz”. Ron natomiast, ze swoim zawsze gotowym uśmiechem i wycuciem ludzi, ma większy talent do... Przyszło jej na myśl słowo „manipulacja”, ale odepchnęła je szybko. Wydało jej się krzywdzące w odniesieniu do Rona, którego lubiła, Ale to fakt, że jest zręczniejszym politykiem od Jake'a. Wiedziała, że potrafi być twardy, kiedy potrzeba. Dlatego też otrzymanie posady nie będzie taką kaszką z mleczkiem, jak wydaje się Suzy.

- Czym ci mogę służyć, Rachel?

Roześmiała się niepewnie.

- Okazuje się to niełatwe, tak jak się obawiałam.

Zmarszczył się lekko, ale uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Co się okazuje niełatwe?

Odetchnęła głęboko.

- Przyszłam cię prosić o pracę.

Nic na to nie odrzekł. Odwrócił się, przeszedł do swego

fotela za biurkiem. Nieoczekiwanie sprawiło to Rachel ulgę. Odprężyła się trochę.

- O jakiej pracy myślałaś?

- Żebym to ja wiedziała. Nie mam żadnych określonych kwalifikacji, Ron, ale przez tyle lat pracowałam tu jako wolontariuszka, że znam szpital na wylot, wiem, jak wszystko funkcjonuje. Znam nawet większość pracowników. Postanowiłam iść do pracy i bardzo bym chciała pracować tutaj.

- Wydała nerwowy śmieszek. - Jeśli to się okaże niemożliwe, spróbuję banków.

- Czy to szantaż?

- Skądże! Nie mam zbyt wiele do zaoferowania.

W wyrazie jego twarzy pojawiło się coś, czego nie potrafiła odcyfrować. Lustrował ją dokładnie, bawiąc się jednocześnie złotym piórem, stukając jednym jego końcem o biurko, potem je obracając i stukając drugim. Raz po razie.

- Umiesz pisać na maszynie?

- Wyobraź sobie, że umiem. Znam również wasz szpitalny program komputerowy. Może powinnam to powiedzieć z góry, ale liczyłam, że mi zaproponujesz coś w dziale socjalnym czy łączności z pacjentami. Albo w recepcji.

- Pracę takiej młodszej pomocnicy?

- Wydawało mi się to logiczne.

- Uciekłabyś z nudów po dwóch tygodniach. A ponadto byłoby to marnotrawstwo. Przecież ty masz dyplom uniwersytecki.

- Tak, magisterium z psychologii.

Na twarzy Rona pojawiło się zainteresowanie.

- Co byś powiedziała na Oddział Nagłych Wypadków?

- Jestem gotowa pracować wszędzie. Co bym tam robiła?

- No, jest trochę obowiązków biurowych, ale przede wszystkim są inne sprawy. Muszę cię ostrzec, że Oddział

Nagłych Wypadków nie przypomina gabinetu lekarskiego. Przywożą oczywiście ludzi z wypadków, ale także ofiary przedawkowania narkotyków oraz alkoholików, bezdomnych... Ty ze swoim przygotowaniem powinnaś umieć sobie radzić z wystraszonymi chorymi ludźmi. A czasami i z szaleńcami... Pewnie będziesz się chciała nad tym zastanowić? - zakończył Ron.

- Nie mam się nad czym zastanawiać, Ron. Dziękuję, biorę tę pracę.

Michael zjadł podwójny hamburger. Nie stać go było na to od tak dawna, że hamburgery śniły mu się po nocach, kiedy jechał autostopem na Florydę. Jego tatuś posłał po lunch jednego ze swoich ludzi. Fajnie było jeść lunch zafundowany przez własnego tatę. Bo tak o nim myślał, choć nie był pewien, czy Jake McAdam do końca wierzy, że on jest tym, kim jest.

Wsiadłszy na przednie siedzenie radiowozu, zapiął pas, tak jak tatuś obok zapiął swój. Siedział pochylony do przodu, z palcami zaciśniętymi na chlebaku, który trzymał na kolanach. Był zbyt spięty, by usiąść wygodniej. To decydujące chwile. Jada do domu. Do domu tatusia. Zamknął na moment oczy w żarliwej modlitwie. Wszystko zależy od tego, czy mu uwierzą. Nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli nie uwierzą.

Poczuł potęgę silnika, kiedy radiowóz ruszył z miejsca oznaczonego napisem „Szeryf. W każdych innych okolicznościach nie posiadałby się z radości, że jedzie wozem policyjnym. Skierował wzrok na tablicę rozdzielczą. Zawsze był ciekaw wyposażenia takich aut. Radaru do namierzania przekraczających szybkość, świateł alarmowych, syreny. Jeżeli pozwolą mu tu zostać, poprosi któregoś dnia tatusia, żeby mu pokazał, jak to wszystko działa. Jeżeli mu pozwolą.

Popatrzył na siedzącego obok mężczyznę. Wydawał się spokojny, ale Michael już zauważył, że jest to człowiek, który potrafi panować nad swoimi emocjami. Jak w chwili, kiedy go zapytał o fotografię kobiety i chłopca na szafce. Chłopiec był jego synem, jak przypuszczał. Na imię miał Scottie. Michael wiedział, że długo będzie pamiętał wyraz twarzy tatusia, kiedy wypowiadał to imię. Albo raczej braku wszelkiego wyrazu. Jakby miał się nigdy więcej nie uśmiechnąć. Michael dobrze rozumiał, dlaczego. Co za straszna historia z tym porwaniem! To potworne myśleć, czy Scottie jest zdrow i cały, czy też... Ma moment puścił wodze fantazji, jak to on natrafia na ślad Scottiego i sprowadza go bezpiecznie do domu. Pławił się przez chwilę w wyobrażeniu, jak uśmiechnięci tatuś i jego żona dziękują mu wylewnie za rolę, jaką odegrał w ocaleniu Scottiego.

- To jest szkoła - odezwał się Jake.

Dźwięk jego głosu wyrwał Michaela z zadumy. Popatrzył na niski, długi budynek o pastelowych ścianach. Wszystko jest tu takie jasne. Prawie białe.

- Już koniec maja, straciłeś większą część semestru wiosennego. - Jake zatrzymał się pod czerwonym światłem. Popatrzył na Michaela. - Mówisz, że masz czternaście lat... Jesteś w ósmej czy w dziewiątej klasie?

- W dziewiątej. Poszedłem do szkoły wcześniej, bo urodziłem się w październiku.

- To niedługo skończysz piętnaście lat.

- Tak, proszę pana.

Jake wskazał głową pastelowy budynek.

- Rachel uczy tam na zastępstwa.

Rachel. Michael powtórzył imię kilkakrotnie w myśli. Podobało mu się. Brzmiało tak jakoś... miękko. Miał nadzieję, że



żona tatusia okaże się osobą równie przyjemną, jak jej imię. Jest także ładna. Szczególnie ładne ma włosy. Dokładnie koloru kukurydzy. Już on to wie, bo napatrzył się dosyć na kukurydzę w rodzinnych stronach. Skręcili właśnie w dzielnicę willową, więc powiódł wzrokiem po zieleni równo przystrzyżonych trawników. Myśl o pani Rachel nie dawała mu spokoju. Mógł sobie wyobrazić, jakiego dozna szoku, kiedy tatuś go przedstawi. Żołądek podjechał mu do gardła, więc przycisnął silniej chlebak do brzucha. Czasami to pomagało.

Jake zwolnił i skręcił w ulicę z rzędem palm przedzielających jezdnię. Dwóch chłopców na rowerach z przerzutkami pomachało im w przejeździe, a tatuś odpowiedział podniesieniem dłoni. Widać, dom już niedaleko. Michael zmusił się do pomyślenia o zaginionym braciszku. Napełniło go to niedowierzaniem i smutkiem. Od tylu lat ma młodszego brata i nawet o tym nie wiedział. Odepchnął myśl, że może go nigdy nie poznać. Zdarzają się cuda. Tak jak jemu. Czy to nie cud, że w tej chwili siedzi w tym aucie? I z kim.

Pograżony w myślach, patrzył nieuważnie na mijane domy. Często wyobrażał sobie, że ma prawdziwą rodzinę, braci i siostry, i że mieszka w dzielnicy takiej jak ta. Nigdy nie przypuszczał, że może się to sprawdzić. Poczuł, że oczy mu wilgotnieją i zachodzą mgłą.

• - No, jesteśmy w domu.

Jake przyhamował i skręcił w długi podjazd. Część ogródka przed domem była porośnięta krzewami o jaskraworóżowych kwiatach. Po obu stronach biegł drewniany płot, oddzielający front od tyłu.

- Mają państwo psa? - zapytał Michael.

Usłyszał szczekanie i pomyślał, że *ten* płot to pewnie ogrodzenie dla psa.

- Nie -- odparł tatuś wysiadając. - Sąsiedzi mają labradora, to on szczeka. - Rozprostował plecy, czekając, aż Michael wysiadzie. - Nie bój się, jest bardzo łagodny. Poczł obcego na swoim terytorium, ale wkrótce uzna cię za swojego.

Michael zatrzasnął drzwiczki, zarzucił chlebak na ramię i przeszedł na przód auta. Nie miał wątpliwości, że się zaprzyjaźni z psem sąsiadów. Lubił zwierzęta i one go lubiły. Niepokoiło go tylko, czy uda mu się zaprzyjaźnić z żoną tatusia.

- Michaelu!

Podniósł wzrok na twarz ojca.

- Posłuchaj, synu... - Jake położył mu dłoń na ramieniu. - Nie miałem jeszcze możliwości porozmawiania z Rachel. Myślę, że dobrze by było, żebyś nam zostawił trochę czasu, zanim cię przedstawię. Rozumiesz?

Michael pokiwał głową.

- Jasne. Chce pan, żebym się przeszedł trochę po uliczkach?

Jake odpowiedział uśmiechem.

- Nie sędę, żeby to było potrzebne. - Wskazał dłonią za plecy Michaela. - Tam jest furka. Wejdz przez nią i idz wzdłuż ceglanego muru. Dojdiesz do patia i basenu na tyłach domu. Są tam fotele, stół. Rozgość się, a ja tymczasem...

- Urwał, potarł kark. - To będzie zaskoczenie dla Rachel. Może trochę potrwać, zanim...

- Rozumiem, proszę pana.

- Michaelu!

- Tak?

- Nie miałem ci okazji powiedzieć...

Michael czekał z bijącym sercem.

- Cieszę się, że przyjechałeś.

# Milczenie nocy

## 3

Jake ruszył powoli ceglana dróżką prowadzącą do drzwi frontowych.

Kupił ten dom dla Rachel piętnaście lat temu i nadal go lubił. Dom był w stylu charakterystycznym dla Florydy, sięgającym czasów hiszpańskich kolonizatorów, ale nadal popularnym jak stan długi i szeroki. Niska, rozłożysta budowla o pastelowych, koralowych ścianach i czerwonym gontowym dachu. Początkowo dom miał tylko trzy pokoje, ale kiedy trochę się z Rachel dorobili, Jake dobudował gabinecik i duży salon z tyłu oraz basen w ogrodzie. Parę lat później dodali przestronną sypialnię małżeńską z luksusowo wyposażoną łazienką. Rachel uwielbiała się tu pluskać w wannie wpuszczonej w podłogę. Na przypomnienie, jak wychodzi z kąpieli mokra, zaróżowiona i pachnąca, naga, Jake zacisnął palce na kluczach. Wolnym ruchem, trochę niepewnie, wsunął klucz w zamek i pchnął drzwi.

W domu coś pachniało smakowicie. Jake zastygł na chwilę. Od wielu tygodni, wracając z pracy, nie zastawał czekającego obiadu albo w najlepszym razie zastawał coś upichconego

naprędcie, po linii najmniejszego oporu, bez żadnej dbałości o podniebienie.

- Rachel, jestem w domu.

Rachel wynurzyła się z kuchni, wycierając ręce w ścierkę.

- Cześć! Coś wcześniej wróciłeś?

- Tak, trochę wcześniej.

Rzucił marynarkę na krzesło w holu. Dawniej, kiedy wracał wieczorem, Rachel witała go pocałunkiem, ale, wraz z wieloma innymi przejawami czułości, urwało się to po zniknięciu Scottiego.

- Jakiś smakowity zapach.

- Pieczeń wołowa. Dawno nie jedliśmy pieczeni.

Zawiesiła głos. Jake obserwował ją zwężonymi oczyma i nagle zdał sobie sprawę, że się uśmiecha. No, prawie. Od dawna nie widział na jej twarzy uśmiechu, a to był prawie uśmiech.

- Może napijesz się czegoś przed obiadem? - zaproponowała.

- Brzmi to zachęcająco.

Więcej niż zachęcająco. Niewykluczone, że szklaneczka czegoś mocniejszego pozwoli mu znaleźć właściwe słowa. Ruszył za Rachel do salonu.

- Należę sobie - powiedział.

- Świetnie. Ja też się napiję wina.

Spojrzał na nią uważniej. Rachel prawie nigdy nie piła. Nawet wina.

- Mamy coś do oblewania?

Teraz uśmiechnęła się naprawdę. Było to przelotne, miękkie rozluźnienie warg, które zaraz uleciało.

- Owszem, mamy.

Trzymał w ręce odkorkowaną butelkę whisky. Podniósł na Rachel wzrok.

- Co takiego, kochanie?

Potrząsnęła głową, uczyniła gest w kierunku butelki.

- Najpierw sobie nalej. - Sięgnęła po kieliszek do wina, postawiła koło jego szklaneczki. - I nie zapomnij o mnie.

Nalał sobie solidną podwójną whisky, po czym odkorkował butelkę Chardonnay i nalał Rachel. Podnieśli obydwój trunek.

- To pijemy - spojrzał na nią pytająco - za co?

- Dostałam pracę - odparła z kieliszkiem przy ustach.

Nie drgnął.

- To wspaniale. Gratuluję.

- Dziękuję. - Pochyliła się i stuknęła kieliszkiem leciutko w jego szklaneczkę. - Życz mi powodzenia.

- No, myślę.

Nie odwracając wzroku od jej oczu, Jake wychylił prawie całą szklaneczkę. Rachel umoczyła wargi w winie.

- Poszło to znacznie łatwiej, niż się spodziewałam. Nie wyobrażasz sobie, jaką miałam treść.

Jake skwitował to chrząknięciem.

- W którym banku?

Odstawiła kieliszek.

- W żadnym. Zamiast banku spróbowałam w szpitalu.

Jake sięgnął po butelkę, dolał sobie whisky.

- Nim coś postanowiłam, zadzwoniła Suzy. Przypomniała mi, że pracowałam wiele lat jako wolontariuszka w szpitalu i że pewnie Ron Campbell weźmie to pod uwagę. - Uśmiechnęła się. - I rzeczywiście. Mam w czwartek pierwszy dyżur na Oddziale Nagłych Wypadków. - Uniosła jedno ramię, zrobiła lekki grymas. - To dlatego, że w czwartek przypada pierwszy. Płacą dwa razy w miesiącu, więc przyjmują od pierwszego albo od piętnastego. Chętnie bym zaczęła jutro, ale może to

i lepiej, poćwiczyć trochę pisanie na maszynie, wyszykuję sobie garderobę do pracy.

Jake nie pamiętał, kiedy ostatni raz wypowiedziała tyle słów, i to z takim przejęciem.

- Będziesz pracowała na trzy zmiany?

- Nie, w normalnych godzinach biurowych. Wymówiłam sobie to u Rona. Gdybym pracowała wieczorami i w nocy, prawie byśmy się nie widywali.

- Czy to ma znaczenie?

- I owszem, miałoby, Jake. Wydaje mi się, że jest to dla mnie przełomowa chwila. Nie wiem, czy wyrwanie się z domu, podjęcie pracy zawodowej, próba sprawdzenia się jako coś więcej niż dama do towarzystwa szeryfa Jake'a McAdama coś zmieni, ale pierwszy raz od... od... tamtego dnia... wstąpiła we mnie nadzieja. Jestem zdecydowana, spróbuję tej pracy. Liczę, że to zrozumiesz, bo jeśli nie...

Jake spuścił wzrok na szklaneczkę w dłoni. Wolał nie słyszeć końca zdania. Czekał od tygodni, od miesięcy na dzień, w którym Rachel odzyska chęć do życia. I teraz to nastąpiło. Ma rumieńce na policzkach, nadzieję w sercu.

- Rachel, muszę z tobą pomówić.

- Och, Jake, nie odbieraj mi tego! Dlaczego nie możesz zrozumieć...

- Nie chodzi o twoją pracę, Rachel.

Popatrzyła na niego.

- Więc o co?

- Chodź, usiądźmy. Coś się dzisiaj wydarzyło, Rachel.

Odwrócił głowę, utkwiał wzrok w panoramicznym oknie salonu, które tak starannie zaprojektował. Widać przez nie było patio i trawnik za nim, prowadzący do basenu. Widać było cały ogród za domem. Ale nigdzie nie było śladu Michaela-

la. Gdzieś się ukrył. Jake nie wiedział, skąd ma ten instykt, ale go ma. Serce mu się ścisnęło na myśl o uczuciach, jakie muszą targać tym chłopcem, kiedy tak teraz czeka. Podeszedł do okna i, odwrócony plecami, zapytał cicho:

- Pamiętasz ten okres w Miami, kiedy mnie zostawiłaś?
- C-co?
- To było piętnaście lat temu.

- Pamiętam. Oczywiście, że pamiętam. Jakżebyś mogła zapomnieć? - Ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w sztywną linię jego pleców. - Jake, co...

- Przechwyciliśmy wówczas wielki transport marihuany. Rick to nazwał sprawą łącznika kolumbijskiego, Ramireza.

- Pamiętam tylko tyle, że mało cię nie zabili.

Obrócił się teraz, popatrzył na nią badawczym wzrokiem.

- Jednej rzeczy nie byłem nigdy pewien, Rachel. Czybyś do mnie wróciła, gdybym nie został postrzelony?

Wstała i podeszła do baru. Odstawiła kieliszek z taką siłą, że trochę wina chlusnęło na blat.

- Czemu o to teraz pytasz, Jake? To było sto lat temu. Wróciłam, więc o czym tu mówić?

Nie odpowiedziała na jego pytanie, obydwójce byli tego świadomi.

- Nie zmuszałam cię do odejścia z brygady antynarkotykowej. Podjąłeś decyzję sam. - Zaciśnęła wargi w wąską linię.

- Normalka. W tamtych czasach ty podejmowałeś wszystkie decyzje.

- Decyzja utrzymania naszego małżeństwa była wielką decyzją. I to ty ją podjęłaś.

- To był dla mnie trudny okres - powiedziała cicho. - Kiedy postanowiłeś rzucić tamtą pracę, uznałam, że to dla nas druga szansa. Dla naszego małżeństwa. Nie chodziło o to, czy

cię kocham. Kochałam cię. Nadal cię kocham. Buntowałam się tylko przeciwko trybowi życia, jaki sobie obrałeś. W tym tkwiło sedno problemu.

Zrobił głęboki wdech, niepewny, czy to, co teraz powie, nie rozbije ostatecznie ich małżeństwa. Konieczność zaakceptowania nie chcianego doprowadziła ją już raz do skrajnego zerwania.

- Miałem dzisiaj gościa. Chłopca.

Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Wyciągnęła rękę, żeby się oprzeć o bar.

- Scottie - wyszeptwała. - Dowiedziałeś się czegoś o Scottiem.

- Nie! Mój Boże, Rachel!

Podbiegł do niej, klnąc się w duchu. Odstawiwszy szklankę na bar, przyciągnął ją do siebie. Czuł dreszcz, który ją wstrząsa. Zaczął ją gładzić po plecach i ramionach, jakby w ten sposób spodziewał się odpędzić ten dreszcz.

- Nie chodzi o Scottiego! To nie ma z nim nic wspólnego! Kochanie, nie...

Wyswobodziła się z jego objęć.

- Nic mi nie jest. - Podniosła dłoń do gardła. Głos jej się załamywał. - C-co ty mi usiłujesz powiedzieć, Jake?

- Ten chłopiec, który dzisiaj przyszedł... - Urwał, potarł kark. Nie patrzył jej w oczy. - Wtedy, kiedy cię nie było, wieczorem po telefonie do ciebie, poszedłem do baru się upić. Spotkałem tam kobietę, którą znałem. Była naszą wtyczką w gangu Ramireza. Zaczęliśmy razem pić, wypiliśmy za dużo.

Zerknął ukradkiem na twarz Rachel. Przypominała zastygłą maskę. Rękę Rachel trzymała wciąż na gardle. Nieruchomo jak śmierć.



- Poszliśmy do jej mieszkania.
- Nie chcę tego słuchać.

Jej ton ugodził go jak cios.

- Muszę ci to powiedzieć, Rachel. Spędziliśmy razem noc. - Posłał jej błagalne spojrzenie. - Ten jeden, jedyny raz. Od razu wiedziałem, że to pomyłka. Nie miało to żadnego znaczenia. To... Ona... Nawet jej nie pamiętałem, kiedy...

- Kiedy co? Co?!

- Ten chłopiec, który dzisiaj przyszedł, Rachel... Ma na imię Michael. Kończy niedługo piętnaście lat.

Patrzyła na niego nic rozumiejącym wzrokiem.

- O czym ty mówisz?
- Rachel, to mój syn.

Szok był ponad jej siły. Bar nie stanowił już dostatecznego oparcia. Na uginających się nogach podeszła do kanapy i zapadła głęboko w poduszki. Żałowała w tej chwili, że nie może się zapaść pod ziemię.

- Masz, wypij to, Rachel.

Jake podał jej kieliszek. Był to koniak. Poznała po zapachu. Trzymali go na szczególnie uroczyste okazje. Ból przeszył ją jak ostrze. Wzięła kieliszek i wychyliła prawie do dna. Poczowała ogień w gardle, zakrztusiła się.

- Przepraszam, kochanie.

Wpatrywała się w swoje palce zaciśnięte na kieliszku. Trunek chybotął się w rżniętym szkle, światło migotało refleksami.

- Skąd możesz mieć pewność?

Nie odpowiedział od razu. Usiadł na kanapie, nie za blisko niej.

- Mam pewność. Jest list jego babci, dokumenty, świadectwo urodzenia.

Rachel chlusnęła mu koniakiem w twarz, po czym wybuchnęła płaczem.

Jake odwrócił się powoli, otarł twarz rękawem. Poza tym nie okazał żadnej reakcji. Odzyskawszy głos, Rachel zapytała lodowato:

- A gdzie jego mat... ta kobieta?
- Nazywała się Anne-Marie D'Angelo.
- Guzik mnie obchodzi, jak się nazywała. Gdzie jest?
- Nie żyje. Zginęła, kiedy miał pięć lat.
- Więc ta babka? Gdzie ona jest?
- Umarła dwa miesiące temu. Został sam, Rachel. Zajął mu półtora miesiąca, żeby tu dotrzeć.

Pochyliła się gwałtownie, ukryła twarz w dłoniach.

- Nic mnie to nie obchodzi! Nie wyobrażaj sobie, że możesz tu przyjść, zrobić to plugawe wyznanie i oczekiwać...
- Urwała, podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. - Czego ty się właściwie spodziewasz, Jake?

- On nie ma nikogo, Rachel.

Jej oczy płonęły gniewem.

- Czego ty ode mnie oczekujesz? Odpowiedz mi, niech cię diabli!

- To mój syn.
- O, Boże, o, Boże!

Objęła ciało ramionami i jęła się kołysać w udręce. Jake wyciągnął rękę, przysunął się bliżej.

- Nie dotykaj mnie!
- On czeka w ogrodzie, Rachel.
- Niech sobie czeka do sądneho dnia!

Jake milczał chwilę.

- Jesteś zmęczona i zszokowana. Nie dziwię ci się...
- Ty mi się nie dziwisz!

Posłała mu spojrzenie.

- Przykro mi - powiedział Jake zdecydowanie. - Może chcesz pójść do sypialni? Lepiej, żebyś poznała Michaela, kiedy będziesz mniej wzburzona.

- Kiedy będę mniej wzburzona? - powiedziała przez zaciśnięte zęby, wstając z kanapy. - Zawsze będę wzburzona, jeśli chodzi o twoje stosunki pozamałżeńskie i twoje błędy.

Zrobił krok, stanął twarzą tuż przy jej twarzy. Ująwszy ją za ramiona, powiedział cicho:

- Nie waż się nigdy więcej użyć tego słowa w stosunku do Michaela.

- Patrzyła na niego niemo. Oczy świeciły jej się od powściąganych łez. Jake ją puścił.

- Nie będę trzymał mego syna dłużej na dworze jak przybłądę. Nie po to mamy dom o dwustu pięćdziesięciu metrach, z dwoma pokojami gościnnymi.

Ruszył ku rozsuwanym drzwiom wychodzącym na patio.

- Z jednym pokojem gościnnym - powiedziała Rachel.

Jake się zatrzymał.

- Co to znaczy, Rachel?

- Zostanie jeden, kiedy się przeprowadzisz do drugiego.

Zaległa martwa, pełna napięcia cisza.

- Chcesz powiedzieć, że nie życzysz sobie dłużej dzielić ze mną sypialni? - spytał w końcu Jake.

- To właśnie chcę powiedzieć.

Przez chwilę myślał, że uczyni coś gwałtownego. Gniew wykrzywił mu twarz.

- To twoje ostatnie słowo?

Jej własny gniew nieco zelżał.

- Nigdy ci tego nie wybaczę, Jake.

W jego oczach pojawił się niemy wyraz udręki. I zaraz znikł. Jake się wyprostował.

- Niech i tak będzie, Rachel.

Michael siedział na trawie, oparty plecami o drzewo, z daleka od szerokich oszklonych drzwi pokoju, w którym się domyślał salonu. Nie mógł wyjść z podziwu nad widokiem, który się rozpościerał przed jego oczami. Ukwiecone patio z meblami ogrodowymi i huśtawką. Trawnik tak zielony, że wydał mu się nierzeczywisty. Pochylił się, żeby sprawdzić, czy to nie sztuczna darni, jakiej używają do pokrywania boisk piłkarskich. Ale nie, trawa była żywa jak wiatr. Największe dobrodziejstwo stanowił oczywiście basen. Prawdziwy, rzeczywisty basen. I to duży. Rzecz, w której on jest naprawdę dobry, to pływanie. Tylko że w Iowie nie miał nigdy czasu na trening, żeby wejść do drużyny szkolnej, chociaż trener mu to proponował. Nie mógł się doczekać, kiedy wypróbuje trampolinę. Rany, to będzie coś! Wylądował w istnym raju!

Zerknął na oszklone drzwi, zastanawiając się, czy zostanie zaproszony do środka, czy też tatuś będzie go musiał zabrać na noc do biura, zanim zdecyduje, co z nim zrobić. Wolałby nie spać w areszcie, nawet jako gość. Widział areszt. Oprowadził go jeden z podwładnych tatusia.

Michael przycisnął chlebak mocniej do brzucha, odpychając od siebie obrazy domu, z którego się wyrwał. Babcia Dee utrzymywała wszystko w czystości i porządku, ale był to nędzny domek czynszowy, w którym ciekły krany, nigdy nie starczało ciepłej wody na porządny prysznic, a kaloryfery nie miały należytego odpowietrzenia, tak że przez większą część zimy pachniało olejem grzewczym.

Oparłszy głowę o szorstką korę drzewa, jął się przez różo-

we kwiecie na gałęziach przypatrywać niebieskiemu niebu i refleksom słońca. Pograżył się w marzeniach...

Jake rozsunął drzwi do ogrodu i wyszedł bezszelestnie do patia. Michael siedział oparty o pień krępej palmy. Podszedłszy bliżej, Jake stwierdził, że chłopiec śpi. Na widok młodzieńczych rysów poczuł skurcz w piersi. Zapomniał go zapytać, gdzie spał ostatniej nocy, ale wiedział, że na pewno nie w hotelu. Prawdopodobnie na jakiejś plaży, pod osłoną czyjegoś moła. W nocy padało, przypomniał sobie. I nic był to wiosenny kapuśniaczek, lecz prawdziwe oberwanie chmury. Rzecz zwykła na Florydzie, lecz nie to, do czego Michael przywykł w Iowie. Dobrze przynajmniej, że to maj i temperatura nocą rzadko spada poniżej dwudziestu stopni. Zrobił głęboki wdech, dziękując Bogu za tę drobną łaskę.

- Obudź się, synu - powiedział pochylając się i ściskając lekko ramię chłopca.

Michael zamrugał nieprzytomnie, spoglądając na ojca w chwilowym zagubieniu. Poderwał się na nogi, rzucił szybkie spojrzenie za Jake'a, na drzwi domu.

- Wszystko w porządku? - zapytał trwoźnie.

- Oczywiście, że w porządku. Chodź do środka. Pewnie jesteś głodny. Minęło sporo czasu, odkąd jedliśmy te hamburgery.

- Tak, proszę pana.

Michael zarzucił na ramię chlebak i ruszył za Jake'em, usiłując mu dotrzymać kroku. Z zaciśniętą szczęką, Jake odsunął drzwi i wprowadził chłopca do środka. W salonie Rachel nie ma, stwierdził ponuro. A więc tak to postanowiła rozegrać. Ze względu na Michaela miał nadzieję, że odsunie na bok swoje żale, przynajmniej na dzisiaj. Cóż jest winien ; chłopiec?

- Połóż tymczasem chlebak na podłodze przy drzwiach powiedział zsuwając mu pasek z ramienia. - Później cię ulokujemy, ale najpierw będziesz się pewnie chciał rozejrzeć, poznać trochę dom. Łazienka jest na końcu korytarza, kuchnia tutaj na wprost. Za wnęką śniadaniową.

Michael kiwał głową, idąc za wzrokiem Jake'a.

- Tak, proszę pana.

- Zobaczę, co z obiadem. - Jake ruszył ku podwójnym drzwiom prowadzącym do kuchni, ale powstrzymało go coś w postawie syna. - Stało się coś, Mike?

Stojąc nieruchomo, chłopiec chłonał wszystko całym sobą.

- To naprawdę piękny dom.

- Ja też tak uważam.

Wnętrze było przestronne, robiło gościnne wrażenie. Rachel urządziła wszystko ze smakiem, w kremowym kolorycie, który zestawiała z drewnem o delikatnej tonacji dębu. Okna, ozdobione wiszącymi roślinami, wpuszczały pod dostatkiem światła. Kana-py i fotele były głębokie i wygodne, zapraszająco zaopatrzone w dodatkowe poduszki. Całą jedną ścianę zajmowały półki z gustomnie ustawionymi książkami i pamiątkami osiemnastu lat ich małżeństwa. Ostatni nabytek stanowiła szafa z ogromnym telewizorem, aparaturą do odtwarzania płyt kompaktowych i głośnikami stereofonicznymi. Rachel kochała muzykę.

Jake uczynił gest w kierunku nowej części domu.

- Tam jest nasza sypialnia - poinformował. - Dobudowa-liśmy ją nie tak dawno. Moja żona...

Urwał, bo nagle w drzwiach ukazała się Rachel. Napotka-wszy jej wzrok, Jake doznał takiego przypływu uczuć - za-skoczenia, wdzięczności, ulgi, niepokoju - tylu sprzecznych emocji, że sam nie potrafiłby ich określić. Zatrzymała się, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Jake położył opiekuńczo dłoń na ramieniu Michaela, odchrząknął.

- Michael, poznaj moją żonę, Rachel. - Patrząc jej wciąż w oczy, pchnął chłopca lekko do przodu. - Rachel, to mój syn, Michael.

- Witaj, Michaelu.

Nawet gdyby od tego zależało jej życie, Rachel nie byłaby w stanie zdobyć się na uśmiech. Chciała, próbowała, ale nie zdołała się uśmiechnąć.

- Dzień dobry pani.

Boże, jest taki podobny do Jake'a! Dlaczego musi być taki do niego podobny?

Zorientowała się, że stoi i wpatruje się w niego za długo, kiedy Jake zaproponował:

- Może usiądziemy na chwilę?

- Tak, oczywiście.

Przyglądała się, jak Jake delikatnie prowadzi Michaela naokoło stolika i sadza na kanapce pod oknem. Sam poczekał, aż Rachel usiądzie na kanapie naprzeciwko nich. Patrząc, jak siedzą koło siebie, niemal z identycznym wyrazem twarzy - baczny, wyczekujący, jakby mieli przed sobą skorpiona - poczuła raptem dotkliwe osamotnienie.

- Pokazywałem Michaelowi dom.

Michael podniósł na nią wzrok.

- To naprawdę piękny dom.

- Dziękuję - bąknęła.

- Powiedziałem Michaelowi, że go później ulokujemy, ale może przedtem byśmy coś zjedli.

- Ta-ak.

Michael porwał się na nogi, kiedy wstała.

- Skąd jesteś, Michaelu?

- Z Des Moines. To w stanie Iowa. Była pani tam?
  - Nie, nigdy nie byłam w Iowie.
  - Jest tak samo równinna jak Floryda, tylko nie taka zielona.
- Obrócił wzrok do okna. - Nigdy nie widziałem tyle zieleni.

Raptem zaśmiał się cicho, aż Rachel zamarło serce. Przypominało to tak bardzo chichot Jake'a.

- Musiałem dotknąć trawy, żeby się przekonać, czy jest prawdziwa.

Rzuciła okiem na Jake'a i stwierdziła, że przygląda się Michaelowi z wyrazem, który ją przeraził. Jest nim zafascynowany, zauroczony. Wręcz zakochany w nim. Nie miała na to innego określenia. Michael wkroczył w jego życie przed pół dniem, a Jake jest już gotów otworzyć mu serce. „A co ze Scottiem?” - upomniało się jej własne serce.

- Myślałem, że jest sztuczna, tak jak w Superdomie czy w Astrodome - wyjaśnił Michael.

- Tak, wiem - kiwnęła głową Rachel.

- Obiecałem Michaelowi coś do zjedzenia, Rachel - odezwał się Jake cicho, bez nacisku.

Zostawia to jej. Ale w głowie miała pustkę. Czy przygotowała jakiś obiad? A, tak, pieczeń wołową. Minęły wieki, odkąd ostatni raz ugotowała prawdziwy obiad, ale dzisiaj chciała zrobić coś specjalnego. Nie dlatego że dostała pracę, dlatego że postanowiła się otrząsnąć ze straszliwego letargu, jaki ją ogarnął, odkąd Scottie... Jej wzrok pobiegł ku Michaelowi i w gardle poczuła piekącą gorycz. Boże, to niesprawiedliwe! Takie niesprawiedliwe!

Podniósłszy oczy, napotkała wzrok Jake'a. Obserwuje ją w milczeniu. Czeka. Odwróciła się, owładnięta rozpaczą, przerażeniem. Zebrawszy wszystkie siły, weszła do kuchni.



# Milczenie nocy

## 4

Jake stał w drzwiach, przyglądając się, jak Rachel dokonuje kilku ostatnich przygotowań w kuchni. Michael stał tuż za nim i też się przyglądał.

- Pomóc ci? - spytał Jake. - Zanieść coś na stół?

Rachel wyłożyła lnianą serwetką koszyk na pieczywo i wyjęła z piekarnika ciepłe bułeczki. Podniósłszy wzrok, wskazała trzy szklanki z mrożoną herbatą.

- Może herbatę. Sól i pieprz.

- Dobrze. Ja wezmę szklanki. Ty, Michaelu, weź sól i pieprz.

Uprzedzając ich, Rachel zaniósła do jadalni koszyk z pieczywem i przestawiła na stole parę rzeczy. Środek ozdabiały świece i świeże kwiaty. Kwiaty kupiła na targu, w drodze powrotnej ze szpitala. Zrobiła również zakupy, jakich nie robiła od miesięcy. Teraz zgarnęła świece i wrzuciła je do szuflady stylowego bufetu pod oknem. Z trzaskiem zamknęła szufladę. Odeszła ją ochota na świętowanie.

Michael zrobił wielkie oczy na widok pięknie nakrytego stołu. Przygląda się jak dziecko, które jest pierwszy raz w te-

atrze, zauważyła Rachel, z uporem trwająca w swojej niechęci. Bez słowa podał jej solniczkę i pieprzniczkę. Zawahała się, nim je wzięła i postawiła na stole.

- Siadaj, Mike - powiedział Jake, ciągle z tą fascynacją na twarzy.

- Myłeś ręce? - spytała ostro Rachel.

Michael oblał się rumieńcem, zlustrował szybko dłonie.

- A-a, moja wina, Mike. - Jake, który już miał usiąść, zatrzymał się. - Wszystko pachnie tak smakowicie, żeśmy zapomnieli o manierach. Pamiętasz, pokazywałem ci, gdzie jest łazienka. - Wskazał ruchem głowy. - Tak, tam.

- Zaraz wracam - bąknął Michael. Wstając skrobął nogą krzesła o lakierowany parkiet. - O, przepraszam - wymamrotał, rzucając szybkie spojrzenie na Rachel.

- Nic się nie stało - powiedział spokojnie Jake. - Czekaemy na ciebie.

Kiedy drzwi łazienki zamknęły się za nim, w jadalni zapanaowała cisza. Rachel zdawała się pochłonięta rozkładaniem serwetki na kolanach, przesuwaniem maty pod talerzem, poprawianiem sztućców. Gdzieś uleciało jej całe zadowolenie z otrzymanej posady, nieoczekiwany przebłysk słońca w jej umyśle, przesłonięty gradową chmurą pojawienia się Michaela. Jak zniesie jego stałą obecność, codzienne patrzeć na niego, wieczne rozpamiętywanie zdrady Jake'a?

- Zapiszę go jutro do szkoły - oznajmił Jake.

Rachel, która właśnie uniosła szklanekę, postawiła ją z powrotem, uparcie unikając jego wzroku.

- Co to da? Szkoła się kończy za miesiąc.

- Wiem, ale zapozna się przynajmniej z nowymi kolegami. Pomówię z kuratorem o umieszczeniu go na letnich kur-

sach wyrównawczych. Jechał tu półtora miesiąca. Musi nadgonić stracony czas.

- W ciągu dwóch miesięcy? Życzę powodzenia.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Wystarczy mu się przyjrzeć, Jake. - Rachel zniżyła głos.
- Nie robi na mnie wrażenia zbyt pilnego ucznia. Nie wie...
- Pokręciła głową, zdecydowawszy nie wchodzić bliżej w sprawę, których Michael jawnie nie zauważa. - Nie jestem ekspertem, ale po jego zachowaniu sędzę, że potrzeba będzie znacznie więcej niż dwóch miesięcy. Nie wydaje mi się, żeby jego... jego rodzina przykładła wielką wagę do nauki, nie wspominając już o innych rzeczach, które dla nas są oczywiste.

- Skąd możesz wiedzieć po trzech kwadransach znajomości? - spytał ostro Jake.

- A skąd ty możesz po niecałym dniu wiedzieć, że jest inaczej?

Jake zacisnął pięści. Spuściwszy głowę, wpatrywał się przez dłuższą chwilę w talerz. Potem zrobił długi, powolny wdech.

- Może dokończymy tę rozmowę później, Rachel?
- Świetnie.

Od strony łazienki dobiegł odgłos otwieranych drzwi, potem kroków. Wchodząc do jadalni, Michael się zawahał. Jake podniósł na niego wzrok.

- Jesteś gotów? - Posłał mu ośmielający uśmiech. - Nie wiem jak ty, ale my umieramy z głodu. Wobec tego zaczynamy.

Rachel przeżyła tylko jeden dzień gorszy od tego - dzień zniknięcia Scottiego. Zanim nadszedł wieczór, jej niepewne panowanie nad sobą wisiało na włosku. Targały ją uczucia

zbyt intensywne, by próbowała je analizować. Ilekroć spojrzała na Michaela, zdawało jej się, że pierś wypełnia jej dynamit, który lada chwila rozerwie ją na strzępy. Ilekroć spojrzała na Jake'a, ogarniała ją furia, która ją niemal przerażała.

Nie dokończyli jeszcze odłożonej rozmowy. Nie było możliwości. Obecność Michaela przy stole powstrzymywała ją od uczynienia tego, do czego wszystko się w niej rwało - unicestwienia Jake'a słowami, wyplucia całego rozgoryczenia za jego zdradę, całego gniewu. Ale nie zazdrości! Co to, to nie! Nie odczuwa zazdrości nie tylko dlatego, że osóbką, na którą poleciał te kilkanaście lat temu, była jakaś tania zdzirą. Nie może być zazdrosna, skoro go nie kocha. Bo nie kocha już Jake'a. Stwierdziła, że skupienie się na tej myśli przynosi jej znieczulające uczucie spokoju.

Drzwi od patia otworzyły się raptownie i wszedł Jake z Michaeliem. Wydawali się obaj odprężeni, swobodni w obcowaniu ze sobą. Nie było ich dobre pół godziny. Kiedy odrzuciła ich pomoc przy zmywaniu, uciekli - nie było na to innego określenia - do garażu i przybudówki, w której stała łódź. Scottie uwielbiał tam chodzić z Jake'em. „To męskie sprawy” - poinformował kiedyś matkę z rozbrajającą wyższością. W przybudówce, oprócz łodzi, Jake przechowywał narzędzia oraz ekwipunek wędkarski i łuczniczy, w tym wspaniałe nowy łuk z urządzeniem, które umożliwiała naciąganie i strzelanie nawet sześciolatkowi. Jake uczył Scottiego łucznictwa. Ból zdławił Rachel gardło.

Zasunawszy za sobą drzwi, doszli do połowy pokoju, nim ją zauważyli. Na twarzy Jake'a pojawił się wyraz czujności, na twarzy Michaela - niepewności. Z dworu napłynęła woń słodkiej oliwki. Rachel posadziła krzew, by napawać się w gronie rodzinnym jego niepowtarzalnym zapachem.

W gronie rodzinnym! Z Jake'em i Scottiem! Nie z tym zanedbanym, wynędzniałym - Boże, jak wynędzniałym! - wyrostkiem.

- Oglądaliśmy „Pelikana” - oznajmił Jake sięgając za plecami Michaela, żeby zgasić światło w przybudówce.

- Tak przypuszczalam.

Rachel przełknęła z trudem. To Scottie nadał nazwę łodzi. Śmieli się oboje z Jake'em, nie pojmując, czemu Scottie wybrał tego nieładnego, niezdarne ptaka zamiast na przykład egzotycznego flaminga. Albo białego żurawia. Czy nawet niepokążnej czapli, zamieszkującej każdy najmniejszy zbiornik wodny na Florydzie. Ale Scottie uparł się przy „Pelikanie”. A ponieważ on ją tak ochrzcił, łódź jest jego własnością. Jake nie ma prawa...

- To prawdziwe чудо! - oświadczył Michael.

Oczy błyszczały mu podnieceniem. I szczęściem. Ślepy dostrzegłby jego radość, pomyślała Rachel.

- Niedługo wyprowadzimy łódź na wodę - dorzucił Jake, zarażony entuzjazmem chłopca.

- Rany, to będzie coś!

- No, myślę - potwierdził Jake z uśmiechem.

- O mnie nie trzeba się będzie bać - oznajmił Michael.

- Bać? A dlaczego mielibyśmy się o ciebie bać?

- Chciałem powiedzieć, że umiem pływać. O łowieniu ryb nie mam pojęcia, ale przynajmniej nie utonę.

Jake się roześmiał, poklepał go lekko po ramieniu.

- Prawdę mówiąc, nie miałem wątpliwości, że umiesz pływać, Mike. A co do łowienia ryb, to żadna filozofia. Wypłyniemy parę razy i będziesz ich łowił tyle, że wkrótce zabraknie nam miejsca w zamrażalniku.

- Serio?

- Możesz mi wierzyć - potwierdził wciąż uśmiechnięty Jake.

„Możesz mi wierzyć!” Rachel się odwróciła i ruszyła ku schodom, nie chcąc, by widzieli jej twarz, domyślili się jej uczuć. Jak Jake śmie wymawiać te słowa w jej obecności? I to do Michaela, żywego świadectwa jego wiarołomstwa!

- Rachel?

- Idę sprawdzić pościel w pokoju gościnnym - odparła sucho.

Niech zgaduje, w którym pokoju gościnnym. Pokoju dla niego czy dla jego nowo objawionego syna.

Wyczuwając instynktownie granicę, do jakiej Rachel jest gotowa się posunąć, Jake wziął na siebie zadanie pokazania Michaelowi, gdzie będzie mieszkał. Starając się rozładować jego skrzepowanie, pomógł mu oblec świeżą pościel i umieścić skromny dobytek w szufladach bieliźniarki. Rachel, zatrzymawszy się na korytarzu, słyszała ich głosy, niski spokojny Jake'a i to załamujący się, to nieco pewniejszy Michaela. Chłopak reaguje jak szczeniak na każde przyjazne pogłaskanie, pomyślała. Usłyszawszy, jak Jake posyła go do łazienki, wciągnęła spazmatycznie powietrze. Niedługo pójdzie spać. Nadchodzi godzina rozrachunku z Jake'em.

Wyszedłszy na podest schodów, Jake napotkał jej zastygłe spojrzenie. Stał i przez kilka długich sekund mierzyli się wzrokiem w bladym świetle nocnego kinkietu. Pulsowała w nich obopólna świadomość, zrodzona z intymności osiemnastoletniego pożycia, że oto znaleźli się na rozstajnych drogach. Że to, co dziś powiedzą i zrobią, może rozerwać nieodwracalnie tkankę ich wspólnoty. Żadne z nich nie było przygotowane na to, co ich spotkało. Najpierw Scottie, teraz Mi-

chael! Badając się oczami, stali bez ruchu, jakby w obawie, że najmniejsze poruszenie może wyzwolić coś, czego żadne z nich nie chce. Po chwili, słysząc, jak Michael zakręca prysznic, obrócili się i wciąż bez słowa zaczęli zgodnie schodzić na dół.

Jake nalewał sobie w gabinecie whisky, kiedy zadzwonił telefon. Klnąc pod nosem, Jake podniósł słuchawkę i wkrótce, z jego tonu i lapidarnych odpowiedzi, Rachel się zorientowała, że to sprawa służbowa. Z irytacją wstała z kanapy, nie bardzo słuchając rozmowy. Chyba nie wyciągną go akurat dzisiaj do jakiejś nagłej sprawy!

Zatrzymała się przy rozsuwanych drzwiach do ogrodu. Biorąc pod uwagę, o czym mają mówić, najlepiej będzie chyba porozmawiać w patiu. Obróciła się do Jake'a, który dał jej znak, że to chwilę potrwa. Zasłonił dłonią mikrofon i rzucił półgłosem:

- Może zajrzysz do Michaela, dobrze? Ma chyba wszystko, co trzeba, ale... - Odsłonił gwałtownie słuchawkę i zaklął do telefonu. - Ależ to nie jest w jurysdykcji miasta, Frank. Powiedz Gonzalesowi... - Słuchając czegoś, co mówi Frank Cordoba, patrzył gniewnym wzrokiem na palmę w patiu. - Dobra, dobra. Więc powiedz zastępcy Gonzalesa, żeby się z nami jutro porozumiał. Jeżeli uznam, że to w porządku, jeżeli to faktycznie sprawa miasta i jeżeli dadzą nam to na piśmie, to pójdziemy na współpracę. Rozumiesz? - Spuścił wzrok na swoje stopy, słuchał chwilę. - Dobrze, daj Milta.

Rachel wyszła. Trudno było przewidzieć, jak długo to potrwa. Z ociąganiem zatrzymała się pod drzwiami pokoju, w którym umieścili Michaela. Zastygła z dłonią uniesioną do zapukania. Drzwi były uchylone, pokój prawie ciemny. Jedyne światło dawała świetlówka w akwarium wbudowanym w regał. Rachel zamrugała w zaskoczeniu. Michael, owinięty

tylko ręcznikiem, po niedawnej kąpieli, stał jak urzeczony przed akwariem i przyglądał się rybkom. Gdy tak patrzyła, poprawił ręcznik jedną dłonią, a drugą sięgnął po puszkę z karmą dla ryb.

Jest bardzo chłopięcy, zbyt wybujały, smukły jak trzcina. A mimo to taki podobny do Jake'a, stwierdziła. Ma te same długie, dobrze umięśnione nogi. Pozę Jake'a, z jednym biodrem wysuniętym lekko do przodu, ze stopami rozstawionymi prawie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Nawet skłon ramion ma ten sam. A ileż razy widziała, jak Jake odchyła w podobny sposób głowę, żeby się lepiej przyjrzeć czemuś, co go fascynuje? Zbliżywszy się dostrzegła na ramieniu chłopca małe brązowe znamię, identyczne jak to, które tyle razy całowała na ramieniu Jake'a.

Wyczuwszy w końcu jej obecność, Michael się obrócił.

- A, pani Rachel. Nie zauważyłem pani.

- Pewnie dlatego, że zgasiłeś światło.

Wzruszył niepewnie ramionami.

- Zgasilem, bo te rybki są takie interesujące, chciałem im się przyjrzeć po ciemku. Znaczący, tylko przy świetle akwarium.

- Lubisz złote rybki?

- Chyba tak. Nigdy nie miałem rybek. - Zwrócił ponownie wzrok na akwariem. - Ale owszem, podobają mi się. Przyglądałem się, jak pływają. Poruszają płetwami tak powoli, od niechcienia, jakby nie miały żadnej troski w świecie. To miłe.

Rachel popatrzyła na akwariem. Nie kryło się w nim nic nadzwyczajnego, tylko zwykłe złote rybki, ale wiedziała dokładnie, co Michael ma na myśli. Samo przyglądanie im się niesie spokój, odprężenie. No, jeśli chodzi o nią, niosło kiedyś.

- Leżąc w łóżku, będę słyszał bulgotanie powietrza w wo-



dzie. To mi się podoba. - Zachichotał nagle. - Przyjemniejsze niż pociągi towarowe.

- Pociągi towarowe?

- Myślę o miejscu, gdzie mieszkałem. To było blisko stacji, tak że leżąc w łóżku, słyszałem każdy przejeżdżający pociąg, aż zasnąłem.

- To musiało być... denerwujące.

Przyglądał się chwilę, jak przez akwarium przepływa cętkowana rybka z długim ogonem.

- Człowiek się przyzwyczaja.

Rachel poczuła pierwszy przypływ czegoś, co nie było urazą, gniewem, poczuciem krzywdy. Zdusiła w sobie to szybko.

- Będiesz tęsknił za Des Moines?

Potrząsnął głową, nie odrywając wzroku od akwarium.

- N-nie. Nic tam nie zostawiłem.

Powiedział to beznamiętnie, ale nie wiedzieć czemu poruszyło to Rachel bardziej niż wszystko, co od niego dotąd usłyszała. Czternaście lat, suma jego całego dotychczasowego życia skwitowana tak beztrudnie! Czyż nie miał ani jednego przyjaciela? Nie zbliżył się z nikim w szkole? Nic go nie wiązało z tym miastem? Jeśli nie szkoła, to może sport? Jakaś dorywcza praca? Parafia? Czyż nie miał tam nikogo z krewnych, na miłość boską? Jak to możliwe, żeby ten chłopiec po tylu latach niczego nie żałował?

Przez głowę przebiegały jej te myśli, kiedy Michael ponownie podciągnął opadający ręcznik.

- Twoja piżama jest jeszcze w pralce?

Spojrzał w dół, po raz pierwszy zdając sobie najwidoczniej sprawę swojej prawie całkowitej nagości.

- N-no, ja...

Po kolacji Rachel słyszała chodzącą pralkę i sądziła, że to Jake włożył do niej rzeczy Michaela. Pranie piżamy, przygotowania do snu stanowiły grunt znacznie bezpieczniejszy niż głębokie wody, na jakie się puszcza rozmawiając - a nawet myśląc - o przeszłości Michaela.

- Pójdę, wyjmę ją - oznajmiła.

- Pani Rachel...

- Wsadzę ją do suszarki, za kwadrans będziesz ją mógł włożyć.

Przybrała teraz energiczny ton. Dosyć ma tego chłopca z jego niefortunnym wychowaniem. Nie chciała o tym dzisiaj więcej myśleć.

- Pani Rachel, niech pani zaczeka.

Obróciła się z ręką na klamce.

- Co takiego?

- Ja nie mam piżamy.

- C-co?

- Nie mam piżamy.

- W ogóle?

- Nie, proszę pani. Nigdy nie śpię w piżamie.

- A w czym śpisz?

- N-no...

Uciekł przed nią wzrokiem. Wzruszył ramionami.

Śpi bez niczego. Goły. Ma czternaście lat i śpi goły. Wciągnęła głośno powietrze, pragnąc tylko jednego - uciec stąd. Potem przypomniała sobie, po co tu przyszła.

- Jake mnie prosił, żebym sprawdziła, czy masz wszystko, czego ci potrzeba - powiedziała nie patrząc na niego.

- O, tak, tak. Oczywiście. Dziękuję, pani Rachel.

- W takim razie...

- Chciałem tylko...

Zamknęła oczy, obróciła się do niego z powrotem.

- Tak, co chciałeś?

Odstawił puszkę z karmą na półkę.

- Chciałem zapytać, czy mogę panią nazywać panią Rachel. Myślałem, jak się do pani zwracać, i to mi się wydaje najważniejsze.

Rachel patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Serce łomotało jej sprzecznymi uczuciami - współczuciem i szaleńczą żądzą odtrącenia tego nieprawego syna Jake'a bez względu na to, jak jest rozbrajający i jak trudne miał życie.

- Ja wiem, że to dla pani diablo trudne - podjął cichym głosem, gdy zaraz nie odpowiedziała. - Nagle się tu zjawiam, a pani nie miała w ogóle pojęcia o moim istnieniu. Dla pani męża to co innego, bo on jest w końcu moim tatusiem. -W jego oczach, kiedy napotkał jej spojrzenie, malowały się ból i skrucha. Wyprostował się, przygotowany na najgorsze. - Rozumiem, że to dla pani cholerny szok.

- Owszem, nie jest to łatwe - bąknęła Rachel, pocierając skroń, która zaczęła jej nagle pulsować.

Przez chwilę mierzyli się z Michaeliem wzrokiem, tak jak kwadrans temu ona z Jake'em. Z akwarium dochodziło ciche bulgotanie, które działało na oboje kojąco. We wszystkim tym nie ma winy chłopca, myślała Rachel. Pozostało jej chyba jeszcze dość miłosierdzia w sercu, żeby wyciągnąć z tego wniosek.

- Możesz mi mówić pani Rachel - powiedziała. - Będzie mi bardzo miło.

Michael odetchnął z ulgą.

- Dziękuję. Zobaczę panią pewnie rano.

W gabinecie Jake właśnie odłożył słuchawkę. Podniósł wzrok, sięgając po szklaneczkę z whisky. Wychylił dobrą połowę zawartości, nim zapytał:

- Stało się coś?
- Będziesz musiał pójść na górę.
- Dlaczego? Co się stało?

Rozejrzała się, jakby zbierając cierpliwość. Z westchnieniem zwróciła z powrotem spojrzenie na Jake'a.

- Michael gotów jest do snu. Prosiłeś, żebym sprawdziła, czy mu czegoś potrzeba.

Uniósł brwi.

- I co?
- Otóż potrzeba. Nie ma piżamy.
- Piżamy?
- Tak, Jake - odparła siląc się na spokój. - No, takiej części garderoby, którą się okrywa ciało na noc.

- A, diabli! - Jake rzucił okiem w kierunku pralni, po czym stuknął się w głowę. - Zapomniałem przełożyć jego rzeczy do suszarki.

- W pralce nie ma piżamy. On śpi nago.

Po chwili Jake parsknął śmiechem.

- Nie żartujesz?
- Idź, przekonaj się sam. Uważa, zdaje się, że to w porządku.

- Bo jest w porządku. - Jake miał wciąż na twarzy przekorny uśmiech. - Przynajmniej jeśli chodzi o jego staruszka.

- Mówię serio, Jake. Idź, daj mu jakiś swój podkoszulek i każ go włożyć. - Jej ton był cichy, ale nie znoszący sprzeciwu. - A przy okazji dopilnuj, żeby naciągnął również gatki.

- No, no! - Jake przybrał pojednawczy ton. Podniósł na nią wzrok i powściągnął uśmiech, który mu jednak igrał nadal w oczach. - Nie martw się, Rachel. Dam mu coś do włożenia i pomówię z nim. Zachowuje się po prostu tak, jak jest na-

uczony, ale chce z nami żyć dobrze, więc gotów by spać w garniturze z kamizelką, gdybym go o to poprosił.

- To świetnie. - Odwróciła się. - Będę na ciebie czekała w patiu.

Drzwi były lekko uchylone, kiedy Jake się zatrzymał przed pokojem Michaela, ze starą koszulką w ręce. Zapukał cicho.

- Jak tam, wszystko w porządku?

- Tak, w jak największym.

Światło akwarium wypełniało pokój miękkim blaskiem. Michael leżał na boku, z ramieniem pod głową, przykryty do połowy prześcieradłem. Kiedy Jake wszedł, poderwał się na łóżku, oparł ramieniem o wezgiłowie. Był chudy jak chart, skórę miał bladą, ale kryła się w nim zapowiedź tężyzny i siły, identyczna jak ta, która cechowała Jake'a, kiedy był w jego wieku. Na ten widok Jake poczuł przypływ nagłej, obezwładniającej miłości ojcowskiej. Uczucie było tak nieoczekiwane, tak... pierwotne, że Jake zastygł u stóp łóżka, zapominając, po co tu przyszedł.

Ten chłopiec wkroczył w jego życie niespełna czternaście godzin temu, a już poruszył w nim strunę, jaką przedtem poruszyło tylko pierwsze zetknięcie ze Scottiem. Scottie był malutki, odbarwiony i darł się wniebogłosey, protestując przeciwko dolegliwościom aktu narodzin, przeciwko ostrym światłom i chłodowi sali porodowej. Ale wystarczyło jedno spojrzenie, a pierś wezbrała Jake'owi wzruszeniem, które wykraczało daleko poza uczucie dumy i radości. Wrażenie było natychmiastowe i przeniknęło go do głębi. Jake myślał, że nie zazna czegoś podobnego nigdy więcej.

Mylił się.

- Czy... - Jake zaśmiał się cicho, potarł palcami nasadę

nosa. - Czy znalazłeś w łazience wszystko, czego potrzebo-  
wałeś?

- Tak jest. Więcej, niż potrzebowałem. Mam mydło  
i szczoteczkę do zębów, tylko nie miałem od paru dni pasty.

Jake usiadł na brzegu łóżka.

- I czego używałeś zamiast niej?

Rozpromieniony Michael posunął się, żeby mu zrobić wię-  
cej miejsca.

- Mydła. Pepsi. - Rzucił Jake'owi szybkie spojrzenie. -  
Pepsi jest doskonała. Pieni się i w ogóle.

Jake mógł to sobie wyobrazić.

- Masz, przyniosłem ci coś.

Podał mu koszulkę. Michael ją rozwinął, żeby odczytać  
napis.

- „Urząd Szeryfa Hrabstwa Kinard. Mistrzostwa 1990”.

- Spojrzał ciekawie na Jake'a. - Mistrzostwa w czym? W ba-  
seballu? W koszykówce?

Jake posłał mu uśmiech.

- Wyobraź sobie, że w narciarstwie wodnym.

- O, rany, tato! Zawsze chciałem się nauczyć jeździć na  
nartach wodnych. Myślisz, że bym się nauczył?

- Jasne. W pierwszym tygodniu czerwca wyprowadzimy  
jacht i otrzymasz pierwszą lekcję.

Michael przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.  
W końcu pokręcił głową.

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Mam cię uszczypnąć? - spytał Jake uszczęśliwiony nie  
udawaną radością chłopca.

Michael roześmiał się cicho i zaczął starannie składać ko-  
szulkę.

- Włożę ją jutro.

Jake ujął go za ramię.

- Jutro znajdziemy ci coś innego, Mike. To jest na noc.

- C-co?

Na twarzy chłopca odmalowało się takie niedowierzanie, że Jake z trudem ukrył uśmiech.

- Zdaje się, że w Iowie nie sypiałeś w piżamach?

- O, nie! - Michael wzruszył ramionami. - Nikt nie widzi, więc po co?

- Może i racja.

- Oszczędza to prania, a ponieważ ja musiałem pracować, więc miałem w tym swój interes.

- I to racja.

Michael popatrzył Jake'owi w oczy.

- Prawdę mówiąc, lubię czuć, że... że nie mam nic na sobie.

Jake przytaknął poważnie głową.

- Doskonale to rozumiem.

- Ale tutaj sprawy mają się inaczej, tak?

Jake odetchnął głębiej.

- No, musimy się liczyć z Rachel. Kobiety mają w takich sprawach własne zdanie.

Michael pokiwał z nagłym zrozumieniem głową.

- Za nic nie chciałbym dotknąć pani Rachel.

- Trzeba by czegoś znacznie poważniejszego niż mała różnica zdań co do spania w piżamie, żeby ją dotknąć, Mike.

Michael wpatrywał się chwilę w napis na koszulce. Kiedy się odezwał, jego ton był poważny.

- Wiem, że jest do głębi wzburzona. Trudno jej się dziwić. Zjawia się nagle chłopak, o którego istnieniu nie miała pojęcia, i ona musi go przyjąć do swojego domu. - Pokręcił głową. - Cud, że mnie z miejsca nie wyrzuciła na zbitą... na zbitą twarz.

Jake milczał przez dłuższą chwilę, nim odpowiedział.

- To był dla niej szok, Michael. Nie będę przeczył. Ale ty nie musisz się o nic martwić. Jesteś moim synem i będziesz zawsze tam, gdzie ja.

Michael wpatrywał się w niego niemo.

- Co, Mike?

- Czy to prawda?

- Tak. Bezapelacyjnie. Masz na to moje słowo.

Łzy napłynęły Michaelowi do oczu, ale nie chciał im dać upustu. Słów - widział Jake - nie był w stanie wydobyć ze ściśniętego gardła. Chcąc rozładować napięcie, Jake zapytał:

- Gdzie sypiałeś w drodze tutaj, Mike?

- Przeważnie na postojach dla ciężarówek.

- A dokładnie? Bo na pewno nie w hotelach dla kierowców. Na to cię nie było stać.

- N-no, nie. Zwykle w tyle jakiejś ciężarówki. Czasami na parkingach przy autostradzie.

Powiedział to niedbałym tonem, ale Jake znał zasadzki czyhające na czternastolatka, jadącego dwa tysiące kilometrów autostopem. Doświadczenia z małoletnimi uciekinierami dały mu aż za dobre wyobrażenie o tym, co mogło grozić Michaelowi. Poczul ucisk w dołku. Czemu jego synowie, najpierw Scottie, teraz Michael, są narażani na takie okropności? Przyływ bezsilnego gniewu odebrał mu na chwilę mowę.

- Nie gryź się, tato. Jakoś dojechałem. - Michael błysnął zębami w nieoczekiwanym uśmiechu, po czym jął naciągać koszulkę. - Nie znaczy, żebym miał komukolwiek polecać taki sposób podróżowania. Parę razy mało się nie wkopałem. Trzeba diabło uważać.

- Co ty powiesz? - Jake poczul nieprzewartą chęć uściska-



nia syna. Zarzucił mu żartobliwym gestem ramię na szyję, drugą ręką zmierzwił ciemne włosy. - Nikt ci nie mówił, że nie należy się wypuszczać z domu bez karty kredytowej?

- Dobrze by było! - Michael się roześmiał, po czym jego ręce zaplotły się na plecach Jake'a. Kiedy po chwili zwolnili uścisk i Michael się oparł z powrotem o wezgiłowie, jego twarz była poważna. - Podziękuj ode mnie pani Rachel za obiad i za to, że mnie przyjęła do domu.

- Oczywiście - zapewnił Jake i dorzucił z lekkim uśmiechem: - Ale pamiętaj, co ci powiedziałem. Nie musisz się czuć naszym dłużnikiem. Jesteś moim synem i to jest twój dom. Tak odtąd będzie.

- Postaram się nie dawać pani Rachel za bardzo we znaki.
- Powtórzę jej to.

Michael założył ręce na piersi.

- Wszystko to wydaje się zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Chyba najwyższy czas, żeby ci się przydarzyło coś dobrego w życiu. Nie mam racji?

Dwie pary szarych oczu spotkały się na parę sekund. Po chwili Michael powiedział cicho, z przejęciem:

- Postaram się, żebyś nigdy nie musiał żałować, że mnie przyjąłeś.

Jake przyciągnął ciemną głowę syna.

- Cokolwiek by się stało - powiedział z głębi serca - nigdy nie będę żałował.

- Naprawdę tak myślisz?

Słowa wydobyły się ledwo słyszalnie ze zdławionego gardła chłopca.

- Przrzekam ci. - Jake poczuł, jak szczupłe ramiona się odprężają, nim je puścił. Podniósł się z łóżka. - No, czas spać.

Oczy ci się pewnie kleją, a jutro czeka cię dzień pełen wrażeń. Szkoła, zakupy, bo potrzebne ci coś nowego do ubrania. I powinnaś się rozejrzeć po dzielnicy, bo chciałbym, żebyś się tu poczuł w domu.

Michael wyciągnął się na łóżku, ułożył wygodnie.

- Ty ze mną pojedziesz czy pani Rachel?
- Chyba ja - odparł Jake patrząc na niego z góry.

Uśmiech wykwitł mu na wargi, gdy zobaczył, że Michaelowi się rzeczywiście zamykają powieki. Zmęczenie brało górę i wkrótce oddech chłopca zrobił się głębszy, równy. Jake zgasił światło w akwarium i pokój pograżył się w ciemnościach. Nie wiedział, jak dawno Michael nie spał w prawdziwym łóżku, z pełnym żołądkiem i w poczuciu bezpieczeństwa. Rozejrzawszy się zapalił z powrotem światło w akwarium. Chciał, by jego syn, jeśli się przebudzi w nocy, zobaczył coś przyjemnego.

Rachel widziała z patia, jak światło w pokoju Michaela gaśnie, a po kilku sekundach zapala się z powrotem. Z westchnieniem wstała z fotela i zaczęła krążyć niespokojnie. Chciała mieć już za sobą tę rozmowę z Jake'em. De czasu trzeba, żeby dać chłopcu koszulkę i wyjaśnić kilka zasad etykiety? Nachyliła się nad grządką liliowców i niecierpliwymi ruchami urwała parę zwiędłych kwiatów. Może to potrwać długo, jeżeli chłopcu zebrało się na zwierzenia przed Jake'em, tak jak zdaje się zbierało mu się przed nią.

Rzuciła zwiędłe żółte kwiaty na grządkę. Ma pewno do opowiedzenia mnóstwo przeżyć z tej podróży przez pół kraju. Mimo szoku, jakim było pojawienie się Michaela w ich domu, nie mogła nie czuć dla niego podziwu. Trzeba było nie lada hartu, żeby jechać przez półtora miesiąca autostopem dla odnalezienia

nieznajomego ojca, zamieszkałego o dwa tysiące kilometrów. Tyle czasu bez dachu nad głową! Szczęśliwie dla Michaela zakończyło się to pomyślnie. A jak będzie ze Scottiem?

Jej myśli rozpierchły się na dźwięk rozsuwanych drzwi salonu. Dostrzegłszy ją w półmroku, Jake zasunął cicho drzwi.

- Michael prosił, żeby ci podziękować w jego imieniu.

- Za co? - spytała chłodno.

- Pewnie za to, że go przyjechałaś do domu - odparł Jake, pocierając zmęczonym ruchem twarz. - Że mu dałaś pierwszy przyzwoity posiłek od półtora miesiąca. Że go potraktowałaś po ludzku, chociaż mogłaś nie chcieć go w ogóle widzieć. Zdaje sobie doskonale sprawę, jakim szokiem było dla ciebie jego pojawienie się.

- Nie ma w tym jego winy.

Jake opadł na fotel, z którego przed chwilą wstała.

- Cieszę się, że to od ciebie słyszę.

- No, myślę.

Gwałtownym ruchem dłoni Rachel ułamała pobliski kwiat. Jake wpatrywał się przez dłuższą chwilę w jej plecy.

- Dobrze, Rachel. Załatwmy sprawę.

Obróciła się do niego porywczo.

- Chciałbyś, co? - Nie podniosła głosu, ale tłumiony ton podkreślał jeszcze jej furję, dumę obrażoną jego zdradą.

- Chciałbyś wszystko załatwić jedną kłótnią? Żebyśmy sobie powiedzieli, co mamy do powiedzenia, i dalej żyli jak dwa gołąbki? Otóż wybij sobie to z głowy, mój drogi! Parę pytań i odpowiedzi nie sprawi, że wszystko będzie z powrotem cacy, cacy. Nie wyobrażaj sobie, że nic się nie zmieniło, bo się zmieniło! Zdradziłeś mnie! Oszukałeś!

- To było piętnaście lat temu, Rachel. Już ci powiedziałem, to był błąd. Żałuję tego. Musimy...

- ...wrócić do dawnego życia?

Jej głos był pełen sarkazmu. Jake zrobił głęboki wdech, nim na nią popatrzył.

- Wiem, że to niemożliwe. - Wyciągnął ramię, przysunął drugi fotel. - Usiądź i porozmawiajmy.

Zawahała się, ale w końcu odrzuciła kwiat i usiadła.

- Powiedziałem Michaelowi, że go jutro zapiszę do szkoły.

- Potrzebuję czegoś przyzwoitego do ubrania, Jake. Jeżeli te łachy, w których przyjechał, to jego najlepsze rzeczy, musisz mu najpierw coś sprawić, zanim go zawieziesz do szkoły.

- No, chyba tak - przyznał z westchnieniem Jake. Popatrzył na Rachel. - Jak uważasz? Co mu trzeba kupić? Kilka par dżinsów, kilka koszul? - Poderwał się raptownie z fotela. - Nie mam pojęcia, co dzisiaj noszą czternastoletni chłopcy. Wiem jedno: że wszyscy chodzą w reebokach albo czymś takim. Od lat nie widziałem nastolatka w przyzwoitych butach.

- Ubranie to najmniejsza rzecz, Jake. Trzeba czegoś więcej niż przyzwoitych ciuchów, żeby Michael tu pasował.

Zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Widziałeś, jak się zachowuje przy stole. Nie pomyślał o umyciu rąk przed jedzeniem. Podpierał się łokciem. Nie użyłby serwetki, gdybym mu nie zwróciła uwagi. - Siedziała z kamienną twarzą, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. - Ma pożałowania godne maniery.

- Tylko dlatego, że nie dane mu były takie warunki jak tutaj dzieciom.

Wzruszyła ramionami.

- To już twój problem.

- Ja w tym nie widzę problemu. - Jake z trudem hamował

gniew. - Manier się nauczy. Ale to dobry chłopak, ma dobre serce. I jest moim synem. Cieszę się, że mnie odnalazł.

- Gratuluję. - Rachel poderwała się gwałtownie. - Ja idę spać. Wiesz, gdzie jest zapasowa pościel.

Jake podniósł się z ociąganiem.

- Czy rzeczywiście tego chcesz?

Obróciła się do niego.

- A czy to ma znaczenie?

- Oczywiście, że ma, Rachel! Nie chciałbym, żeby to stało między nami. - Rzucił jej posępne spojrzenie. - Tyle już utraciliśmy. Może uda nam się to jakoś naprawić. Ale musimy oboje uczynić wysiłek.

Zatrzymała się z dłonią na gałce drzwi.

- Niestety, Jake. Nie wiem, czy zostało jeszcze coś do naprawienia. - Rozsunęła drzwi. - Przykro mi, ale tak w tej chwili czuję.

# Milczenie nocy

## 5

Kiedy Rachel zeszła rano do kuchni, w powietrzu unosił się silny zapach kawy, ale nie było śladu Jake'a ani Michaela. Wyjmując z szafki filiżankę, spojrzała na zegar. Za piętnaście siódma. Jake wychodził czasami wcześniej do pracy, ale nie aż tak wcześnie.

Przechodząc koło pokoju Michaela, zauważyła, że drzwi są uchylone. Podeszła teraz do nich, z filiżanką w ręce. Łóżko było zasłane, tylko kapa, ułożona trochę nierówno, wskazywała, że ktoś ją zdejmował. Na podłodze nie walały się skarpetki, na żadnym blacie - rzeczy wyjęte z kieszeni. Nie było żadnego śladu, że ktoś tu spał. Czyżby Michael odszedł? Może Jake zmienił zdanie, postanowił go gdzieś umieścić? Z lekkim drżeniem serca, Rachel odsunęła najwyższą szufladę bielizniarki. Leżała w niej równo złożona, skromna odzież Michaela. Rachel wyprostowała się, pogrążona w myślach. A więc Michael nie rozpląnął się jak zły sen z nadejściem dnia.

Tylko Scottie przepadł jak kamień w wodę.

W nocy, leżąc samotnie w łóżku, Rachel uświadomiła sobie jasno jedną prawdę. Żyła do tej chwili w przekonaniu,

że nic nie może jej już dotknąć, gdyż ze zniknięciem Scottiego umarła jej zdolność odczuwania. Myliła się. Jakże się myliła!

Zdrada Jake'a zraniła ją do żywego.

Fakt, że wydarzyło się to piętnaście lat temu i że ich związek przechodził wówczas kryzys, nie miał znaczenia. Przez całą noc usiłowała się uporać ze swymi splątanymi odczuciami. Pod gniewem za doznaną zdradę, żądzą odpłacenia Jake'owi pięknym za nadobne, czaiła się prawda, od której nie było ucieczki - że jest do głębi dotknięta. Zdruzgotana odkryciem, że mąż ją zdradził. Do rozstrzygnięcia pozostawał tylko dylemat, jakie z tego wyciągnąć wnioski.

Rachel zrobiła w tył zwrot i pomaszerowała z powrotem do kuchni. Otworzyła szafkę i znieruchomiła wpatrzona w rząd pudełek z płatkami śniadaniowymi. Czy to ma znaczenie, że Jake i Michael wyszli nie powiedziawszy jej słowa? Przecież tego pragnęła. Wyjmowała jedno z pudełek, kiedy ze stukiem otworzyły się tylne drzwi i obaj wkroczyli do kuchni.

Śmiali się z czegoś, ale umilkli na widok Rachel. Równocześnie jak na komendę. Postawiła pudełko na ladzie, szarpnęła szufladę, żeby wyjąć łyżkę. Za cóż ją, u licha, mają, pomyślała z irytacją. Za jakąś wiedźmę? Podeszła gniewnie do lodówki.

- Będziecie pili sok? - zapytała wyjmując karton.

Po przelotnym rzucie oka, gdy wchodzili, unikała patrzenia na nich.

- Dzień dobry - powiedział cicho Jake.

- Dzień dobry - odrzekła.

Mimo woli rzuciła okiem przez jego ramię na Michaela, który odpowiedział na jej spojrzenie szybkim, zakłopotanym uśmiechem. Miał na sobie te same co wczoraj wytarte dżinsy i te same znoszone pantofle. Tylko koszulka była inna. Niegdyś pewnie

granatowa, po wielu praniach wyblakła do odcienia miękkiej szarości. Prawie jak kolor jego oczu. I oczu Jake'a.

Rachel zatrzasnęła lodówkę.

- Sprawdzaliśmy akumulator i bak „Pelikana” - poinformował Jake. - Może wypłyniemy dzisiaj z Mike'em, jeśli mi się uda wyrwać o jakiejś ludzkiej porze.

Rachel posłała mu ostre spojrzenie. Przez ostatnie trzy miesiące dzień roboczy Jake'a wydłużał się do dwunastu, czternastu godzin. Oprócz pełnienia zwykłych obowiązków Jake poświęcał mnóstwo czasu na poszukiwania Scottiego. Mimo wszelkich wysiłków nie udało mu się odkryć jednej istotnej poszlaki. Jakby Scottie zapadł się pod ziemię.

- Jeżeli wydarzy się coś wymagającego mojej obecności, to mnie znajdą - powiedział Jake odczytując jej myśli.

- Masz ciągle zamiar wybrać się z Michaeliem na zakupy?  
- zapytała.

- Tak. Myślałem, że go zabiorę ze sobą do biura, a później, jak otworzą sklepy, wyskoczmy kupić, co trzeba. - Wymienił z synem spojrzenie, w którym się wyrażała powszechna męska niechęć do zakupów. - Zapisanie cię potem do szkoły to już będzie przyjemność, co, Mike?

Zamiast odpowiedzi Michael pokazał zęby w uśmiechu.

- O której otwierają centrum handlowe, Rachel?

- O dziewiątej - odparła sucho.

Sama nie wiedząc czemu, czuła się dotknięta łatwym koleżeństwem, które nawiązało się już między ojcem a synem. Jakby przyglądając się z zewnątrz samej sobie, widziała, że się zachowuje jak ostatnia zołza, ale nie potrafiła nad sobą zapanować. Noc spędzona bez Jake'a w niczym nie ostudziła jej gniewu ani nie uśmierzyła poczucia doznanej zdrady. Szarpnęła dolne drzwiczki szafki, wyjęła patelnię.



- Będziecie jeść śniadanie? - spytała.

Kiedy żaden nie odpowiedział, podniosła na nich wzrok.

Jake spojrział na syna.

- Co ty na to, Mike?

Michael wzruszył ramionami.

- Pewnie bym coś zjadł, jeśli to nie za wielki kłopot.

- Nie za wielki - odburknęła, zaciskając zęby, żeby im nie skoczyć z pazurami do oczu. - Odpowiada wam jajecznicą na boczku i tosty?

- Wspaniale.

- Tak, proszę pani.

Odstawiła pudełko z płatkami śniadaniowymi do szafki i otworzyła lodówkę, żeby sięgnąć po jajka i boczek. Nie patrząc na Jake'a powiedziała:

- Śniadanie będzie za kwadrans. Zdasz akurat wziąć prysznic i ogolić się.

Jake się zawahał, spojrział na Michaela.

- Dobra myśl. Mike, ty może tymczasem pościelesz łóżko i posprzątasz pokój, żebyśmy mogli wyjechać zaraz po śniadaniu.

Rachel odpieczętowała karton z jajkami.

- On już posprzątał pokój - powiedziała spokojnie. Zrobiła przerwę, po czym podniosła wzrok na Jake'a. - Może tu ze mną zostać. Pomoże mi w kuchni.

Po wyjściu Jake'a pokazała Michaelowi, gdzie jest chleb, i poleciła przygotować tosty. Wykonał to szybko i sprawnie. Mając chorą babkę, musiał sobie pewnie często sam przygotowywać posiłki, pomyślała Rachel. Włożywszy boczek do kuchenki mikrofalowej, rozbełtując jajka, powróciła myślą do Jake'a. Ociągał się wyraźnie z pozostawieniem Michaela sam na sam z nią. Z irytacją zastanawiała się, co sobie wyobrażał.

Że powie Michaelowi coś przykrego czy okrutnego? Powinien ją znać na tyle, żeby wiedzieć, że nie będzie się odgrywała na chłopcu. Choćby ten chłopiec wtargnął w jej życie w takich cudacznych okolicznościach.

- Wyjąć dzem na stół?

Wyrwana z zamyślenia, drgnęła. Obróciwszy się, stwierdziła, że Michael stoi tuż za nią.

- A, tak, tak. - Wskazała gestem lodówkę. - Jest truskawkowy i brzoskwiniowy. Wymij oba.

Ale nie winogronowy. Winogronowy jest dla Scottiego.

Śniadanie przebiegło w nieco swobodniejszej atmosferze niż poprzedniego dnia obiad. Wziąwszy prysznic, ogoliwszy się i ubrawszy do pracy, Jake zatrzymał się w drzwiach kuchni, gdzie Rachel i Michael kończyli nakrywanie stołu. Uzupełniają się dobrze, stwierdził po chwili. W przeciwieństwie do Scottiego, Michael wykonywał szybko i chętnie spokojne polecenia Rachel. Scottie, choć zaledwie sześćioletni, sprzeciwiał się każdemu jej żądaniu, gdy wyczuwał, że nie potrafi mu niczego odmówić. Jake zwracał jej na to często uwagę. Rachel uwielbiała Scottiego, a on bezwstydnie wykorzystywał jej słabość. Na ustach Jake'a pojawił się cierpki uśmiech. Nie powinno to się okazać problemem w przypadku Michaela.

Kończyli śniadanie, kiedy zadzwonił telefon. Odebrał Jake i nim powiedział pół tuzina słów, Rachel wiedziała, że stało się coś poważnego.

Wstała i zaczęła zbierać talerze.

- Karambol na autostradzie - poinformował Jake odkładając słuchawkę. - Prawdopodobnie są ofiary śmiertelne, dyżurny jeszcze nie wie. Trzy radiowozy znajdują się już na miejscu, karetki są w drodze.

Możliwość ofiar śmiertelnych wykluczała zabranie Michaela. Rachel wytarła dłonie w ścierkę.

- Więc jedź, na co czekasz.

Jake obrócił się do Michaela.

- Przykro mi, Mike. Z tego, co mówi dyżurny, potrwa pewnie trochę, zanim oczyścimy autostradę. Nie wiem, kiedy...

- Bądź spokojny - przerwała mu Rachel. - Ja pojedę z Michael'em na zakupy. Zapiszę go także do szkoły, jeśli będziesz dalej uwiązany.

Jake posłał jej wdzięczne spojrzenie.

- Postaram się to załatwić, jak będę mógł najszybciej - obiecał.

Zawahał się na chwilę, chcąc ją pocałować albo przynajmniej jej dotknąć, ale Rachel odwróciła się już do zlewu. Uścisnęła Mike'a za ramię.

- Pomóż przy zmywaniu, synu - powiedział.

- Tak jest, tato.

Wziął z kontuaru kluczyki od auta i wyszedł, posyłając Rachel ostatnie spojrzenie.

Niezadowolony, że nie ma swojego własnego forda, wsiadł do wielkiego wozu policyjnego, którym przyjechał wieczorem do domu. Wziął go, bo zauważył zafascynowane spojrzenie, jakim Michael obrzucił radiowóz na parking. Wóz był wyposażony we wszystkie najnowocześniejsze cuda techniki policyjnej i w opinii Jake'a nieruchawy jak czołg. Dodając gazu, żeby wyprowadzić nieznaną wózek jak najszybciej na autostradę, westchnął ponownie, że to nie jego własne auto. Wolał rzeczy znajome. Czuł się również lepiej w pojeździe nie oznakowanym. Nie rozumiał właściwie czemu, bo w hrabstwie Kinard twarz szeryfa Jake'a McAdama była znana elementom kryminalnym równie

dobrze jak twarz prezydenta, więc nie robiło to większej różnicy.

Odczuwał dziś szczególnie dotkliwie niedogodności bycia szeryfem. Nie chciał zostawiać Mike'a, nie tyle, żeby mu nie sprawić zawodu, bardziej, żeby Rachel nie pomyślała, że spycha na nią odpowiedzialność za chłopca. Boże, cóż to za historia! Czuł się rozdarty. Nie chciał utracić żony, pragnął szansy sklejenia na powrót okruszków ich życia strzaskanego zniknięciem Scottiego, ale chciał również zatrzymać Michaela. Porozumienie, jakie od pierwszej chwili nawiązał z chłopcem, pogłębiało się z każdą minutą.

Nie był nigdy człowiekiem szczególnie religijnym, modlił się jednak często od utraty Scottiego. Teraz wzniósł nowe błaganie. „Boże, nie każ mi wybierać”.

Wyjechał zza zakrętu i jego oczom ukazała się scena karambolu. Wśród błyskających czerwonych i niebieskich świateł, osiemnastokolowy zestaw drogowy, skrzyżowany prawie pod kątem prostym, przywalał dwa średniej wielkości auta osobowe, zgniecione w płataninę metalu i szkła. Jake naliczył trzy karetki pogotowia. Koło autostrady leżały dwa ciała nakryte białymi płachtami. Na miejscu znajdowały się dwa czarno-białe wozy urzędu szeryfa oraz dwa radiowozy stanowej policji drogowej. Nieco z boku stała sfatygowana, ale na pierwszy rzut oka niezbyt uszkodzona, półciężarówka. Jej kierowca opierał się bezwładnie o brudny błotnik. Dwaj sanitariusze wsuwali właśnie do karetki nosze z małym dzieckiem, trzeci delikatnie podtrzymywał półprzytomną kobietę, z głową owiazaną bandażem, przez który sączyła się krew. Kiedy dziecko zostało ulokowane we wnętrzu, sanitariusze skłonili kobietę do położenia się na drugich noszach, które również wsunęli do karetki.

Wysiadłszy z auta, Jake przebiegł wzrokiem scenę. Skurcz

ścisnął mu żołądek. Mimo tylu lat pracy na stanowisku szeryfa, ciągle nie potrafił beznamiętnie patrzeć na takie krwawe tragedie. Zbliżył się Frank Cordoba.

- Dzień dobry, Jake. Ładnie nam się zaczął dzień, co?

Jake chrząknął, lustrując dwa zgniecione auta.

- Jak to się stało?

Frank pobiegł za jego wzrokiem. Otworzył notes.

- Są dwie ofiary śmiertelne, obie kobiety. Jedna prowadziła toyotę, druga jechała w BMW. Widziałeś kobietę, którą wsadzili do karetki? To ona prowadziła BMW. Wszystko jedna rodzina. Kobieta jest w szoku, więc niewiele się mogłem dowiedzieć. Z tego, co zrozumiałem, jechały do Orlando spędzić parę dni w Disneylandzie.

- A gdzie jest kierowca ciężarówki?

Cordoba wskazał ruchem głowy w prawo.

- Wymiotuje za ciężarówką. Głupia sprawa, ale wygląda, że winne były kobiety. Trzymały się razem, toyota jechała pierwsza. Doganiając tę kolubrynę, zmieniły pas, żeby ją wyprzedzić. Zdaje się, że nikt nie przekraczał szybkości. Wyprzedziwszy ciężarówkę toyota wróciła na prawy pas, a BMW zjechało za nią, nie czekając, aż się wystarczająco oddali. - Pokręcił głową. - Nie wiem, czy ta kobieta źle oceniła dystans, czy zrobiła to bezmyślnie. To, co mówi, nie trzyma się kupy. Chyba nie bardzo wie, co się z nią dzieje. Kierowca ciężarówki zaczął gwałtownie hamować, tak że przyczepa poleciała w bok. Ale było już za późno. Rąbnął w BMW, BMW w toyotę i obie kobiety straciły panowanie nad samochodami.

Odprowadzili wzrokiem dwie karetki, które ruszyły na sygnałach.

- Zabierają dwie osoby, które medycy opatrzyli wcześniej.

Jake popatrzył na półciężarówkę. Kierowca stał wciąż oparty bezwładnie o błotnik.

- A co z nim?

- Na gazie - odrzekł Cordoba - ale to nie on spowodował wypadek. Jechał za ciężarówką i zaczął hamować, kiedy zobaczył, że się szykuje karambol. Uderzył w przyczepę, ale oba pojazdy wytraciły już na tyle szybkość, że nic wielkiego się nie stało. Zatrzymaliśmy go za jazdę w stanie nietrzeźwym.

- To ktoś miejscowy?

- Tak. Mieszka na bagnach, za tymi obozami rybackimi koło Cross Corners.

- Notowany?

- Nie za jazdę w stanie nietrzeźwym, ale ma na sumieniu drobne sprawy. Siedział za kłusownictwo i nielegalne posiadanie broni. Facet jest postrzelony. Trzeba było widzieć, jak wsiadł na chłopców, że mu nie pozwalają odjechać.

- Jak się nazywa?

- Willard Biggs.

- Tak, pamiętam go.

Jake pokiwał głową. Przebiegł ponownie wzrokiem całą scenę, zatrzymał się na przykrytych płachtami ciałach, na wrakach zgniecionych samochodów. W powietrzu unosił się ciężki zapach benzyny i spalonej gumy. Zza kabiny ciężarówki wynurzył się kierowca. Był blady, ale zdawał się trzymać pewnie na nogach.

- Zapisałeś jego nazwisko?

- Walter Hammond.

- Dziękuję, Frank. Idź spać. Poprowadzę dalsze śledztwo.

Odsuwając na później sprawę eks-kryminalisty, zrobił głęboki wdech i ruszył w stronę Hammonda.

- Może napijemy się czegoś?

Rachel nie wiedziała, jak Michael, ale ona potrzebowała czegoś dla ochłody po dwóch godzinach intensywnych zakupów.

- Pozwoli pani sobie postawić?

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

- Masz pieniądze?

- Tatuś mi dał.

Tatuś! Półtora dnia, a mówi o Jake'u tak, jakby z nim spędził całe życie.

- Oczywiście - odparła. - Następnym razem ja stawiam.

Znaleźli stolik w kafeterii i usiedli z zimnymi napojami naprzeciwko siebie. Przez jakiś czas Michael wydawał się całkowicie pochłonięty sączeniem piwa korzennego. Zaspokoiwszy pragnienie, jął kręcić słomkę w plastikowym kubku. Widać było, że coś go nurtuje.

- Mogę panią o coś zapytać, pani Rachel?

- Jasne, pytaj śmiało.

Powiedziała to na pozór beztrosko, ale wewnątrz spięła się lekko. Pytania Michaela - wiedziała już - bywają diabło kłopotliwe.

- Czy mam dziadków, kuzynów, w ogóle jakichś krewnych? Znaczy, ze strony tatusia...

- Niestety, Michael, nie masz nikogo. Rodzice Jake'a umarli, kiedy był małym chłopcem. Wychowywał się pod opieką instytucji stanowych, w rodzinach zastępczych.

Posłał jej zdziwione spojrzenie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Przez chwilę to przetrawiał.

- To samo chcieli ze mną zrobić po śmierci babci Dee, ale

przemyślałem sprawę i zdecydowałem, że jakoś dam sobie radę.

- No, i dałeś.

- Szczęśliwie wiedziałem, kim jest mój tatuś i gdzie mieszka. - Bawił się przez chwilę kubkiem, po czym spojrzał jej prosto w oczy. - Czy to nie dziwne, że tatuś miał podobne życie?

- Bardzo dziwne - zgodziła się Rachel.

Myślała to samo. Myślała również, że podobieństwo losu utrwali więź między ojcem a synem.

- Tatuś nie dał się pogięć losowi. - Oczy Michaela promieniały dumą i podziwem dla Jake'a. - Jest w tym mieście naprawdę ważną osobą. Cieszy się szacunkiem. Widziałem to, kiedy czekałem na niego w biurze. Wszyscy skakali na każde jego słowo. Jeśli osiągnę tyle, co on, to będę faktycznie kimś, prawda?

- Niewątpliwie.

- Niech pani mi opowie więcej o tatusiu. Bardzo proszę, pani Rachel - dodał widząc jej wahanie.

- N-no... - Wciągnęła głęboko powietrze. - Jake nie miał zbyt różowych perspektyw jako chłopiec, ale jak sam zauważyłeś, to go nie załamało. Kiedy tylko trochę podrosł, usamodzielniał się, zaczął pracować. Potem trafił do wojska i wylądował w Wietnamie. Po demobilizacji skorzystał ze stypendium dla kombatantów i poszedł na studia. Wyobraź sobie, że ma magisterium z historii.

Michael pokiwał głową.

- Ja też lubię historię.

- Widać to dziedziczne - zauważyła sucho.

- Tego nie wiem - odparł poważnie - ale chyba wiem, czemu wybrał historię.



- Naprawdę? Czemu?

Splótł dłonie na plastikowym kubku i przez chwilę wpatrywał się z namysłem w resztkę piwa korzennego.

- Bo jak człowiek nie ma prawdziwej rodziny, to czasami się czuje jak... jak zawieszony w próżni. Rozumie pani? I poznawanie losów ludzi, którzy żyli kiedyś, stanowi punkt zaczepienia. - Zmierzył ją uważnie. - Człowiek jest z nimi jakoś związany, prawda? Przecież wszyscy od kogoś się wywodzą, nawet jeśli nie wiemy, od kogo, z jakiego miejsca, w jaki sposób.

O, Boże, nie może pozwolić, żeby ten dzieciuch poruszał struny jej duszy. Nie chce wysłuchiwać dorosłych mądrości od chłopca, który powinien myśleć o stopniach z geometrii, sporcie, grach komputerowych i swoim budzącym się popędzie płciowym. Sięgnęła ślepo po paczki leżące na krześle.

- Czas dokończyć zakupy, Michael. Robi się późno, a musimy jeszcze zdążyć do szkoły.

- Tak, proszę pani. - Zebrał swoją część paczek i podbiegł kawałek, żeby się z nią zrównać, bo ruszyła szybkim krokiem. - Ale ja chyba nic więcej nie potrzebuję, prawda? Nie miałem nigdy nawet połowy tego, co już kupiliśmy. I wszystko takie drogie. Nie chcę być ciężarem.

- Potrzebujesz nowych pantofli.

Popatrzył na swoje znoszone trampki.

- Mogę jeszcze...

- Musisz mieć nowe pantofle, Michaelu.

Znał już ten ton, więc zamilkł. Wiedział, że w takich przypadkach nie ma z nią dyskusji. Jeśli uznała, że potrzebuje nowych pantofli, to mu kupi nowe pantofle.

- Masz jakieś szczególne życzenia? - spytała.

- N-no, chyba nie. - Odchrząknął, niepewny, jak daleko może się posunąć w wyrażaniu preferencji. - Chciałbym tylko z trochę wyższą cholewką. Co będzie najtańszego?

Rachel skrzyła tak raptownie do sklepu z obuwem sportowym, że o mało nie wpadł na nią.

- Przymierz wszystkie rodzaje, zanim wybierzemy coś odpowiedniego.

O, Boże, gdyby go teraz mogła widzieć babcia Dee!

Rachel nie mogła się doczekać czwartku, żeby wreszcie rozpocząć pracę. W domu napięcie było trudne do zniesienia. Wątpiła, żeby mur wyrosły między nią a Jake'em dał się kiedykolwiek obalić. Obecność Michaela stanowiła wieczne przypomnienie zdrady Jake'a, a dla Rachel ponadto jej własnej utraty. Jej jedyne dziecko może się nigdy nie odnaleźć, podczas gdy Jake - powtarzała sobie z goryczą - dla zapełnienia pustki będzie miał zawsze Michaela. W jej piersi wrzał nadal ból i gniew. Wyczuwając to, Jake poruszał się po domu jak po polu minowym.

Miałyby pewnie większą treść podejmując pracę w tak niemłodym wieku, gdyby nie pochłaniały jej całkowicie problemy rodzinne. W istniejącej sytuacji pozostawało jej niewiele czasu na lęki i histerie. Z ochotą stawiała się więc o siódmej w szpitalu.

Po załatwieniu formalności w dziale personalnym skierowana została od razu do Helen Falco, siostry przełożonej na Oddziale Nagłych Wypadków, która pokrótce zapoznała ją z obsługą komputera i zwykłą procedurą oddziału. Pokazała biurko, które ma zająć, jak również świetlicę z maszynką do kawy.

Minęła ledwie dziesiąta, kiedy przy drzwiach wejściowych zrobił się ruch, który postawił wszystkich na nogi. Zamiast karetki podjechał z piskiem opon radiowóz, z którego wysko-

czyli dwaj mundurowi funkcjonariusze. Rachel rozpoznała w nich ludzi Jake'a. Pierwszy, wysoki, barczysty Murzyn, nazywał się Leon White i miał za sobą co najmniej dziesięcioletnią służbę. Rachel zawsze go lubiła. Drugim był kierowca Ed Sims, młodszy stażem, ale bystry. „To dobry nabytek” - słyszała, jak mówi o nim kiedyś Jake. White został z dwójką osób siedzących w tyle radiowozu, podczas gdy jego towarzysz wbiegł przez automatyczne drzwi.

- Potrzebujemy pomocy - zawołał i ruszył z powrotem biegiem do auta.

Przez szybę radiowozu Rachel widziała dziewczynę, nastolatkę, oceniła. Nie zdawała się ona nieprzytomna, ale na pierwszy rzut oka było oczywiste, że dzieje się z nią coś niedobrego. Kołysała się lekko, wzrok miała martwo utkwiony w przestrzeń. Obok niej siedział chłopak, też nastolatek. Był blady, ale nieruchomy, spokojny. Na znak White'a wygramolił się z wozu i stanął przyglądając się, jak Ed Sims próbuje przemasować do dziewczyny. Nie reagowała na swoje imię, które powtarzał. Rachel dostrzegła ulgę na twarzy Simsa, kiedy z gmachu wynurzyła się ekipa pierwszej pomocy. Z wypraktykowaną zręcznością przytoczyli do auta łóżko na kółkach. Kiedy Sims puścił dziewczynę, żeby zrobić dostęp medykom, ta jęła się powoli osuwać jak kukła.

W ciągu nie więcej niż pół minuty - oceniła Rachel - dziewczyna została ułożona na łóżku i wwieziona do budynku. Machając na funkcjonariuszy, żeby za nimi szli, medycy zarzucili ich pytaniami.

Czy podejrzewają przedawkowanie narkotyku?

Czy nie wiedzą, jakiego?

Jak dawno przyjętego?

Rachel śledziła wszystko z uczuciem bezradności. Wróciła

do swego małego biurka i usiadła, głównie z obawy, że nogi odmówią jej posłuszeństwa. Do jej obowiązków mają należeć wywiady z przywożonymi pacjentami, przypomniała sobie, patrząc na swoje trzęsące się ręce. Nie wiedziała, czy byłaby w tej chwili w stanie pisać na maszynie, nawet gdyby pamiętała, o co ma pytać. Poczwała na ramieniu czyjaś dłoń.

- Ja to załatwię, Rachel.

Podniosła wzrok ku niebieskim oczom Helen Falco. Ledwie kwadrans temu Helen wyjaśniła jej, co ma robić, kiedy przywożą nowego pacjenta. Jej wzrok pobiegł ku formularzom w przegródkach biurka. Na miłość boską, nie może rozpocząć pracy od załamania się przy pierwszej kryzysowej sytuacji. Została zaangażowana na Oddział Nagłych Wypadków. Czego się spodziewała? Zrobiła głęboki wdech, próbując się wziąć w garść.

- Dziękuję, Helen, myślę, że sobie poradzę.

Helen uniosła brwi.

- Pewna jesteś?

Rachel sięgnęła po blankiet wpisu.

- Nie wiem, spróbuję. Zostań przy mnie, gdybym potrzebowała pomocy.

Dziewczyna nazywała się Regina Melrose. Nie miała żadnego dowodu tożsamości. Skąpe wiadomości o niej wydobyli od chłopca. On sam - odpowiedział na pytanie Rachel - nazywa się Jerry Purdy. Regina ma piętnaście lat. Adresu nie zna. Jej rodziców też nie. Ona chodzi tu do gimnazjum. Jerry też i też ma piętnaście lat.

Dwie ostatnie wiadomości pochodziły od Eda Simsa, który stał obok chłopca, kiedy wydobywała od niego informacje. Rachel zauważyła zaskoczone spojrzenie Simsa, kiedy ją zobaczył. Jej nowa praca, zbiegająca się z pojawieniem Michaela-

la, wywoła z pewnością wiele domysłów. Rachel się tego obawiała. W przeciwieństwie do swoich sióstr nie lubiła, by na nią zwracano uwagę.

- Muszę mieć podpis na tym formularzu - zwróciła się do Simsa. - Jest chyba sposób odszukania jej rodziców? Pewnie tu gdzieś mieszkają.

- Jeśli nie jest uciekinierką - wtrąciła Helen Falco.

Sims potrząsnął głową.

- Nie sędzę. Jest chyba z naszego hrabstwa. Według Jerry'ego mieszka w rodzinie zastępczej, ale Jerry nie zna ich nazwiska ani adresu.

Rachel popatrzyła na chłopca. Był blady, biły na niego zimne poty. Nie ulegało wątpliwości, że i on coś zażył, ale miał więcej szczęścia od Reginy. Trzymał się jeszcze na nogach. Chociaż ledwo, ledwo. Zniżyła głos, czując, że najmniejsza agresywność wywarłaby skutek odwrotny od zamierzonego.

- Jerry, nie wiesz, od kogo moglibyśmy uzyskać wiadomości o Reginie.

- Nie - wymamrotał pod nosem, wpatrzony w swoje stopy.

- Dawno ją znasz?

- Ja wiem? - Wzruszył ramionami. - Będzie parę lat.

- I nigdy nie poznałeś jej rodziny? Matki? Kogoś bliskiego?

Podniósł wzrok na Rachel.

- Ona nie ma nikogo. A tych ludzi nie warto nawet szukać, bo oni na nią kichają.

Rachel poszukała wzroku Eda Simsa, ale nie znalazła u niego pomocy.

- Mówisz o jej rodzinie zastępczej? - spytała Jerry'ego.

- No, chyba. - Po krótkotrwałym wybuchu uspokoił się znowu. Popatrzył na Simsa. - Mogę już pójść?

- Chciałbyś pójść? - Sims położył twardą dłoń na szczu-

plym ramieniu chłopca. - Pójdiesz wytrzeźwieć w izbie młodocianych, Jerry. Potem porozmawiasz sobie trochę z Jackie Kendall. Pamiętasz Jackie, nie?

- Ta-ak, pamiętam.

Jerry spróbował uwolnić ramię z uścisku Simsa, ale funkcjonariusz go nie puścił.

- Sprawiałeś jej wielki zawód, Jerry. Przyrzekłeś rozpocząć nowe życie, kiedyśmy cię zgarnęli ostatnim razem.

- Chciałem - bąknął.

Sims zaklął z niesmakiem, ale Rachel czuła, że odnosi się to nie tyle do chłopca, co do świata w ogóle.

- Wracamy do auta - warknął. - Ta dziewczyna może umrzeć, wiesz?

Kiedy Jerry odwracał się na komendę Eda Simsa, oczy zaszklily mu się raptem nienaturalnie. Widać było, jak przełyka z trudem, ale nic nie powiedział. Potykając się ruszył ku drzwiom. Rachel ścisnęło się serce.

- Ed...

- Już dobrze. - Sims westchnął. - Nie będę go więcej dusił. W każdym razie nie dzisiaj. Jest zresztą w takim stanie, że pewno by i tak nic nie pamiętał. Może Jackie coś tym razem wskóra.

- Posłał Rachel przelotny uśmiezek. - Zaopiekujecie się Reginą, co? Kiedy tylko zobaczyliśmy, w jakim jest stanie, nie traciłmy nawet czasu na wzywanie pogotowia. Rany Jezusa! Dziesiąta godzina, a ci już się zaprawili!

- Gdzieście ich znaleźli?

- W tym parczku przy szosie numer sześć. Na oczach Boga i całego świata. - Pokręcił głową. - To przechodzi ludzkie pojęcie.

Niewielki park leżał tuż za granicami miasta, nie więcej niż milę od gimnazjum. Rachel zmarszczyła czoło.

- Jak sądzisz, skąd to mieli?
- Ze szkoły, nie ma wątpliwości
- Skąd wiesz? Jerry powiedział?
- Nie, Jerry by nikogo nie sypnął. Ale nie potrzebował.

Mieliśmy sygnał, że w szkole pojawiła się nowa dostawa. Tylko według naszych źródeł to miała być miejscowa marihuana wysokiej jakości. Jake wyskoczy ze skóry, jak usłyszysz, że to coś innego. Znacznie groźniejszego.

- A co to według ciebie? - spytała Rachel, której pociemniało w oczach na ten okrucieństwo wiadomości ze świata Jake'a.

- Sądząc po Reginie, anielski proszek. Halucynogen. - Ed wzruszył ramionami. - Ale nie jestem ekspertem, mogę się mylić.

Podniósł wzrok na widok Leona White'a, który się wynurzył od strony sali zabiegowej, dokąd zabrano Reginę.

- Jak tam, Leon? Co z dziewczyną?

Leon przesunął wielką dłoń po krótkich kędzierzawych włosach, włożył z powrotem czapkę.

- Wyciągną ją tym razem.
- Co to było? Ustalili?
- Anielski proszek.

Leon wyjął paczkę papierosów. Zgniół ją z irytacją, stwierdziwszy, że jest pusta.

W co ona wdepnęła, zastanawiała się Rachel, odprowadzając ich do drzwi i przyglądając się, jak wsiadają do radiowozu. Sądząc po wyrazie twarzy Leona White'a, był on szczerze przejęty stanem Reginy. Ed Sims zresztą też. A są to przecież mężczyźni stykający się na co dzień z takimi sprawami. Musi się to jakoś odbijać na ich życiu osobistym, a mimo to robią swoje. Ron Campbell, proponując jej tę pracę, ostrzegał, że nie będzie to łatwe, ale wówczas puściła jego przestrogi mimo

uszu. Fakt, że nie przypomina to w niczym podawania kawy rodzinom czekającym na wynik operacji ani roznoszenia poczty młodym matkom.

Nim, mogła się załamać pod naporem wątpliwości, przed drzwiami zajęchała karetka.

- Zawał serca! - zawołał ktoś.

Przez resztę dnia była zbyt zajęta, żeby myśleć o wycofaniu się.



# Milczenie nocy

## 6

- Lubi pani takie rzeczy, prawda? - spytał Michael przyglądając się ze zmarszczonym nosem, jak Rachel przy stoisku z orientalnymi warzywami nakłada do plastikowego woreczka pędy bambusa.

Minęło niewiele ponad trzy tygodnie, odkąd zamieszkał z tatusem i jego żoną, a poznał w tym krótkim czasie większą różnorodność potraw niż przez całe dotychczasowe życie. Niektóre były pyszne, ale niektóre nie za bardzo. Tak jak te sałatki, które pani Rachel robi z rozmaitych pędów i liści o smaku trawy.

- Lubię świeże jarzyny, owszem. - Rachel włożyła do następnego woreczka dwie oberżyny. - Nigdy nie jest za wcześnie zacząć się wystrzegać nadmiaru cholesterolu.

- A tatuś się wystrzega?

Rachel wrzuciła do wózka torebkę szpinaku.

- On nie, o to ja dbam.

- Rozumiem.

Jak pani Rachel uwzięła się na ten cholesterol, to wiadomo, że tatuś się dostosuje do jej życzeń, czy mu to w smak, czy nie.

Michaelowi wystarczył dzień w ich domu dla zorientowania się, że tatuś za nią szaleje i zrobi prawie wszystko, żeby jej dogodzić.

Zlustrował ją jeszcze raz, kiedy się pochyliła nad ladą z bananami. Rzuciło się w oczy, że nie jest szczęśliwa. Dostrzegłby to nawet postronny obserwator. Michael miał nadzieję, że to nie z jego powodu. Wiedział, że jego pojawienie się spowodowało kryzys małżeński, i modlił się, żeby stosunki między tatusiem a panią Rachel się naprawiły. Czuł jednak, że jest coś więcej. Prawdopodobnie sprawa ich synka, Scottiego. Pani Rachel jest tym zdruzgotana, a tatuś czuje się strasznie, że go nie może odnaleźć.

Spojrzał przez wielką witrynę sklepową w jasne czerwone słońce, ozłacające wszystko jaskrawym blaskiem. Rozpytywał się w szkole, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej o zniknięciu Scottiego. Wie o tym oczywiście całe miasto. Rozlepiono ulotki. Pisano o tym w miejscowej prasie, mówiono w radiu i telewizji. Grupy ochotników przeszukały chyba cały stan. I nic. Nie odkryto najmniejszego śladu. Michael wziął z lady jabłko i w zamyśleniu zaczął je pocierać palcami. Czyby nie było cudownie, gdyby jemu udało się wpaść na ślad?

- Rachel McAdam! Gdzie ty się ukrywasz?

Podniósłszy wzrok, Rachel zeszywniała. Od stoiska delikatesowego sunęła ku niej Joan Gonzales, żona szefa policji Tidewater, znana w mieście ze swego wścibstwa.

- Witaj, Joan - odparła uprzejmie Rachel. - Jestem ostatnio dość zajęta. A co u ciebie?

- Tonę w nawale spraw. Wprost tonę.

Wzrok Joan pobiegł w kierunku Michaela i Rachel ujrzała, jak jej oczy się zwięzają nie maskowaną ciekawością.

- My się chyba nie znamy? - powiedziała z ożywieniem.

Popatrzyła na Rachel. Rachel nie dała się zwieść. Widziała złośliwą radość, kryjącą się za cukierkowym uśmiechem. Mąż Joan chciał się ubiegać w listopadowych wyborach o urząd szeryfa i nic nie mogło być Gonzalesom bardziej na rękę, jak odkrycie, że w nieposzlakowanym dotychczas życiu Jake'a pojawił się nieślubny syn. Co odpowiedzieć babie? Spojrzała na Michaela i z zaskoczeniem stwierdziła, że się zorientował w sytuacji. Nie zmienił wyrazu twarzy, ale zastygł w oczekiwaniu.

W oczekiwaniu, czy nie zostanie odepchnięty. Odtrącony.

Rachel uniosła głowę.

- To jest Michael, syn Jake'a - poinformowała. - Mieszkał dotychczas u rodziny matki w Iowie, ale teraz będzie mieszkał z nami tutaj, w Tidewater. Michaelu, to pani Joan Gonzales. Jej mąż jest szefem policji w naszym mieście.

Niech Joan się głowi, co się za tym kryje, pomyślała, powściągnąwszy odruchowo chęć przysunięcia się do Michaela.

- Miło mi panią poznać - powiedział Michael wyciągając dłoń.

- Syn Jake'a! No, no! - Joan uniosła brwi w złośliwym zaskoczeniu. - Nie wiedziałam, że ma syna. W Iowie, mówisz...

Dostrzegłszy wyciągniętą dłoń chłopca, ujęła ją i szybko potrzęsła.

Rachel podjęła śpiesznie:

- Właśnie miałam do ciebie dzwonić, Joan - skłamała bezwstydnie. - Może interesowałoby cię moje miejsce w zarządzie Klubu Ziemińskiego? Wzięłam pracę i będę musiała zrezygnować z niektórych dotychczasowych funkcji.

- Co mówisz? - Joan z ociąganiem oderwała wzrok od Michaela. - Miejsce w zarządzie Klubu Ziemińskiego?

Wiedząc dobrze, że Joan dałaby się zabić za miejsce w zarządzie, Rachel posłała jej promienny uśmiech.

- Zaczęłam właśnie pracować w szpitalu, na Oddziale Nagłych Wypadków. To fascynujące zajęcie, ale pochłania mi mnóstwo czasu, tak że będę musiała ograniczyć działalność w rozmaitych komitetach.

Zdawała sobie sprawę, że papla jak idiotka, ale nie chciała dopuścić, żeby Joan zaczęła się rozpytywać i palnęła coś, co by dotknęło Michaela.

- Nigdy nie przypuszczałam, że podejmiesz karierę zawodową.

- Naprawdę?

- I pracujesz w pełnym wymiarze godzin?

- Tak, od siódmej do trzeciej.

- Coś takiego! To prawdziwa praca! - Joan się wstrząsnęła. - I od siódmej rano?

- Tak. Bardzo mi to odpowiada.

Rachel wybrała kilka dorodnych gruszek. Wrzuciła je do plastikowego woreczka, który jej podsunął Michael.

- Dziękuję, Mike.

- Jak pogodzisz pracę z kampanią wyborczą?

- Nie sądzę, żebym miała trudności.

Wścibska wiedźma! Rachel podała Michaelowi kiść winogron do umieszczenia w następnym woreczku.

- No, ja tam wiem, że J.B. wyskoczyłby ze skóry, gdybym ja zrobiła coś podobnego przed samą kampanią. - Joan uniosła chytrze brew. - Właśnie, a jak Jake to przyjął?

- Wspiera mnie bardzo.

- Hmm. No, to życzę powodzenia.

Zlustrowała jeszcze raz Michaela wzrokiem pełnym zastanowienia.

- Zaproponuję twoją kandydaturę do zarządu klubu - wtrąciła śpiesznie Rachel.

- C-co? A, tak. Dziękuję, Rachel.

- Na nas czas, Michael.

- Tak jest, proszę pani.

Joan pokazała w uśmiechu rząd wspaniałych zębów.

- No, to witamy cię w Tidewater, Michaelu.

- Dziękuję pani.

Zarówno Michael, jak Rachel trwali bez ruchu, nim Joan się oddaliła z działu warzywnego.

- Wyszła z pustym wózkiem - zauważył Michael.

Rachel skrzywiła się z niesmakiem, po czym odłożyła główkę kapusty, którą nie wiedzieć po co wzięła.

- Ona tu nie przyszła po owoce ani jarzyny.

- Tak myślałem.

Rachel podniosła wzrok i dojrzała w jego oczach zrozumienie. Westchnęła.

- Będziemy się pewnie musieli do tego przyzwyczaić, Michaelu. Jake piastuje urząd publiczny, a zbliżają się wybory. Może się zrobić gorąco.

- Jeśli pani to zniesie, to ja tym bardziej.

- W takim razie się nie damy.

Powiedziała to pewnym tonem, ale wcale nie była o tym przekonana. Joan Gonzales ze swoją złośliwą uciechą to dopiero początek. Rachel miała duże wątpliwości, czy nie okaże się to ponad jej siły, gdy Jake rozpocznie spotkania z wyborcami, nieuniknione w czasie kampanii.

Przyniósłszy Rachel kieliszek wina, Jake się usadowił obok niej na fotelu w patiu. Podwodne światła w basenie rzucały na jej twarz miękką niebieskawą poświatę. Podniósłszy do ust

szklaneczkę, Jake wciągnął głośno powietrze, bo ostry burbon zapiekł go w gardle. Rachel była przez cały wieczór milcząca, pogrążona w myślach. Jest wprawdzie taka przyciszona od zniknięcia Scottiego, ale odkąd sytuację dodatkowo skomplikowało pojawienie się Michaela, Jake już sam nie wiedział, co stanowi normalny wieczór w domu. Dziś jednak czuł, że jest jeszcze coś.

To nie problem Michaela, zdecydował. Prawdę mówiąc, Rachel i Michael zgadzają się nadspodziewanie dobrze, za co Jake dziękował Bogu. Tak się szczęśliwie złożyło, że jej godziny w szpitalu pokrywają się z jego dniem szkolnym. Zawoziła go więc rano do szkoły, a po południu odbierała. Sama to zaproponowała. Jake, chwytający w lot każdą okoliczność mogącą scementować stosunki ich trójki, był w siódmym niebie. Od chwili pojawienia się chłopca modlił się, żeby Rachel go polubiła. Teraz chciał czegoś więcej. Chciał, żeby Rachel pokochała Michaela tak jak on.

Gdyby inne sprawy układały się równie dobrze! On i Rachel sypiali wciąż oddzielnie. Brakowało mu jej, brakowało w nocy, jej ciepłej obecności, brakowało prawa do dotykania jej, całowania, kochania. Boże, jak mu brakowało! Przez te wszystkie lata małżeństwa miewali różne problemy, ale prawie nigdy nie stanowiło problemu pożycie płciowe. Wystarczyło mu spojrzeć na Rachel, a już jej pragnął. I do niedawna żył w przekonaniu, że ona podziela jego uczucia. Teraz nie był już taki pewien. Czyżby potrafiła tak powściągać swoje porywy? Tak sobie wyobraża miłość? A może go nigdy nie kochała?

Wyprostował się w fotelu, żeby się znaleźć nieco za nią i móc ją obserwować.

- Coś cię dzisiaj gnębi, prawda? - zapytał.

Trwała przez chwilę nieruchomo, po czym poprawiła się na siedzeniu, założyła nogę na nogę.

- Nic szczególnego.
- Jak tam praca?
- Ciekawa. Mam pełne ręce roboty, ani chwili wytchnienia.

Przyglądał jej się ze zmarszczonym czołem. Dwaj jego ludzie, Ed Sims i Leon White, przywieźli na Oddział Nagłych Wypadków dwójkę znarkotyzowanych szczeniaków zaraz pierwszego dnia jej pracy. Nie chciał, żeby Rachel była narażona na podobne przyjemności.

- Nie musisz tam pracować, Rachel. Możesz...
- Odpowiada mi to, Jake.

Nie chciał wdawać się z nią w dyskusje, ale nie mógł tak po prostu zostawić sprawy.

- W domu nigdy nie lubiłaś, jak zaczynało ci się za dużo zwać na głowę. Jak może ci to odpowiadać w pracy?

- Nie wiem. To co innego. Wyzwanie.
- Jesteś tam narażona na oglądanie różnych okropności
- powiedział głosem nabrzmiałym dezaprobatą.

- Doświadczyłam przedsmaku tego od razu w pierwszych godzinach. - Przesunęła nieco fotel, żeby widzieć jego twarz.

- Jake, jak to możliwe, że jestem żoną szeryfa, a żyłam dotąd jakby w krainie z baśni? Czytam gazety. Wiem, że w Tidewater istnieje problem narkomanii. Wszystkie miasta go mają. Wiem o nastolatkach w ciąży, o bezdomnych, o alkoholikach. Ale moja wiedza o tych problemach była dotąd taka... taka bezosobowa. Teraz w szpitalu, oglądając to co dzień z bliska, zastanawiam się, na jakim ja świecie żyłam. Czy chowałam przez te wszystkie lata głowę w piasek, udawałam przed sobą, że wszystko jest pięknie, ładnie?

- To śmieszne - odparł łykając solidny haust burbona.

- Fakt, że się nie ocierałaś o wszystkie występki hrabstwa, że się nie kumałaś z różnymi szumowinami, nie znaczy, że jesteś gorszą istotą ludzką.

- Nie chcesz zrozumieć - odrzuciła zniecierpliwiona.

- Mam poczucie, że powinnam była się bardziej angażować. Przecież jestem żoną szeryfa.

Wstał i stanął nad brzegiem basenu, odwrócony do niej plecami.

- Właśnie dlatego, że stykam się z tym na co dzień, starałem się zawsze chronić moją rodzinę.

- Może ja nie chcę być dłużej chroniona.

Jake'owi zabiło gwałtownie serce. Czy teraz mu powie, że go rzuca? Czy o tym przemyśliwała przez cały wieczór? Ścisnął szklaneczkę tak, że mała nie pękła. Następne słowa wypowiedział z trudem.

- Do czego ty zmierzasz, Rachel?

Wstała, podeszła do różowej bugenwilli.

- Sama nie wiem. Jestem zagubiona, wytracona z równowagi tym... tym wszystkim.

Wstrzymując oddech, Jake zacisnął dłoń na karku. Tym wszystkim! Znaczący jego zdradą, obecnością Michaela, a może najbardziej niepowodzeniem jego poszukiwań Scottiego.

- Żyję z dnia na dzień - powiedziała zdławionym głosem.

- Praca pomaga mi trwać. Czuję przynajmniej, że robię coś pożytecznego.

Odetchnął trochę. Na jedno krótkie uderzenie serca zmarł, pewien, że teraz poprosi o rozwód. Poczł ulgę jak skazaniec, który w ostatniej minucie dowiaduje się o ułaskawieniu. Bóg mu świadkiem, że nie wie, jak długo to wytrzyma. Potrzebuje od niej choćby drobnego znaku, że zachowała dla niego resztkę miłości.



Chociaż rozdzielała ich szerokość patia, obrócił się, jakby miał ją wziąć w ramiona, okazać jej w najbardziej elementarny sposób, jak bardzo ją kocha, jak bardzo jej potrzebuje. Nim zrobił krok, uniosła głowę i napotkała jego spojrzenie.

- Jake...

Zamarł.

- Co?

- Czy niczego... niczego nie udało ci się dowiedzieć?

Scottie! Gdyby mógł jej powiedzieć to, czego tak bardzo pragnie. Rad był, że w patiu panuje półmrok i Rachel nie widzi rozpaczony w jego oczach.

- Nie, niczego. Wyczerpałem możliwości. Wszyscy są zaalarmowani, fotografie rozesłane po całym kraju. Nic...

Urwał. Wszystko to wymówki. Nawet w jego własnych uszach brzmiało to jak wymówki. Rachel odwróciła wzrok.

- Myślałam... Miałam nadzieję...

Skrzyżowała ręce na piersi, pokręciła głową. Jake słyszał, jak robi głęboki wdech, po czym dostrzegł, że próbuje się błado uśmiechnąć.

- W przyszłym miesiącu ruszy kampania.

- T-tak - odpowiedział po chwili milczenia.

- Jak się spisuje Liz?

- Na medal.

Dzięki Bogu przynajmniej, że kampanią wyborczą kieruje Liz. Liz, najstarsza siostra Rachel, była adwokatką z żyłką do polityki. Brała czynny udział w poprzedniej udanej kampanii Jake'a i z jeszcze większym entuzjazmem rzuciła się w przygotowania do obecnej. Nieoczekiwane pojawienie się Michaela mogło tym razem przesądzić o przegranej, ale Liz postanowiła uczynić wszystko, żeby wyborcy pokochali chłopca tak

jak on. Fakt, że Liz należy do rodziny, stanowił nieoceniony atut.

- Przygotowujesz się do wystąpień?

- Nie miałem dotąd czasu. Tyle rzeczy się wydarzyło.

Niestety, bez kampanii nie utrzymam się na stanowisku.

Rachel nie odpowiedziała. Jej twarz spowijał cień, więc

Jake nie próbował nawet zgadywać, o czym myśli. Wyrzucił do basenu resztki lodu ze szklaneczki.

- Izba Handlowa organizuje pierwsze spotkanie w przyszłą sobotę. Poznajcie kandydata!" Wiesz, jak to wygląda

- Już? Tak wcześnie?

Rachel nie próbowała nawet ukryć konsternacji.

- Musimy tam być.

Ułamała różową gałązkę bugenwilli.

- Ja nie, Jake.

- Rachel...

- Ja tam nie pójdę. Nie mogę.

- Z powodu Michaela?

Zmierzyła go martwym spojrzeniem.

- A jak myślisz? Oczywiście, z powodu Michaela. Całe misto o tym mówi, Jake. Jak bym się tam czuła?

- Wiem, jakie to trudne. Ja...

- Ty wiesz? - Jake usłyszał sceptycyzm w jej głosie. Więc powiedz mi, czy ktoś miał czelność zapytać cię o to żywe oczy.

- N-no...

- Wiedziałam, że nie. - Wydała ostry śmieszek. - A mnie ktoś zapytał. Właśnie dzisiaj, jeśli chcesz wiedzieć. A to prawdopodobnie dopiero początek.

- Kto to był? Kto miał czelność?

- Wyobraź sobie, że Joan Gonzales. Żona twojego kontrkandydata, Jake. W supermarkecie. Na oczach całego Tidewater.

- Boże! To okropne! - Jake poczuł skurcz bólu. Wbił palce we włosy. - Jak do tego doszło?

- Robiliśmy zakupy...

- My? To znaczy kto?

- Ja z Michaeliem.

Jake zamknął oczy, przygotowany na najgorsze.

- Czelność tej baby może iść o lepsze tylko z jej wścibstwem - parsknęła gniewnie Rachel.

- Niech ją diabli! Co ona zrobiła? Powiedziała coś przykrego Mike'owi? - Ze spojrzenia, jakim go obrzuciła, Jake pojął, że uważa, iż zląkł się tylko o Michaela. Tym silniej poczuł, po jak niebezpiecznym stąpa gruncie. - Opowiedz mi dokładnie - poprosił zduszonym głosem.

- Poradziłam sobie z nią jakoś, Jake. I nie martw się o Michaela. Przyjął to ze stoicyzmem. Kazała go sobie oczywiście przedstawić.

- I co zrobiłaś?

- Przedstawiłam. Powiedziałam jej prawdę, tyle ile musiałam. - Obróciła się znów do bugenwilli. - A czego się spodziewałaś?

Odstawiwszy delikatnie szklaneczkę na stół ogrodowy, podszedł do niej.

- Przykro mi Rachel. Wiem, jaka wredna potrafi być Joan. Musiała mieć niezmierną uciechę, że ci się może wreszcie dobrać do skóry.

Popatrzyła na niego nie rozumiejącym wzrokiem.

- O czym ty mówisz, Jake?

- Zawsze była o ciebie zazdrosna.

- Zazdrosna? O co?

- O to, że cię wszyscy lubią i szanują, że masz rozgałęzione znajomości i powiązania rodzinne, że bierzesz udział w tuzinie rzeczy, o których ona może jedynie marzyć, że jesteś piękna i urocza, że jesteś damą.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma, niezdolna wydobyć głosu.

- Czemu tak na mnie patrzysz?

Pokręciła głową.

- Ty chyba mówisz o moich siostrach.

- Nie, opisuję moją żonę.

- Ja... ja nigdy tak o sobie nie myślałam. I nie przyszło mi do głowy, że ty możesz tak o mnie myśleć.

- Jestem wobec tego ostatnim kretynem, że ci tego dzień w dzień nie powtarzałem. To wszystko święta prawda, Rachel. I jeszcze mało. - Wyciągnął ręce, żeby jej dotknąć, łaknął tego, ale powstrzymało go jej spojrzenie. - Nigdy sobie nie wybaczę, że cię naraziłem na afronty takich wieźm jak Joan. Uświadomiłaś chyba Michaelowi, że baba nie zasługuje, żeby z jej powodu nie spał w nocy?

Rachel przytaknęła głową.

- Wiem, jaka z niej zgaga. Roztrąbi to po całym hrabstwie. Zrobi to z dziką rozkoszą. J. B. tylko czekał na coś, czego by mógł użyć przeciwko mnie.

- No, teraz ma - powiedziała z goryczą. - Nie mógł sobie wymarzyć lepszej broni niż nieślubne dziecko.

Jake wzdrygnął się w duchu, wiedząc, że to prawda.

- Najskuteczniejszym sposobem na ukręcenie głowy plotkom będzie, jak utworzymy wspólny front, Rachel. - Tym razem chwycił ją za rękę, żeby się nie odsunęła. - Kiedy jesteśmy sami, możesz mnie karać do woli, ale jeśli chcesz stępić broń w rękę J.B., powinnaś ze mną pójść do Izby Hand-

lowej i stwarzać pozory, że zaakceptowałaś Michaela. - Nieświadomie jął gładzić palcem delikatną skórę w zagięciu jej łokcia. - Zastanów się nad tym.

Nie patrzyła na niego.

- I miałabym się narazić na te wszystkie spojrzenia? Na szept, chichoty, domysły? - Wzdrygnęła się. - Nie zniosłabym tego! Wiesz dobrze.

Jake wiedział, że Rachel tolerowała rolę żony polityka ze względu na niego, ale nie czuła się nigdy dobrze w świetle reflektorów, wystawiona na spojrzenia ludzkie. Mało kto zdaje sobie sprawę, jaka jest w gruncie rzeczy nieśmiała. Jake wydał długie westchnienie. Gdyby mógł jej powiedzieć, że nie będzie tym razem kandydował. Ale nie wolno mu tego zrobić. Tylko jako szeryf ma dostęp do wszystkich kanałów dających szansę odnalezienia zaginionego syna. Te kanały zamkną się przed nim, jeśli zostanie zwykłym szarym obywatelem. Musi kandydować.

- Odwdzięczę ci się za to, Rachel - powiedział cicho.

- Nie wiem jeszcze jak, ale odwdzięczę.

- Odwdzięczysz mi się, jak odnajdziesz Scottiego.

Zacisnął szczęki.

- Myślisz, że nie robię wszystkiego, co w ludzkiej mocy?

- Już sama nie wiem.

Zacisnął dłoń na jej ręce tak, że musiała na niego spojrzeć.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Oswobodziła się.

- Ty masz teraz Michaela. Dla ciebie to nie to samo.

Gniew odjął mu na parę sekund mowę.

- Uważasz, że moja miłość do Michaela umniejszała w jakiejś mierze moją miłość do naszego syna?

- No, może... może nie to. - Rachel mimo woli pocierała

miejsce w zagięciu łokcia, którego dotykały palce Jake'a, ale jego wzroku unikała. - Myślę tylko, że pojawienie się Michaela zapełniło częściowo pustkę w twoim życiu. Zastanawiam się czasami, czy teraz, kiedy masz Michaela, nie osłabła twoja gorliwość w poszukiwaniu Scottiego.

Przez chwilę Jake tylko na nią patrzył. Kiedy przemówił, głos mu drżał.

- Tym razem puszcze mimo uszu to, co powiedziałaś, Rachel. Wiem, że twój ból jest ponad ludzką wytrzymałość. Wiem, że Scottie znaczył dla ciebie więcej niż cokolwiek w życiu. Ale jeżeli jeszcze raz, kiedykolwiek, powtarzam, kiedykolwiek, Rachel, podasz w wątpliwość, że czynię wszystko, co w ludzkiej mocy, dla odnalezienia Scottiego, że oddałbym życie, żeby go odzyskać, to nie będziesz musiała znosić mojej obecności ani dnia dłużej, bo wyjdę z tego domu i więcej nie wrócę. Nasze małżeństwo, nasza miłość, wszystko, co nas łączyło, przejdzie do historii, Rachel.

Patrzyła na niego niemo, z buntem w oczach. Stali tak, mierząc się wzrokiem, przykuci do siebie nadmiarem cierpienia. Od basenu dochodził cichy chłopot wody. Gdzieś trzasnęły drzwiczki auta. U sąsiadów zaszczekał basem pies. A oni tak stali, niepamiętni niczego. Aż w końcu Rachel, ze zdławionym łkaniem, przesunęła się obok Jake'a i popędziła do domu.

Od samego początku ich związku Rachel budziła w nim najgłębsze instynkty opiekuńcze. Miała w sobie wrażliwość, bezradność, która poruszała w nim najlepsze i najintymniejsze struny. Przez osiemnaście lat czerpał intensywną męską satysfakcję z opiekowania się nią, z chronienia jej. Dokładał wszelkich starań, żeby najprzykrzejsze przejawy życia nie dotknęły jego Rachel. Cios nożem w serce nie zraniły go

bardziej niż jej przypuszczenie, że mógłby zostawić na pastwę losu ich synka.

Podniósł wzrok na bezgwiezdne niebo i wyszeptał udreńczonym głosem jej imię.

- Dlaczego my się tak nawzajem dreńczymy, Rachel?

- Dobrze, więc jaka ma być ta oficjalna wersja? - zapytała Suzanne, biorąc od Rachel wysoką szklanekę z mrożoną herbatą. - Jak dotąd, zbywam jakoś natrętne pytania, ale prędzej czy później będziemy musieli zacząć coś mówić, moja droga. Co to ma być?

Liz, najstarsza z sióstr, wzięła szklanekę z tacy, którą Rachel jej podsunęła.

- Suzy ma rację, Rachel. Wszystkie te domysły są zgubne dla reputacji Jake'a. Trzeba opracować jakąś strategię, żeby wytrącić broń z rąk ludziom J.B., zanim nam zbyt szkodzą.

Rachel zdusiła westchnienie, usiadła.

- Mówisz jak adwokat, Liz.

- Jestem adwokatką, Rachel, prowadzę kampanię Jake'a. Moją rzeczą jest chwycić diabła za rogi i prać brudy. Nie mogę czekać, aż wyciągnie to jakiś typ z ulicy.

- Liz dobrze mówi, Rachel - wtrąciła Suzanne. - Z racji mojej pracy muszę mieć uszy otwarte i słuchać, co w trawie piszczy. Imię Jake'a jest na ustach całego miasta. Sytuacja może się wkrótce zrobić bardzo niezręczna.

Rachel sięgnęła po okulary przeciwsłoneczne, założyła je. Przyciemnione szkła stanowiły bardzo wątpliwą osłonę w obliczu przesłuchania, jakiemu ją poddają siostry. Wiedziała, że wezmą ją w obroty, gdy tylko usłyszały o pojawieniu się Michaela. Przy swoim doświadczeniu politycznym od razu poję-

ły, że Jake może z tego powodu przepaść w wyborach. Nie miała wątpliwości, że ją zarzucą dobrymi radami, jak wybrnąć z kłopotu.

Jako najmłodsza, od dziewczęcych lat musiała się opędać przed ich życzliwymi próbami urządzania jej życia. Obie bez trudu łączyły sprawne prowadzenie domu z odpowiedzialną pozycją zawodową. Obie miały Rachel za złe, że nie uczyniła po studiach najmniejszej próby rozpoczęcia kariery, poprzestając na życiu rodzinnym. Rachel była tak odmienna od nich, że czasami się zastanawiała, czy przypadkiem nie przyszła na świat bez jakichś genów. Życzą jej dobrze, ale ona próbuje teraz pokierować swoim życiem sama.

Suzanne chrząknęła.

- Co ty na to, Rachel?

- Dlaczego wy się troszczycie tylko, jak to wpłynie na kampanię Jake'a? - spytała przesuwając wzrok od jednej do drugiej. Wiedziała, że to, co teraz powie, zaskoczy je obie.

- Dlaczego tak łatwo przymykacie oczy na oczywisty fakt jego niewierności? Miał romans, u licha! Dlaczego nie spytaście, jak to się odbiło na mnie? Jak to się odbiło na naszym małżeństwie?

Raz wreszcie żadna z siostr nie miała gotowej odpowiedzi. Patrzyły na nią, na ich twarzach malowało się zaskoczenie. Wyczuwając ich niepewność, Rachel doznała dziwnej satysfakcji. Rzadko zdarzało jej się zdobywać na przeciwstawienie ich połączonym siłom.

- Och, Rachel - bąknęła Suzanne.

- Będiesz musiała przejść nad tym do porządku dziennego - oświadczyła Liz.

Ale Rachel nie była gotowa przejść nad tym do porządku.

- A jeśli mało mnie obchodzi kampania Jake'a i to, co



ludzie o nim powiedzą? Jeśli mnie nie interesuje opracowanie strategii dla wytrącenia broni ludziom J.B.? Jeśli w tej chwili mam gdzieś Jake'a McAdama?

Zaległa chwila martwej ciszy. W końcu Suzanne sięgnęła i położyła rękę na kolanie Rachel.

- Nie mówisz chyba serio, kochanie?

- Mówię jak najbardziej serio.

- Jesteś oczywiście wkurzona - odezwała się Liz. - To zrozumiałe, ale...

- Wkurzona? - Rachel poderwała się na nogi. - Wkurzoną można być, jak ktoś się wpakuje przed ciebie do kolejki, Liz. Jak ci przyślą nie taką pizzę, jaką zamawiałaś. Wkurzona to nie jest wystarczająco silne słowo, kiedy się dowiadujesz, że twój mąż miał romans, w wyniku którego rodzi się prawdziwe, żywe dziecko. Czy byłabyś wkurzona, gdyby na progu twego domu zjawił się czternastoletni syn Cliffa?

Cliff był od dwudziestu lat mężem Liz.

- Przepraszam, Rachel. To idiotyczne z mojej strony...

- Idiotyczne ze strony nas obu - wtrąciła szybko Suzanne.

- Nie powinnyśmy były w ogóle poruszać tej sprawy, Rachel, dopóki ty sama nie zaczniesz o tym mówić, jeśli w ogóle. Masz oczywiście rację. Gdybyśmy się, Liz czyja, dowiedziały, że Cliff czy Alan nas zdradzili, bez względu na okoliczności, nie puściłybyśmy im tego płazem.

Rachel schyliła głowę, przycisnęła palcem mostek okularów.

- Wiem, że całe miasto buzuje od plotek. Wiem, że ponowny wybór Jake'a stoi pod znakiem zapytania. Wiem, że powinnam myśleć o tym, jak mam świecić oczami na zebraniach przedwyborczych. Ale szczerze mówiąc, tak jak sprawy stoją, mało mnie obchodzi, co ludzie powiedzą. Moje całe

życie zostało wywrócone do góry nogami. Niech wyborcy Tidewater poznają pikantne szczegóły!

Gdyby się zaczęła rozbierać w publicznym miejscu - stwierdziła - jej siostry nie byłyby bardziej zaszokowane niż tym jej wybuchem. Liz, mająca najwięcej do stracenia jako kierowniczka kampanii Jake'a, jęła z zatroskaną miną dolewać sobie mrożonej herbaty. Suzanne poklepała nagłaco krzesło, na którym Rachel przed chwilą siedziała.

- Chodź, usiądź z powrotem, Rachel. Zapomnij o złych językach Tidewater... a zaliczam do nich siebie i Liz. Już my coś wymyślimy, jak przyjdzie co do czego, prawda, Liz? Tymczasem - powiedziała serdeczniejszym tonem - opowiedz nam o Michaelu. To chyba możesz, co?

- Jest taki podobny do Jake'a - odparła Rachel siadając. Oczy zasnuły jej się mgłą. - Prawdę mówiąc, jest do niego bardziej podobny niż... niż Scottie. Ma takie same szare oczy, takie same włosy, identyczne znamię...

Podniosła szklankę, wysiłkiem woli wmusiła zimny płyn w zdławione gardło. Suzanne obserwowała ją znad krawędzi swojej szklanki.

- Więc nie ma wątpliwości, że to jego syn?

- Chociaż Jake uwierzył mu od pierwszej chwili - odpowiedziała Liz - polecił mi oczywiście sprawdzenie faktów.

Rachel odstawiła szklankę.

- Miał ciężkie życie - powiedziała, poczuwając się do obrony Michaela. - Samodzielna wyprawa na poszukiwanie naturalnego ojca to był śmiały krok dla czternastoletniego chłopca. Miał różne ciężkie chwile w drodze, ale dopiął swego. Jest twardy. Życie go zahartowało. - Milczała chwilę, nim dodała: - W ogóle to fajny chłopak.

- Gdzie się wychowywał przez te wszystkie lata? - spytała Suzanne.

- U babki w Iowie.
- A co z matką?
- Nie żyje.

Przez chwilę w powietrzu wibrowała ich wyczuwalna ciekawość. Rachel wiedziała, że chciałyby usłyszeć o romansie Jake'a, ale nie dojrzała do mówienia o tym, nawet z własnymi siostrami. Inni będą ją tak samo obserwować, będą spekulować, analizować jej reakcje. Zdawała sobie doskonale sprawę, że jej zachowanie może zadecydować o wybaczeniu lub potępieniu publicznym. O wypadnięciu Jake'a z łask. Przez cały czas swego urzędowania na wybieralnym stanowisku Jake był zadziwiająco wolny od jakiegokolwiek skandalu. Wyborcy, znajomi, krewni, wszyscy znali go jako człowieka niezłomnego i niezawodnego, męża nieskazitelnej prawości i uczciwości. Jego reputacja jest chyba wystarczająco silna, żeby przetrzymać więcej niż to, powtarzała sobie Rachel.

Była bowiem święcie przekonana, że dopóki nie upora się sama ze swoimi splątanymi uczuciami, nie jest mu w stanie wiele pomóc.

# Milczenie nocy

## 7

Wieczór spotkania w Izbie Handlowej nadszedł aż nazbyt szybko. Rachel pojawiła się oczywiście u boku Jake'a i odgrywała rolę, jakiej po niej oczekiwano. Jeżeli jej uśmiech był nieco wymuszony, nikt tego nie zauważył. Jake miał twarz niemal równie napiętą, ale Rachel należała do nielicznych osób, które znały go wystarczająco dobrze, by to zauważyć. Jako człowiek nawykły do wystąpień publicznych, potrafił lepiej maskować swoje uczucia. Rachel przyglądała się przez chwilę z drzwi saloniku dla pań, jak rozmawia z burmistrzem Tidewater oraz prezesem Izby Handlowej, który zorganizował spotkanie. Jakby czując na sobie jej wzrok, Jake popatrzył na nią nad łysiejącą głową burmistrza. Ich oczy spotkały się na kilka sekund, po czym uwagę Jake'a przyciągnął z powrotem prezes.

Rachel zaczęła się przeciskać przez tłum, wypatrując jakiejś przyjaznej, naprawdę przyjaznej twarzy, oczywiście poza krewnymi. Nie było przypadkiem, że jej rodzina zjawiała się w komplecie. Wszyscy członkowie rodziny zdawali sobie sprawę, że ten wieczór będzie dla niej trudną próbą, i postawi-

li sobie za punkt honoru roztoczenie nad nią dyskretnej opieki, jakby była dziewczynką, której grozi molestowanie. Co w niej jest takiego, że wszyscy uważają za swój obowiązek mieszać się w jej sprawy, myślała z irytacją.

Solista orkiestry, lokalnego zespołu muzyki country, zain-tonował właśnie „Jestem Amerykaninem i dumny jestem z tego”. Ku parkietowi przeciskało się kilka par i ktoś robiący im przejście wpadł tyłem na Rachel, po czym ją wylewnie przeprosząc. Jeden z podkomendnych Jake'a poprosił ją do tańca, ale się wymówiła, posyłając mu promienny uśmiech. Zerknęła na zegarek, żeby się przekonać, jak szybko będzie im się wypadało wymknąć. Tymczasem poszuka chwili spokoju na dworze, zaczerpnie trochę świeżego powietrza.

Zmieniła kierunek, ruszając w stronę drzwi do ogrodu. Kilka innych osób wpadło na ten sam pomysł, ale większa część zebranych wolała pozostawać w sali, gdzie był bar, gdzie grała muzyka i gdzie można było porozmawiać.

- Rachel!

Ktoś złapał ją za rękę, nim zdążyła się wymknąć na dwór. Ujrawszy nad sobą przyjaźnie uśmiechniętą twarz Rona Campbella, lekko się odprężyła.

- Cześć, Ron. Nie zauważyłam cię dotąd. Zatrzymali cię w szpitalu?

Wziął ją poufale za ramię.

- Jestem tu cały czas. Ale niełatwo cię dopaść, moja pani. Ilekroć próbowałem się do ciebie zbliżyć, Jake cię gdzieś porywał. - Posłał jej porozumiewawczy uśmiech. - Skorzystałem, jak tylko zobaczyłem, że zmierzasz w tym kierunku. Chodź, uciekajmy z tego domu wariatów.

Rachel się zawahała, w końcu pozwoliła się jednak pociągnąć na dwór i przez patio. Nie cierpiała tego rodzaju imprez,

ale nie przypuszczała, że to się rzuca w oczy. Kiedy dźwięki muzyki nieco przycichły, wydała westchnienie ulgi.

- Nareszcie trochę ciszy.

- No-o! - Ron się roześmiał. - Jeszcze parę decybeli, a musieliby płacić odszkodowanie za popękane bębny.

- Doskonale cię rozumiem. Zawsze mi się wydawało, że muzyka *country* koi nerwy. Ale to, co tu się dzisiaj wyprawia, przypomina bardziej ryk dzikich zwierząt w zoo. Marzyłam, żeby się stamtąd wyrwać.

Wsunął jej rękę pod ramię, uściśnął porozumiewawczo dłoń.

- No, to mi się poszczęściło. Będę się z tobą napawał tym spokojem.

W ciszy jego głos zabrzmiał intymnym tonem. Rachel uwolniła delikatnie palce z jego uścisku. Rozejrzawszy się stwierdziła, że Ron ją prowadzi w ustronny zakątek ogrodu. Ogarnęły ją wątpliwości. Z lekkim westchnieniem osunęła się na ławkę, a on usiadł obok. Nie pamiętała, jak dawno nie siedziała tak po ciemku z mężczyzną. Pewnie odkąd wyszła za męża. A już na pewno, odkąd Jake został szeryfem. Ludziom niewiele potrzeba, żeby odsądzić kobietę od czci i wiary, więc zawsze unikała wszystkiego, co mogłoby rzucić najłżejszy cień na jej reputację. Ale dzisiaj jakoś dziwnie mało ją obchodziło, co ludzie sobie pomyślą.

Ron jej się przyglądał, na ustach igrał mu uśmiezek.

- Dla ciebie to pewnie zwykła rzecz. W końcu to nie pierwsza kampania wyborcza Jake'a.

Urwała liść z rosnącego obok krzewu gardenii.

- Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do tłumy, do hałasu, do natrętów.

Już wypowiadając te słowa, dziwiła się samej sobie. Dys-

krecja jest u żony polityka równie ważna jak uśmiech. Co się z nią dzieje?

- To trochę tak jakby człowiek żył w akwarium, prawda?

- Trochę. Szczęśliwie po wyborach hałas i tłum przestają się tak dawać we znaki.

- Ale nadal żyje się jak w akwarium.

- Niestety.

Przysunął się trochę, położył rękę na oparciu ławki za jej plecami. Uczynił to w niewymuszony sposób, ale jego manewr nie uszedł uwagi Rachel. A jeśli ktoś ich zobaczy?

- Od tak dawna się znamy, Rachel - powiedział cicho.

- Jakbyś kiedy potrzebowała przyjaznej dłoni, to wiedz, że możesz na mnie liczyć.

- Jak Rachel potrzebuje przyjaznej dłoni, to ma mnie.

Głos Jake'a rozciął powietrze jak zimna stal. Zaskoczona Rachel o mało nie poderwała się na nogi, powstrzymała się jednak w porę. Nie robi nic zdrożnego, u licha! Ron natomiast się poderwał. Zlustrował twarz Jake'a baczny wzrokiem.

- Czołem, szeryfie. Wyszliśmy z Rachel odetchnąć świeżym powietrzem. - Jego śmieшек zabrzmiał nieco sztucznie.

- Od tej muzyki puchną człowiekowi uszy.

Twarz Jake'a mogła się wydawać wykuta z granitu. Zmierzywszy Rona przeciągłym spojrzeniem, obrócił się do żony.

- Rachel?

Podniosła się z ławki.

- Jestem zmęczona, Jake. Możemy już wracać do domu?

- To właśnie chciałem zaproponować.

Wziął ją pod ramię i byłby pociągnął ze sobą bez słowa, ale nie pozwoliła się odprowadzić jak niegrzeczna dziewczynka. Uwolniła ramię, obróciła się do Rona.

- Cześć, Ron. Do poniedziałku.

Przez całą drogę do domu żadne nie odezwało się ani słowem. Jake był wściekły, w samochodzie zdawała się wibrować jego tłumiona furia. Rachel, z buntowniczo zaciśniętą szczęką, nie odrywała oczu od okna. Co ją obchodzi, że jest wściekły, mówiła sobie. To ostatnio nie nowina. Jest wściekły, odkąd go oskarżyła, że zaniedbuje poszukiwania Scottiego. Okazuje jej tyle serdeczności, ile by miał dla nieproszonego gościa. Albo jeszcze mniej. Wobec gościa zdobyłby się przynajmniej na uśmiech. Poświęciłby mu odrobinę czasu. A od niej po prostu ucieka. Spotykają się tylko przy posiłkach, bo jeść muszą razem ze względu na Michaela. Od tamtego dnia nie spędził z nią ani razu tyle czasu co dziś przy okazji tego wieczoru w Izbie Handlowej.

Wszedł za nią do sypialni, którą z nią kiedyś dzielił.

- Czego ty chciałaś tym dowieść?

- Nie mam ochoty dzisiaj rozmawiać, Jake. Chcę iść spać.

- Ale porozmawiasz, masz ochotę czy nie. Żądam odpowiedzi, jasnej odpowiedzi.

- Nie wrzeszcz na mnie. To nie przesłuchanie, a ja nie jestem jedną z twoich podejrzanych. - Posłała mu ironiczne spojrzenie. - Nie chcesz chyba, żeby usłyszeli sąsiedzi? Mogłoby to zaszkodzić twojej reputacji.

Mierzył ją przez dłuższą chwilę zimnym wzrokiem.

- Czy o to właśnie chodziło? Chciałaś rozmyślnie podebrać moją reputację?

- Nie bądź śmieszny.

Kopnęła w kąt pokoju jeden pantofel, potem drugi i natychmiast tego pożałowała. Była od niego o dobre dwadzieścia centymetrów niższa. Pozbywszy się obcasów, odczuła dotkliwie różnicę.

- Żądam jasnej odpowiedzi, Rachel. Czy wysłałaś z Camp-



bellem do ogrodu, żeby spowodować o nas plotki? Chcesz mi poderżnąć gardło, zanim kampania rozwinie się na dobre?

- Oczywiście, że nie.

- Wiesz, jakie znaczenie ma w tej zabawie opinia o człowieku. Choćby się opierała na pozorach. - Wydał długie westchnienie. - To przykre, ale taka jest rzeczywistość. Po dwunastu latach wiesz to równie dobrze jak ja.

Zdjęła klipsy, rzuciła je na toaletkę.

- Może mam już dość hipokryzji. Sama nie wiem.

- Wobec tego wracamy do punktu wyjścia. Jeżeli nie robiłaś tego rozmyślnie, żeby nas wzięli na języki, to dlaczego się postawiłaś w takiej kompromitującej sytuacji?

- Na miłość boską, mówisz jak oburzona przyzwoitka. To rok 1990, Jake, nie osiemnasty wiek. Nikt nie zwraca na to uwagi, jak dwie dorosłe osoby szukają chwili wytchnienia na hałaśliwej zabawie.

- Nie tak mi to wyglądało. Wyglądało na to, że ten sukinyś próbuje się dobierać do mojej żony.

Rachel pochłonięta była odpinaniem zegarka. Podniosła wzrok.

- Wyrażał współczucie dla życia, jakie muszę prowadzić.

Dotknięty do żywego, Jake nie chciał tego okazać. Uciekł się do sarkazmu.

- A co jest takiego strasznego w twoim życiu? - Powiódł wzrokiem po luksusowo urządzonym pokoju. - Jakoś nie widzę, żebyś była taka upośledzona.

Ale mówiąc to, dobrze wiedział, z czego wypływa gorycz Rachel. Boli ją tamta jego zdrada. Choćby nie wiem, jak próbował to od siebie odpychać, zamykać na to oczy, stoi to między nimi jak mur.

Rachel rzuciła z wściekłością zegarek na toaletkę.

- Płacimy za to życie bardzo wysoką cenę, Jake. Żyjemy jak w szklanej klatce. Wszystkie nasze sekrety są publiczną tajemnicą. A zresztą, czy naprawdę chcesz ze mną dyskutować o plotkach i insynuacjach? Moje parę minut sam na sam z szefem w ogrodzie nie wywoła nic porównywalnego do burzy spowodowanej pojawieniem się twego czternastoletniego syna.

Czując raptem niewymowne zmęczenie, Jake przeczesał palcami zmierzwione włosy.

- Więc o to naprawdę chodzi, Rachel? O Michaela?

Zaczynała właśnie zdejmować spódnicę. Zatrzymała się w pół ruchu.

- O Michaela? Uważasz, że chodzi o Michaela? Gratuluję ci przenikliwości, Jake! Prawda, ilekroć spojrzę na Michaela, nie mogę nie myśleć o tamtej nocy, kiedy mnie zdradziłeś. Dla zachowania pozorów musiałam go przyjąć do domu, muszę udawać przed... przed tymi wszystkimi ludźmi, że nic mnie nie obchodzi zdrada mego męża, fakt, że cynicznie podeptał nasze śluby małżeńskie. Nawet jeśli to była tylko jedna noc, jest to niegodziwa, wstrętna, obrzydliwa historia. - Rzuciła mu gniewne spojrzenie przez zasłonę łez. - Mam prawo czuć to, co czuję. A jeżeli godzę się świecić oczami na tych twoich idiotycznych spotkaniach przedwyborczych i natykam się na Rona Campbella czy jakąkolwiek inną osobę, z którą mam ochotę porozmawiać, prywatnie czy publicznie, to będę to robić. Nie myślę pytać o twoje pozwolenie.

- Chcesz się na mnie odgrywać tanim flirtem z Ronem Campbellem?

Wzruszyła ramionami.

- Ty szukałeś dreszczyku w pokątnym romansie, dlaczego nie miałabym poszukać i ja?

To, co powiedziała, było idiotyczne, ale w ferworze chwili

plotła, co jej ślina przyniosła na język. Jake znalazł się w mgnieniu oka przy niej. Chwycił ją za ramiona.

- Bóg mi świadkiem, Rachel! Gdybym na moment uwierzył, że myślisz to, co mówisz, powrywałbym ci z zimną krwią ręce i nogi.

Jego twarz znalazła się tak blisko jej twarzy, że dotykali się niemal nosami. Rachel czuła od niego zapach piwa pomieszany z zapachem płynu po goleniu i piżmowym zapachem rozgrzanego męskiego ciała. Serce waliło jej szaleńczym rytmem wyzwania i oczekiwania. Spojrzała mu buntowniczo w oczy.

- Myślisz, że to by ci pomogło w tej twojej cholernej kampanii?

- Uważaj, Rachel - ostrzegł zdławionym głosem. - Żebyś nie posunęła się za daleko.

Wiedziała, że się posuwa za daleko. Serce waliło jej tak, że niemal czuła, jak jedwabna bluzka unosi się na jej piersi w takt jego uderzeń. Ale popychało ją coś, nad czym nie panowała.

- I co ze mną zrobisz? Zamkniesz mnie na klucz do czasu wyborów?

Mijały chwile. Jake trwał bez ruchu. Czuła tylko drganie jego dłoni, ściskających ramiona.

- Nie - powiedział chrapliwie. - Dobrze wiesz, że tego nie mogę zrobić. Ale mogę to!

Przyciągnął ją twardo do swoich ud, poszukał jej ust. Uwięził je w pocałunku, wsunął język głęboko do środka.

W pierwszej chwili powodowała nim tylko przemożna potrzeba dania wyrazu swojej frustracji. Ale zaraz ciepło, miękkość, woń kobiecego ciała zaatakowały jego zmysły. Otworzyło się przed nim niebo. Istne niebo. Tego łaknął od tygodni. To było wyzwolenie. Chęć ukarania jej roztapiała się w ogniu namiętności. Czuł odruchowe stężenie jej ciała, lecz

zbyt był pochłonięty własną narastającą żądzą, by na to zważać. Słyszacząc jęk, który wydała, zmienił pozycję, przydusił dłonią jej pośladki i wcisnął biodro w miękkie rozgałęzienie jej ud. Zakwiliła znowu, odepchnęła bezsilnie jego sprężone ramiona, ale ruch ten złączył tylko ich biodra w tym intymniejszym zwarciu.

Pozostawiając ją bez tchu, poszukał zawsze wrażliwego wnętrza jej ucha. Szepcząc jej imię, jął je drażnić zręcznymi, palącymi ruchami języka. Momentalnie poczuł, jak topnieje jej ciało. Jej dłonie przestały go odpychać, zaplotły się odruchowo na mięśniach jego ramion. Z westchnieniem zadowolenia sięgnął teraz do jej ubrania. Wsunął dłoń pod skąpą koszulkę, delektując się zachwycającą krągłością jej kształtów. Z tłumionym przekleństwem jął się ślepo mocować z gumką rajstop. Ściągnawszy cienki nylon poniżej ud, przykrył dłonią jej wzgórek.

Jęknęła znowu, tym razem z rozkoszy. Była wilgotna i ciepła, gotowa go przyjąć. Wstrząsnął nim dreszcz męskiej satysfakcji. Podniósł ją w mgnieniu oka, zmiotł z łóżka jej garderobę. Jeszcze chwila i poczuje pod sobą jej miękkość, odnowi prawo do kochania jej.

Ciszę rozdarł ostry dźwięk. Spojrzeli oszołomieni.

- To alarm przy łodzi - wykrztusił Jake, pierwszy odzyskując przytomność.

Miał zawsze w pogotowiu rewolwer służbowy. Znalazł go po omacku koło łóżka. Odruchowo sprawdził szybkim ruchem komorę i ruszył ku drzwiom.

- Czekać tutaj - rzucił w kierunku Rachel, wybiegając z pokoju.

Leżąc, gdzie ją zostawił, uniesiona na łokciach, Rachel czuła w piersi serce dudniące jak rozpędzony pociąg, po części z niedawnego podniecenia, po części z lęku

przed intruzami. Ze względu na stanowisko Jake'a mieli w domu czuły system alarmowy i nierzadko się zdarzało, że jakieś zwierzę powodowało fałszywy alarm. Dzięki niech będą Bogu, jeśli i tym razem włączył go jakiś zabłąkany pies, ciekawski szop czy młody opos. Alarm powstrzymał ją przed ulegnięciem Jake'owi. Jeszcze minuta, a byłoby za późno.

Zaskoczyły ją własne reakcje, ale nie czas teraz się zastanawiać, czemu tak łatwo opuściła ją obojętność seksualna ostatnich miesięcy.

Z zaciśniętymi ustami, naciągnęła szlafrok i wyszła z sypialni. Drzwi pokoju Michaela były jak zwykle uchylone. Nigdy nie zamykał ich całkiem i nigdy nie gasił światła w akwarium. Dziwne, że alarm go nie obudził. Pod wpływem impulsu postanowiła się przekonać. Otworzyła szerzej drzwi i ze zdumieniem ujrzała puste łóżko. Gdzie, u Boga...?

Alarm umilkł raptem.

Ze zmarszczonym czołem weszła do gabinetu w momencie, kiedy Jake wpuszczał przed sobą Michaela przez otwarte drzwi od patia. Michael, zakłopotany, unikał jej wzroku.

- Co to było? Co się stało? - zapytała przesuwając spojrzenie na Jake'a.

- Fałszywy alarm. To był Michael. - Pokręcił bagatelizującą głową. - Niebezpieczeństwo zażegnane.

Michael posłał jej skruszone spojrzenie.

- Przepraszam, pani Rachel. Zapomniałem o tym alarmie. Zostawiłem na łodzi to nowe radio, jak wróciliśmy po południu. Przypomniałem sobie dopiero teraz, a ponieważ widziałem, że państwo są oboje, ee... zajęci, więc nie chciałem przeszkadzać. Wiedziałem, gdzie jest, postanowiłem je sam przynieść. Mam nadzieję, że alarm pani zbytnio nie przeraził.

- Nie. - Potrząsnęła krótko głową. - Prawdę mówiąc, jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Często go uruchamia jakiś kot czy pies.

Na twarzy Michaela odmalowała się ulga.

- No-o! Chciałem powiedzieć, tak. Pewnie robią to tylko raz. Ja mało się nie ze... mało nie zemdlałem.

- Alarm jest rzeczywiście głośny - przyznała.

Stwierdziła, że unika jej wzroku. Bóg wie, co usłyszał, kiedy podszedł pod drzwi ich sypialni.

- Głośny, ale skuteczny - skomentował Jake.

Michael potarł ręką brzuch.

- Rany, kiedy tatuś tak wypadł z domu, mało nie umarłem ze strachu. - Zrobił komiczną minę. - Widziałem, że ma rewolwer w ręce, i modliłem się, żeby zobaczył, że to ja, zanim zaczniesz strzelać.

- Jak usłyszałem krzyk, nie miałem najmniejszej wątpliwości, co to za włamywacz - powiedział Jake przeciągając sylaby.

Zarzucił Michaelowi czule ramię na szyję. Chłopiec przyjął szorstką pieśczętę z zaszępioną miną.

- Też byś narobił krzyku, jakbyś zobaczył kogoś pędzącego do ciebie z wyciągniętym rewolwerem.

- Skoro tak twierdzisz...

Jake zarechotał, puścił szyję syna. Rachel przeszła koło nich i zaryglowała drzwi do patia.

- Jest późno, Michaelu. Wracaj do łóżka.

Obrzucił ją niepewnym spojrzeniem.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedział.

Rachel czuła, że myśli nie tylko o fałszywym alarmie. Ale od konieczności odpowiedzi uratował ją Jake.

- Nie ma o czym mówić, Mike - rzekł ze śmiechem. -

W mojej pracy to zwykła rzecz, takie wrywanie z domu o różnych porach dnia i nocy. Nie wyjdę przynajmniej z pracy. - Popchnął go delikatnie ku drzwiom. - Dobranoc, synu. Do jutra.

- Dobranoc.

Rzuciwszy Rachel ostatnie spojrzenie, Michael wyszedł. Uśmiech zamarł na wargach Jake'a, gdy podchodził włączyć na nowo alarm. Rachel odczekała, aż nastawi kod cyfrowy. Kiedy się obrócił, na twarzy miał zacięty wyraz, z jakim go często widywała od zniknięcia Scottiego. Aż do pojawienia się Michaela. Ogarnął ją żal i smutek, że ten wyraz powrócił.

- Słyszał nas, wiesz - powiedziała.

- Tak.

- Przykro mi.

Zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Naprawdę, Rachel?

- Oczywiście. Nie jestem bez serca, żeby rozmyślnie ranić chłopca.

- Nawet mojego bękartą?

W jego głosie brzmiała gorycz. Rachel wzięła z tapczanu poduszkę.

- Żadnego chłopca. Byłam wściekła... i jestem... na tę całą sytuację. Wstyd mi, jeśli słyszał niektóre rzeczy, jakie powiedziałam w złości. Nie muszę ci chyba mówić, że osobą niewinnie pokrzywdzoną jest w tym wszystkim Michael. Nie chcę, żeby on cierpiał w konsekwencji błędu, który popełniłeś piętnaście lat temu. Porozmawiam z nim jutro.

Po chwili, gdy nie odpowiadał, rzuciła poduszkę z powrotem na tapczan.

- Jest już późno, jestem zmęczona.

- Ta-ak.

Odwzajemniła hardo jego spojrzenie, pamiętając gorące chwile, jakie niedawno przeżyli. Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że myśli o tym samym.

Otuliła się szczelniej połamami szlafroka.

- Wracam do siebie - oznajmiła.

Wiedzieli oboje, że Jake nie będzie jej towarzyszył.

Jake spojrział na zegarek. Wpół do dziesiątej. Ślęczy przy biurku już więcej niż dwie godziny. Odchylił się w fotelu, rozluźniając zeszywniałe mięśnie. Pochylił głowę w tył, w przód, pokręcił nią parę razy. Odetchnąwszy głęboko, wyprostował się i sięgnął po następną teczkę.

W biurze panowała cisza. W niedzielę był tu zwykle spokój. Dyżur pełnił personel ograniczony do minimum. Co innego na ulicach Tidewater. Tam rozgrywały się zwykłe dramaty.

W niedzielę skupienie powinno mu było przychodzić z ła-twością. Na ogół jedną z jego mocnych stron stanowiła zdolność koncentrowania myśli, usuwania z pola widzenia wszystkiego poza rozpatrywaną sprawą. Umiejętność posługiwania się bronią czy obezwładniania podejrzanych była ważna w jego zawodzie, ale dziewięćdziesiąt osiem procent pracy stanowiło wielogodzinne ślęczenie, góry papierkowej roboty, brnięcie przez pisemne zeznania, analizowanie wcześniejszych przypadków, zgłębianie zwyczajów przestępców, wyłuskiwanie ukrytych a istotnych poszlak, które posłużą za klucz do sprawy. Jake był w tym dobry. Już przed laty, w brygadzie antynarkotykowej, gdzie doskonalił swoje umiejętności, uchodził za mistrza.

Potarł ze zmęczeniem twarz. Nie znał innej drogi do rozwikłania tajemnicy zniknięcia Scottiego. Odkąd się to wydarzyło, spędzał niedzielę za niedzielą na analizowaniu sylwetek



znanych porywaczy dzieci, zapoznawaniu się z najnowszymi aresztowaniami w całych Stanach, badaniu każdego najbliższego śladu. Obejrzał tysiące fotografii zaginionych dzieci. Piastując najwyższy urząd w hrabstwie Kinard, mógł znaczną część tej pracy zlecić podwładnym, ale bał się zdać w tym na kogokolwiek. Stawką w tej grze było życie Scottiego.

Jego uwaga osłabła ponownie. Odłożył na bok teczkę, ale twarz mu się odprężyła, bo za szklaną połówą ściany jego gabinetu pojawił się w polu widzenia Michael. Jak zwykle kręcił się przy komputerze łączącym hrabstwo Kinard z centrami policyjnymi w całym kraju.

Jake przeciągnął się w fotelu, zaplótł dłonie z tyłu głowy. Od dnia, w którym zjawił się w jego gabinecie, Mike nie ukrywał, że o niczym tak nie marzy, jak o zostaniu stróżem prawa. Szybko zorientował się w procedurach urzędu szeryfa i opanował w zadziwiająco krótkim czasie tajniki komputera, jak relacjonował pracownik, który go w nie wprowadzał. Z początku bawiło to Jake'a, tak samo jak i jego personel. Świadom mnogości nowych doświadczeń w życiu Mike'a, Jake przypuszczał, że syn znajdzie sobie wkrótce bardziej interesujące zajęcie niż przesiadywanie w biurze szeryfa. To jednak nie nastąpiło. Mike wpraszał się przy każdej okazji, a Jake w miarę możliwości zabierał go ze sobą. W niedzielę nie stanowiło to problemu.

Pomyślał przelotnie, żeby sobie przynieść kubek kawy, ale zdecydował, iż zrobiła się już pewnie tak mocna i gorzka, że podziałałaby mu na żołądek jak kwas akumulatorowy. Zamiast tego wyciągnął się płasko na fotelu, położył nogi na biurku. Z dłońmi zaplecionymi na karku, wbił wzrok w sufit. Dziś rano, po raz pierwszy od dłuższego czasu, miał ochotę zostać w domu. Przed oczami stanęła mu Rachel, tak jak wyglądała wczoraj, zaróżowiona z podniecenia. Gdyby nie

ten cholerny alarm, pozwoliłaby mu się kochać. Na samą myśl poczuł, jak się spręża i tężeje.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Od miesięcy Rachel trwała w stanie uczuciowego odrętwienia, w którym on jakby przestał istnieć. Jej słodka kobiecość została zamrożona, jej potrzeby seksualne uśpione. Ich potrzeby seksualne. Od miesięcy nie wymienili nawet pocałunku w policzek. Gdyby nie ten cholerny alarm...

Podniesione głosy przy wejściu poderwały go z fotela. Przez szklaną część ściany zobaczył, jak jeden z jego ludzi wprowadza aresztanta w kajdankach. Wyszedłszy z gabinetu, z zawodową wprawą zlustrował doprowadzonego. Młodociany - nie więcej niż piętnaście, szesnaście lat - dobrze ubrany, obrażony na świat. Robiąc głęboki wdech, Jake podszedł do biurka dyżurnego. Dobrze przynajmniej, że chłopak nie jest uciekinierem.

- Co się dzieje, Dempsey?

- Dzień dobry, szeryfie. - Trzymając wciąż chłopca jedną ręką za ramię, funkcjonariusz rzucił na kontuar plastikowy woreczek. - Narkotyki i prowadzenie w stanie zamroczenia. Zatrzymałem go na Deer Creek przy wjeździe na autostradę. Jechał zygzakiem od pobocza do pobocza, na autostradzie pozabijałby ludzi jak nic.

Jake otworzył woreczek, obejrzał szybko zawartość. Z nieobowiązującym chrząknięciem podał go dyżurnemu sierżantowi, który czekał z kopertą do przechowywania dowodów rzeczowych. Na znak Jake'a, Dempsey puścił chłopca.

- Jak się nazywasz, synu?

Chłopak, ze spuszczoną głową, wymamrotał coś niezrozumiałego. Funkcjonariusz westchnął.

- Mów wyraźnie, jak szeryf cię pyta.

- James.

- James i co dalej? - przynaglił Dempsey tracąc cierpliwość. - To nie ochronka, chłopie. Wpakowałeś się w nielichą kabałę. Jak...

Urwał pod karcącym spojrzeniem Jake'a.

- Mieszkasz w mieście? - spytał Jake dając Dempseyowi znak, żeby zdjął chłopcu kajdanki.

- Tak, proszę pana. - James, widocznie oszołomiony i chory, jął rozcierać oswobodzone przeguby. - Pięćdziesiąt sześć dwadzieścia Brightside. To w Meadowcrest. - Posłał Jake'owi wylęknione spojrzenie. - Zawiadomią panowie tatusia?

Meadowcrest było jedną z najlepszych dzielnic Tidewater.

- Wymagają tego przepisy, James. Twoi rodzice wiedzą, że zażywasz narkotyki?

- Chyba nie.

- To teraz się dowiedzą, chłopie. Idziemy, tędy. - Dempsey ujął aresztanta za ramię i poprowadził do wahadłowych drzwi. Parę godzin pod kluczem ostudzi go skuteczniej niż wszystkie kazania. - Wiesz, czego najbardziej nie cierpię?

- Nie zważając na mamrotanie chłopca, Dempsey ciągnął: - Papierkowej roboty. A czeka mnie przez ciebie. Nie cierpię trawić niedzieli na smarowaniu raportów, a muszę, kiedy taki szczeniak jak ty jest na tyle durny, że się zabiera do narkotyków, i podwójnie durny, że siada potem za kierownicą. Twój tatuś wyskoczy ze skóry, jak się dowie. Mam nadzieję, że nie jest w gorącej wodzie kąpany.

Głośne wahnięcia drzwi zagłuszyły dalsze słowa Dempseya. Jake, z posępną miną, przyglądał się chwilę przez wysokie, wąskie szyby, jak funkcjonariusz z chłopcem oddalają się korytarzem.

- Moody.

Jake spojrział na Michaela, który wyrósł u jego boku.

- Co?

- Nazywa się James Moody. Chodzi do naszej szkoły.

- Michael posłał Jake'owi pytające spojrzenie. - Co z nim będzie, tato?

Jake położył mu dłoń na ramieniu.

- Zostanie przekazany Jackie Kendall, ona się zajmuje młodocianymi. Jackie zawiadomi oczywiście jego rodziców. Miejmy nadzieję, że docenią powagę sytuacji i że znają syna na tyle, żeby go umieć z tego wyrwać. Jeśli posłuchają naszych rad, a my mamy doświadczenie w takich sprawach, to przy odrobinie szczęścia nie zobaczymy tu więcej Jamesa Moody'ego.

Michael, ze wzrokiem wbitym w stopy, starał się dotrzymać Jake'owi kroku, kiedy ruszyli w stronę gabinetu.

- Mówisz, że go znasz?

- Znam to za dużo. Widuję go w szkole. Wszyscy wiedzą, kim jest.

- Jest kimś liczącym się?

Mike wzruszył ramionami.

- Ma bombowe auto, więc wszyscy głupi koło niego skaczą.

- Dziewczyny też?

- No-o! Dziewczyny najbardziej.

Jake zmierzył go rozbawionym wzrokiem.

- Co może bombowe auto, nie?

- Jasne.

Jake się roześmiał. I nie mogąc się oprzeć, jedną rękę zarzucił synowi na szyję, a drugą zmierzwił włosy na głowie. Jeśli Mike uważa, że jest za dorosły na takie przejawy czułości, to niech nie mówi rzeczy, które napawają jego staruszka dumą.

- Czy ty nigdy nie robisz sobie wolnego dnia, Jake?

Jake uniósł głowę i podziękował uśmiechem za kawę, którą Jackie Kendall podsunęła mu przez szerokość biurka. Referentka do spraw młodocianych, filigranowa, w dżinsach i sportowej koszulce, sama wyglądała na młodocianą. Rude włosy tworzyły na jej głowie kędzierzawą szopę, nie poddającą się żadnym próbom ujarznienia. Ale jej wygląd był zwodniczy. W razie potrzeby, częściej w przypadku młodocianych, Jackie nie miała zwyczaju się patyczkować.

- Dziękuję. - Spróbowałszy kawy, Jake się skrzywił, bo pochodziła z jego własnego parzenia sprzed paru godzin.

- Czy nikt poza mną nie parzy tutaj kawy? - mruknął.

Jackie usiadła podwijając pod siebie jedną nogę.

- W niedzielę parzysz ty jeden.

Jake stęknął, ale mimo wszystko wypił łyk.

- Mam pomysł. Michael przychodzi z tobą w każdą niedzielę, może on wzięłby na siebie parzenie.

Z lekkim uśmiechem Jake spojrzął za szklaną ściankę, gdzie Michael pożerał wzrokiem jakiś nowy materiał wychodzący z faksu.

- Nie liczyłbym na to zbyttnio, trzeba by go końmi odciągać od komputerów i faksów.

Jackie pokazała w uśmiechu zęby.

- Zauważyłam. Nie przepuści żadnego napływającego raportu. Nie widziałam nigdy bardziej entuzjastycznego kandydata na stróża prawa.

- Tak myślisz? - odparł Jake w przypływie ojcowskiej dumy, nie spuszczać czułego spojrzenia z syna.

- Tak myślę. Ma żywy wzór do naśladowania. Chciałabym to móc powiedzieć o większości młodocianych, z którymi mam do czynienia.

- Przyszłaś w sprawie tego chłopaka?

- Tak, Jamesa Moody'ego. Właśnie miałam rozkoszną półgodzinną rozmówkę z pastorem Jayem Moody'm.

- Więc to syn pastora? - Jake odchylił się w fotelu. - Nie skojarzyłem sobie. I jak to przyjął?

- Nie za dobrze. Gdyby nie fakt, że James haftuje w toalecie, jakby miał wypluć duszę, w ogóle by mi nie uwierzył.

Jake miał zdziwioną minę.

- Czy syn pastora nie powinien być w niedzielę rano w kościele?

- Tatulek myślał, że jest - odparła sucho. - Dopiero jak trochę ochłonał, przyznał, że James urywał się ostatnio kilka razy ze szkółki niedzielnej. Objechał go, mimo że James choruje, aż przykro patrzeć.

- Co zażył?

- Nie wiemy jeszcze na pewno. Dempsey znalazł w aucie parę kapsułek. Ręczna robota. To niewątpliwie spowodowało wymioty.

Jake poderwał się na nogi.

- Skąd oni to biorą, na miłość boską? Rozmawiałaś z nim? Jackie pokręciła głową.

- To by nic nie dało, Jake. W jego stanie? Ale wiadomo, że chodzi do gimnazjum miejskiego. Wrócimy do tego, jak tylko trochę wydobrzeje. - Wstała z fotela. - Sprawa może mieć reperkusje. Pastor nie omieszkął wyłuszczyć swego zdania. Uważa, że odpowiedzialni jesteśmy my, bo nie potrafimy udaremnić szczeniakom dostępu do tego świństwa. Kazał ci przekazać ostrzeżenie.

Jake czekał nie spuszczać z niej oka.

- Zapowiedział, że się nie zawaha posłużyć amboną. Pouczy parafian, że jeśli nie unieszkodliwimy ludzi, którzy to

rozprowadzają, to powinni się zastanowić, czy hrabstwo nie potrzebuje nowego szeryfa.

- Chcę z tobą pomówić, Michaelu.

- Tak jest, pani Rachel.

Teraz się dowie! Michael przycisnął do brzucha torbę z ekwipunkiem sportowym i posłał Rachel spieszne, trwożne spojrzenie. Dostanie jak amen w pacierzu kurczów żołądka, zanim dojadą do domu.

Nie odrywał wzroku od szyby przed sobą, starając się nie zdradzić swoich myśli najmniejszym drgnieniem twarzy. Kiedy ruszyli spod szkoły, pomachało mu paru chłopców, z którymi się zaprzyjaźnił, ale nie zauważył tego. Gryzł się już drugi dzień tym, co zasłyszał z kłótni tatuścia z panią Rachel, ale nie miał pojęcia, jakie mogą z tego wyciągnąć wnioski. Jedynym, co mu przychodziło do głowy, było to, że mogliby go umieścić w jakiejś rodzinie zastępczej, nie wydawało mu się jednak, żeby tatuś się na to zdobył. Co do pani Rachel, inna sprawa. Twarda z niej babka i może go mieć tak dosyć... Nie zdawał sobie sprawy, jak cierpi z jego powodu, dopóki nie usłyszał w sobotę wieczorem jej słów.

Przyłapał się na tym, że umyka mu teraz to, co pani Rachel mówi. Wziął się w garść.

- ..czasami nawet dorośli dają się ponieść i mówią rzeczy, których nie myślą.

Idiota z niego, że przegapił, co przed chwilą powiedziała, zganił się wpatrzony w czerwone światło. Fakt, że nie ma powodu, żeby ci ludzie go potrzebowali w swoim życiu. Zwłaszcza pani Rachel. Każdy kretyn by się dawno połapał. Tłumaczy go jedynie zaślepienie szczęściem, że będzie miał

prawdziwych rodziców. I upojenie tymi wszystkimi luksusami, w jakie ci ludzie opływają.

- Michaelu, słuchasz?
- Tak jest, pani Rachel.

Rachel nie odrywała wzroku od drogi, bo ruch był zawsze duży po zakończeniu szkoły.

- Więc pomyślałam, że jeślibyś się zgodził, moglibyśmy zacząć wszystko od początku - powiedziała. - Wymazać to, co było, i rozpocząć nową kartę.

- C-co?

Nie wierzył własnym uszom. Czy to znaczy, że zostanie? Pani Rachel rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Chciałam powiedzieć, że żałuję tego, co usłyszałeś w sobotę. Naprawdę kłóciliśmy się z Jake'em nie o ciebie, Michaelu.

- Mówiła pani, że o mnie.

- Wiem. Żałuję, że to powiedziałam. Przemyślałam sprawę i rozumiem, że się myliłam. Mam wielki żal do Jake'a. Zranił mnie do głębi. Chyba to pojmujesz, prawda? Zranił mnie nawiązując romans z inną kobietą... z twoją matką, kiedy... kiedy nasze małżeństwo przechodziło kryzys.

- Zażąda pani rozwodu?

Wciągnęła szybko oddech.

- To już sprawa między mną a Jake'em. Ciebie to nie dotyczy, Michaelu.

Michael miał wątpliwości, czy ona w to rzeczywiście wierzy. Jeśli pani Rachel rzuci tatusia, będzie to koniec ich szczęścia rodzinnego. Koniec wszystkich jego, Michaela, nadziei i marzeń. Czy tatuś będzie chciał na niego jeszcze patrzeć, jeśli ona odejdzie z jego powodu?

- Michaelu? - Zatrzymawszy się pod ostatnimi czer-



wonymi światłami przed ich przecznicą, popatrzyła na niego.  
- Myślisz, że moglibyśmy zacząć wszystko od początku? Puścić w niepamięć to, co usłyszałeś, i spróbować żyć w przyjaźni?

- Tak, pani Rachel.

Kiwnął głową i rozluźniając dłonie, którymi ścisnął torbę z ekwipunkiem, zdobył się na uśmiech. Jak dotąd nic nieodwołalnego nie zaszło. Jeśli pani Rachel chce z nim żyć w przyjaźni, to jemu w to graj. Ale gdyby jej powiedział, czego naprawdę pragnie, wyskoczyłaby pewnie ze skóry. Wjechali właśnie na podjazd i Michael omiótł wzrokiem dom. Wydał ciche westchnienie. Czego by naprawdę chciał, to żeby pani Rachel była jego matką.

# Milczenie nocy

## 8

W poniedziałek rano czekała na Jake'a w biurze wiadomość od Ricka Streetera z brygady antynarkotykowej w Miami. Według Ricka poszlaki co do powstania wielkiego punktu przerzutu gdzieś na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej przemieniły się w pewność. Wobec tego z Miami przybędzie do Tidewater grupa robocza i zarówno urząd szeryfa, jak policja miejska powinny być przygotowane do współdziałania.

- Tego nam tylko brakowało - mruknął Frank Cordoba, przeglądając notatki poczynione przez Jake'a podczas rozmowy telefonicznej z Rickiem. - Po hrabstwie zaczną się rozbijać agenci federalni. Gdyby nam przekazali akcję, opracowalibyśmy jakiś sensowny plan. Znamy teren, oni nie.

- Obaj dobrze wiemy, że to nie w ich stylu - odparł Jake sadowiać się z kubkiem kawy w fotelu.

- Jak plan wypali, to oni będą zbierać laury, wiadomo. Nam, miejscowym, rzuci się na otarcie łez grzecznościowe podziękowanie bez względu na to, jak istotną rolę odegramy. Znasz to na pamięć, Jake. Byłeś jednym z nich.

Jake zaśmiał się melancholijnie.

- Nie przypominaj mi tego. - Wpatrzył się z namysłem w wielką mapę hrabstwa, wiszącą na ścianie za plecami Franka. - Mamy i my parę możliwości działania - powiedział po chwili.

- Mianowicie? - zainteresował się Frank.

- Popatrz. - Jake wstał, podszedł do mapy. - Wiemy, że narkotyki przenikają jakąś drogą na nasz teren. Jak dotąd pojawiały się prawie wyłącznie w rękach młodocianych. Tutaj - wskazał gimnazjum - tutaj - wskazał drugą szkołę - i tutaj. - Ostatnim miejscem była „Szopa”, bar samoobsługowy odwiedzany głównie przez nastolatków. - Dlaczego tak się dzieje, Frank? Dlaczego nie mieliśmy ostatnio poważniejszych incydentów z dorosłymi? Czy to przypadek, czy coś się za tym kryje? - Odłożył linijkę, którą wskazywał punkty newralgiczne. - Oddelegujemy paru ludzi, żeby mieli oko na obie szkoły. Aha, i zadzwoń do Jackie. Powiedz jej, że od tej chwili chcę osobiście rozmawiać z każdym młodocianym, którego podejrzewa o zażywanie czegokolwiek. - Wrócił za biurko. - Co z tym synalkiem pastora Moody'ego?

- Wątpię, czy coś sensownego od niego wyciągniemy. Towar pochodził od kolegi kolegi kolegi. Nim przesłuchaliśmy tych wszystkich koleśków, było w tym tyle wiadomości z drugiej i trzeciej ręki, że sami już nie wiemy, co jest prawdą, a co fikcją. Można by uznać, że szczeniaki po prostu kręcą, ale jakoś nie wydaje mi się to takie proste. Myślę, że ten, kto dostarcza, nie ma stałej siatki.

- Ma czy nie ma, ale niebezpieczny towar trafia w ręce dzieciaków. Jeśli dobrze odczytałem wczorajsze kazanie naszego przyjaciela Moody'ego, nie możemy się z jego strony spodziewać współdziałania. Bardziej mu zależy na wykazaniu naszej nieudolności niż na ukręceniu karku sprawie.

- Tak jak ja to widzę - powiedział powoli Frank wstając z miejsca - sytuacja ma także swoje dobre strony.

- No-o? Interesujące.

- To proste. W Tidewater działają dwie siły pilnujące porządku: miasto i hrabstwo. Na ciebie jako szeryfa spada odpowiedzialność za hrabstwo. Ale znacznie więcej narkotyków pojawia się w obrębie miasta, a to rzutuje na twojego rywala. I jakkolwiek Gonzales będzie się starał zwalić wszystko na ciebie, nie może z tego wyjść obronną ręką.

Zostawszy sam, Jake zaczął na nowo studiować mapę hrabstwa Kinard. Był napięty i rozgoryczony. Tym, co może ostatecznie przesądzić o jego klęsce, nie są nadchodzące wybory ani nawet napływ narkotyków na jego teren. Sprawa ma głębsze korzenie, psychologiczne. Poradziłby sobie łatwiej z narastającymi lawinowo problemami hrabstwa, gdyby wszystko układało się pomyślnie między nim a Rachel. Czy ją utraci, jeśli nie uda mu się odnaleźć Scottiego?

Gdzieś w budynku brzęknął dzwonek kuchenki mikrofalowej i zaraz dotarł do Jake'a zapach jedzenia. Pora lunchu. Nie był specjalnie głodny, ale czuł potrzebę wyrwania się na chwilę z biura.

Chowając pod klucz materiały z biurka, zatrzymał wzrok na telefonie. Czego by naprawdę pragnął, to pójść do domu i zjeść lunch z Rachel. Nie, pójść do domu i kochać się z nią zamiast lunchu. Mógłby... Sięgnął po słuchawkę, kiedy telefon się odezwał. Poderwał słuchawkę i burknął swoje nazwisko.

- Jake? Jesteś zajęty. Przepraszam. Tu Rachel.

- Nie, wcale nie. - Opadł z powrotem na fotel, obrócił się do okna. Twarz mu się rozpogodziła, napięcie uleciało.

- Cześć, kochanie. Właśnie o tobie myślałem.

- Ta-ak? Nie chcę ci zawracać głowy...

- Nigdy mi nie zawracasz głowy, Rachel. Zawsze mam czas dla żony.

- Nie zajmę ci go dużo. Chcę...

- Jak tam dzisiaj sprawy w szpitalu? Trzymasz pewnie ster?

- Jake...

- Jest trochę czarnego szpitalnego humoru, kochanie? - Zarechotał. Zmrużył oczy, nie mogąc zdecydować, czy na dworze mży, czy to tylko brudne szyby. - Jadłaś lunch?

- Nie, ale...

- To może zjemy razem? Moglibyśmy podjechać do Santiniego. Dawno tam nie byliśmy.

- Nie sądzę, Jake.

- Campbell zostawia ci chyba czas na lunch?

Odwrócił się do okna. Na jego twarzy malowało się znów napięcie.

- Jake...

Słyszając w jej głosie zniecierpliwienie, skłął się w duchu. Przycinki pod adresem Campbella na pewno nie pomogą jej skłonić, żeby z nim gdziekolwiek poszła. Tłumiąc przypływ zazdrości, od którego palce zacisnęły mu się mocniej na słuchawce, powiedział cicho:

- Przepraszam, kochanie. Mam cholerny dzień. Utrzymuje mnie w formie tylko fantazjowanie o mojej pięknej żonie.

Zaległa chwila ciszy, po czym Rachel zachichotała.

- Żarty ci w głowie?

- A pewnie. - Jake przymknął oczy, delektując się rozbawieniem Rachel. Nieświadomie potarł obrączką o udo. - Jeżeli nie możesz wyjść ze mną na lunch, to czym ci mogę służyć?

- Michael dzwonił przed chwilą ze szkoły. Zapomniał rano powiedzieć, że zwalniają ich dzisiaj wcześniej. Nie mogę

po niego pojechać, więc pomyślałam, że może podwiózłby go jakiś radiowóz. Chyba że ty możesz się po niego wyrwać?

- Nie ma sprawy. - Jake wstał z fotela. - Przynajmniej nie będę musiał sam jeść. Przekąsimy coś w „Szopie”, a potem go podrzucę do domu.

- Dziękuję. Powiedz mu, że wrócę jak zwykle o wpół do czwartej.

- Jasne.

- No, to na razie.

Posłał jej na odległość pocałunek.

- Na razie, najdroższa.

Rachel odłożyła słuchawkę, dziwnie poruszona i podniecona. Zawsze tak reagowała na głos Jake'a, kiedy używał tego głębokiego, intymnego tonu. Działo to na nią jak pieśczoła. Skrzyżowała ręce, zacisnęła dłonie na ramionach.

- Co tam, piękna pani?

- A, Ron. Dzień dobry.

Ron posłał jej uśmiech, w którym było coś porozumiewawczego.

Wprawiało ją to zawsze w zakłopotanie. Przebiegł wzrokiem po jej schludnym biurku, po dobrze zagospodarowanym warsztacie pracy.

- Widzę, że się wspaniale urządziłaś.

- Nie sądz moich talentów po pozorach. Gdybyś zobaczył szufladę ze sprawami do załatwienia...

Zbliżył się, żeby jej zajrzeć przez ramię. Chcąc uniknąć z nim kontaktu fizycznego, wcisnęła się w kąt między biurkiem a półką.

- Która to?

- Zamknięta - odparła.

Sięgnęła do szuflady, którą tarasował ciałem, tak że musiał się wycofać z krępującej bliskości.

- Nie wątpię, że ją rozładujesz ze zwykłą energią. - Wyprostował się swobodnie koło jej biurka, skrzyżował nogi w kostkach. - Helen Falco nie może się ciebie nachwalić.

- A-a! To ładnie z jej strony. - Uśmiechnęła się z zadumą. - Były chwile, w których żałowałam, że nie pozostałam wolontariuszką.

- Nie waż się o tym myśleć. - Pochylił się, poklepał ją po ręce. - To był dla nas szczęśliwy dzień, kiedy się zdecydowałeś wziąć prawdziwą pracę. - Wyprostował się energicznie. - Jadłeś już lunch?

- Nie. Miałam zamiar nadgonić trochę zaległości w czasie przerwy obiadowej. Jestem naprawdę zavalona robotą. Przyniosłam sobie jogurt i jabłko. To mi wystarczy.

- Wskoczmy tylko do kafeterii. Nie zajmie ci to wiele więcej czasu. - Uniósł jedną brew. - Sama praca bez wytchnienia. .. Dalszy ciąg znasz.

- Nie mogę, Ron.

Rzuciła okiem na stos blankietów ubezpieczeniowych.

- Więc potraktuj to jako lunch roboczy - powiedział biorąc ją za łokieć i zmuszając do wstania. - Chcę z tobą omówić pewną sprawę.

Sięgnęła po torebkę.

- Pewnie kilka minut nie zrobi wielkiej różnicy.

- Na pewno nie.

Ujął ją w pasie i nie cofnął dłoni nawet, kiedy już czekali na windę. Rachel, skępowana, nie spuszczała oka z przycisku. W końcu, korzystając, że winda nie nadjeżdża, wyswobodziła się i przyduсила niecierpliwie przycisk.

- Okropnie długo czeka się czasem na tę windę.

- Wyglądasz naprawdę apetycznie w tej różowej garsonce.

Apetycznie! Rachel poczuła, jak się czerwieni po koniuszki włosów. Serce zadudniło jej ostrzegawczo, ale nim zdecydowała, co robić, rozległ się dzwonek i otworzyły się przed nimi drzwi windy. Ujawszy ją znów w pasie, Ron wprowadził ją do środka.

W kafeterii było pełno ludzi, jak zwykle o tej porze. Rachel wzięła sałatkę z bułką i po krótkiej utarczce z Ronem, kto zapłaci - którą on oczywiście wygrał - przeszła za nim między stolikami do jedynej wolnej łoży.

- Co chciałeś ze mną omówić, Ron? - zapytała, gdy tylko usiedli.

Odchylił się na siedzeniu i zaczął jej się w milczeniu przypatrywać. Przeciagało się to tak, że poczuła, jak policzki nabiegają jej znowu krwią. Co on sobie, u licha, wyobraża? Podejrzenia Jake'a wydały jej się nagle mniej absurdalne. Rozłamała kruchą bułkę, ale dłonie miała niezbyt pewne, tak że wkoło posypały się okruchy - do sałatki, na stół, na jej kolana.

- No, popatrz tylko! - wykrzyknęła i zaczęła je niezręcznie zgarniać.

Dobry Boże, czy tak się zaczynają romanse? Jeśli tak, to ona się do tego nie nadaje. Jest zbyt... zbyt...

- Patrzą i podoba mi się to, co widzę.

Posłała mu paniczne spojrzenie.

- Ron, uważam, że...

Sięgnął do jej ręki.

- Posuwam się za szybko, tak? - Ścisnął jej palce. - Nie ma sprawy, Rachel. - Wziął serwetkę, rozpostarł na kolanach. - Wobec tego przejdźmy do interesów. Zgodziłabyś się przyjść na moją zastępczynię?



Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Uśmiechnął się szeroko.

- Co na to powiesz?

- Jestem... jestem zaskoczona.

- Co w tym zaskakującego, że chcę cię wziąć do siebie, zanim ktoś inny cię podkupi? Marnujesz się na Oddziale Nagłych Wypadków. Usprawniłaś robotę papierkową, skróciłaś radykalnie czas oczekiwania na ubezpieczenia, oczarowałaś intendenta tak, że zgodził się odnowić i wyposażyć dodatkowo oddział, pełnisz rolę dyżurnego psychologa, kiedy przywożą rozmaitych pokreślonych pacjentów. Możesz to nazwać samolubstwem, ale ja, kiedy odkrywam osobę o takich talentach, chcę ją widzieć w miejscu, w którym szpital będzie miał z niej największy pożytek.

Rachel siedziała ze wzrokiem utkwionym w nie ruszoną sałatkę. Zrobiło jej się ciepło na sercu. Minęło ledwo kilka tygodni, odkąd podjęła prawdziwą pracę, i oto ma dowód, że sobie radzi, że jest dobra. Że stać ją na coś więcej niż prowadzenie domu i zaspokajanie zachcianek męża.

Niewiernego męża.

- I co ty na to?

Podniosła wzrok.

- Bardzo mi to pochlebia, Ron. Dziękuję. Ale nie jestem pewna, czy twoje oczekiwania są uzasadnione. W dyrekcji mogę się okazać wcale nie taka dobra jak na Oddziale Wypadków.

- Będziesz wspaniała, wierz mi. Będziesz niezastąpiona. Stworzymy wystrzałowy team.

Roześmiała się, potrząsnęła głową.

- Kiedy mnie się podoba na Oddziale Nagłych Wypadków. Odpowiada mi chyba... dramatyzm. Nigdy nie wia-

domo, kogo przywiozą. Nie wiadomo, co się za chwilę wydarzy.

- Zapłacę ci dobrze.

Wzruszyła ramionami.

- Nie o to chodzi.

Wciąż z uśmiechem na twarzy popatrzyła przez ramię Rona na nowo przybyłych. Od ich przyścia liczba klientów się podwoiła, kolejka czekających sięgała prawie drzwi. Przesunęła wzrokiem po twarzach i nagle serce jej podskoczyło. Spod wejścia obserwował ją Jake. Stał jak wykuty z kamienia, nie zważając na przepychających się ludzi. Ktoś coś do niego mówił, ale on patrzył z nieruchomą twarzą, nie reagując. Po paru chwilach odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Rachel pracowała długo. Przerwała dopiero, kiedy wypełniła wszystkie formularze ubezpieczeniowe i uaktualniła listę pacjentów skierowanych na dalsze leczenie. Nie w jej stylu było dopuszczanie do zaległości, więc kiedy przyszła jej zmienniczka, Rachel przeniosła się do innego biurka i dokończyła pracę.

W aucie zerknęła na zegarek i stwierdziła, że za późno na gotowanie obiadu i trzeba kupić coś gotowego. Zajęło jej to dalsze pół godziny. Poczwszy zapach pieczonych kurcząt, uświadomiła sobie, jaka jest głodna. Podczas lunchu ledwo coś przełknęła.

Ten nieszczęsny lunch! Nie ma powodu czuć się winna, powtórzyła sobie ruszając z parkingu. Jadła lunch z mężczyzną, fakt, ale była to sprawa służbowa. Jake zareagował przesadnie.

Była przez te osiemnaście lat małżeństwa taką kurą domową, że teraz, kiedy zaczęła mieć własne życie, Jake oce-

nia wszystko z perspektywy dawnych przyzwyczajień. Na przypomnienie wzroku, jakim ją zmierzył spod tych drzwi, przeszedł ją zimny dreszcz. Nigdy dotąd tak na nią nie patrzył.

Wziąwszy torebkę i pudełko z kurczętami, otworzyła drzwiczki samochodu. W tej chwili zza domu wynurzył się Michael, a za nim nieznajomy chłopiec. Zatrzasnąwszy drzwiczki, czekała ze zmarszczonym czołem, aż podejda.

- Dobry wieczór, pani Rachel. Przepraszam za to dzisiejsze nieporozumienie. Tato mnie zabrał ze szkoły. - Rzucił okiem na swego towarzysza. - Właściwie nas. To jest Todd Stewart.

- Dobry wieczór pani.

Michael i jego kolega byli w tym samym wieku i tego samego wzrostu, ale na tym podobieństwo się kończyło. Todd Stewart miał w jednym uchu kolczyk, fryzurę w stylu punk. Buty z wysoką cholewą robiły wrażenie karykaturalnie wielkich przy workowatych spodniach. Rachel zamrużyła na widok zdumiewającego materiału o czarnych, neonowo pomarańczowych i zielonych wzorach na białym tle. Czarna koszulka z podobizną Sida Viciousa nie odbiegała właściwie od normy. Starając się ukryć konsternację, Rachel przyjęła rękę, którą Todd do niej wyciągnął.

- Cześć, Todd.

Dobry Boże, ten kolczyk to czaszka z piszczelami!

- Pokazywałem Toddowi łódź - poinformował Michael.

- Rany, bracie, jest odjazdowa. Odjazdowa, nie ma co.

- T-tak. - Rachel odchrząknęła. - Chodzisz z Michałem do szkoły, Todd?

- No! Chodziłem do różnych szkół, ale teraz chodzę tutaj.

Rachel spojrzała szybko na Michaela, potem znowu na Todda.

- Do różnych? - powtórzyła niepewnie.

Wzruszył ramionami.

- Z przydziału stanowego.

A więc jest na opiece społecznej. Dopóki nie zaczęła pracować w szpitalu, Rachel miała bardzo słabe pojęcie, jak na Florydzie funkcjonuje system opieki nad dziećmi bez rodzin. Spojrzała ponownie na Micheala. Własne przeżycia uczuliły go niewątpliwie na los chłopców takich jak Todd.

Przed koniecznością prowadzenia dalszej rozmowy uchronił ją odgłos otwieranych drzwi.

- Cześć, tato. - Michael posłał szeroki uśmiech Jake'owi, który się ukazał w drzwiach frontowych. - Sprawdzaliśmy łódź, zrobiliśmy wszystko, jak kazałeś.

- Świetnie. To teraz idźcie obaj z Toddem rozpalić grill. Upieczemy na ruszcie kurczęta.

- To zbyt cenne - wtrąciła Rachel pokazując pudełko.  
- Kupiłam kurczęta z rożna.

- Starczy dla dodatkowej osoby? - upewnił się Michael.

- Starczy dla całej armii. Wyjmij papierowe talerze i nakryjcie na dworze w patiu.

- To wspaniale. Chodź, Todd. Umieram z głodu.

- Słucham, Jake. Co masz do powiedzenia?

Rachel postawiła z impetem pudełko z kurczętami na kon-tuarze, a swoją torebkę rzuciła w kierunku krzesła. Torebka wylądowała na podłodze, ale ani Rachel, ani Jake nie zwrócili na to uwagi. Jake, z napiętą twarzą, patrzył przez okno na patio, gdzie Michael i Todd zabierali się zgodnie z instrukcją do nakrywania.

- Poczekam z tym.

- Nie poczekasz.

Rachel rozerwała pudełko i włożyła kurczęta do wielkiej plastikowej miski. Odwracając się, omal nie wpadła na Jake'a, który sięgał nad jej głową po szklanki.

- Przyszedłeś na inspekcję? - oskarżyła go.

Patrząc jej w oczy, opuścił powoli ramię.

- Pomówimy o tym później, Rachel - powiedział wymawiając dobitnie każde słowo.

- Nie pozwolę się traktować jak... jak krnąbrna smarkula. Wyobrażasz sobie, jak się czułam zobaczywszy cię blokującego wejście i gapiącego się na mnie, jakbyś chciał mi wzrokiem wyborować dziurę w piersi?

- Nie, nie wyobrażam sobie, jak się czułaś - odparł z gryzącym sarkazmem. - No, jak? Jak winna? Przyłapaną na gorącym uczynku?

- Na jakim uczynku? Jedzenia lunchu?

- Na zjedzenie którego ze mną nie miałaś czasu!

Drzwi od patia się otworzyły i ukazała się głowa Michaela.

- Stół nakryty, tato. Gdzie są kurczaki?

- Zaraz będą, Mike.

Jake wyciągnął z impetem szufladę i zaczął w niej grzebać.

- Czego szukasz? - spytała Rachel przez zaciśnięte zęby, starając się zachować spokój.

- Szczypców - odburknął tłumionym głosem. Niebezpiecznie tłumionym.

- Tu są. - Podała mu, ale nie przestał dalej grzebać w szufladzie. - Czego jeszcze szukasz? - spytała.

- Plastikowych widelców.

- Są tutaj - odparła.

- Nic nigdy nie jest w tym domu tam, gdzie powinno być - warknął.

- Wszystko jest dokładnie tam, gdzie powinno być - od-

paliła z miejsca. - Zresztą skąd ty możesz wiedzieć, gdzie co powinno być? Nigdy nie interesowałeś się kuchnią.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko to, że nigdy dotąd nie troszczyłeś się zbytnio o kuchnię.

- A, więc teraz jestem zatwardziałym męskim szowinistą, tak?

- Uderzyć w stół...

Łypnął na nią groźnie.

- Zresztą widelce są niepotrzebne. Kupiłam kurczaki i kurzydę w kolbach.

- A ja zrobiłem fasolkę po bretońsku.

Otworzyła usta.

- Michael ma gościa. Pierwszego gościa. Nie raczyłaś zadzwonić, więc nie wiedziałem, czy się w ogóle zjawisz.

Drzwi od patia otworzyły się znowu.

- Możemy coś pomóc? Umieramy z głodu - rozległ się głos Michaela.

- Już idziemy - odkrzyknął Jake.

Zwarł się wzrokiem z gniewnymi oczami Rachel, która stała podparta pod boki.

- Wiesz dobrze, że jeszcze nigdy, nigdy nie zdarzyło mi się zaniedbać obowiązków domowych.

- Z czego absolutnie nic nie wynika - odrzucił wściekle.

- Robisz wiele rzeczy, których nigdy nie robiłaś.

- Zapomnienie o obiedzie dla rodziny do nich nie należy.

- Myślałem, że może zrezygnujesz z obiadu po takim upojnym lunchu.

- Co to ma znaczyć?

- Nie mogłaś się oderwać od pracy, żeby zjeść ze mną, ale dla Campbella znalazłaś raptem czas. Co miałem myśleć?

- Co miałeś myśleć? Na pewno nie to, że lunch z szefem to cokolwiek więcej jak sprawy służbowe.

Doszli do drzwi. Rachel, balansując kurczętami jedną ręką, wyciągnęła drugą do klamki, ale Jake ją zatrzymał.

- A czemuż by nie, Rachel? Czy dałaś mi ostatnio najmniejszy dowód, że jeszcze ci zależy na naszym małżeństwie? Na mnie? Zanim Campbell przyjął cię do tej pracy, byłaś jak nieżywa, martwa. Pomyślałaś, jak ja się czuję, kiedy cię teraz widzę roześmianą z innym mężczyzną, podczas gdy dla mnie nie masz jednego uśmiechu?

Rachel patrzyła mu bez słowa w oczy. Co może odpowiedzieć? Wiele z tego, co Jake mówi, jest prawdą. Sama chwilami nie wie, czy pozostało jeszcze między nimi coś do ocalenia.

Ich spojrzenia przyciągnął ruch za drzwiami. Znowu Michael. Rachel westchnęła.

- Masz rację, Jake. Nie czas teraz na dyskusje. Michael z kolegą umierają z głodu. Pomówimy później.

Jeżeli napięte milczenie przy stole zwróciło uwagę Michaela i Todda, to żaden tego nie okazał. Co do Todda, to posiłki w atmosferze dalekiej od wesołości nie były dla niego zapewne niczym nowym. Bawił ich przez cały czas barwnymi wspomnieniami o długim łańcuszku rodzin zastępczych, u których go umieszczano. Traktowanie go przez stanowe służby socjalne oburzyło Rachel. Z jego beznamietnej opowieści wynikało, że przerzucano go z domu do domu jak niechcianego szczeniaka. Nie wydawało jej się, żeby miał szczególnie buntowniczą czy niepoprawną naturę. Istniały niewątpliwie sposoby zapewnienia mu bardziej stabilnej opieki. Mruknęła kilka współczujących słów.

- Nikt tu nie jest winny, pani Rachel - odparł zwracając się

do niej tak jak Michael. Chwilę się zastanawiał kończąc obgryzać kolbę kukurydzy. - Może jednak ktoś jest winny, tylko nie wiem, kto. Co jakiś czas wraca moja matka i wtedy mieszkam z nią. Ale nigdy nie zostaje dłużej jak parę miesięcy.

- Twoja matka? A gdzie jest teraz?

Wzruszył ramionami, wziął następną nóżkę kurczęcia.

- Czy ja wiem. Pewnie w Las Vegas. Zwinęła się jakieś trzy miesiące temu.

Rachel posłała Jake'owi nie rozumiejące spojrzenie.

- I nie pisze? Nie dzwoni do ciebie?

- Nie. - Todd się roześmiał. - Woli chyba o mnie nie pamiętać, kiedy podróżuje.

Sposób, w jaki to powiedział, sugerował, że podróże jego matki nie przypominają w niczym luksusowych wycieczek. Jej bez troska jest szokująca. Zbrodnicza. Okrutna. Jak może matka zostawić tak własne dziecko? Jest alkoholiką czy narkomanką? Lustrując ponownie okropne uczesanie i makabryczny kolczyk Todda, Rachel się zastanowiła, co chce on nimi wyrazić. Jaka przyszłość ma przed sobą chłopak pozbawiony całkowicie opieki rodzicielskiej?

Jej wzrok powędrował ku huśtawce Scottiego w tyle ogrodu, pustej i nieruchomej w blednym świetle dnia, i ból ścisnął jej serce.

„Jakież to Bóg daje dziecko takiej nieczułej kobiecie, a zabiera mnie?”

W domu rozległ się dzwonek telefonu.

- Ja przyjmę - powiedziała Rachel, rada, że może uciec.

Była to służbowa sprawa do Jake'a. Pomachała do niego przez rozsuwane drzwi, a sama przeszła do kuchni zaparzyć świeżej kawy. Nie zwracała uwagi, co mówi, dopóki nie usłyszała, że wymienia lutową datę zniknięcia Scottiego. Serce



zaczęło jej walić. Odwróciła się od kontuaru zapominając o kawie.

Pytania Jake'a były krótkie i suche, nic nie mówiące. Czyżby nie chciał, żeby ona się czegoś domyśliła?

- Czy w faksie jest zdjęcie? - Zapisał coś śpiesznie na bloczku przy telefonie. - A kolor oczu? - Po chwili rzucił długopis na stolik. Ściskając nasadę nosa, stał ze wzrokiem wbitym w stopy. - Ta-ak. - Nowa pauza. - Tak, wiem. - Dalsza chwila. - Jasne, jasne.

Drzwi od patia się otworzyły i wśród śmiechu i żartobliwego przepychania wtargnęli Michael i Todd, każdy z naręczem naczyń po zaimprovizowanym obiedzie.

- Hej, cicho - ostrzegł Michael widząc Jake'a ze słuchawką przy uchu. - Tato rozmawia przez telefon. Pewnie sprawa służbowa.

Jake słuchał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Co jeszcze wie policja w Phoenix?

Michael, który miał właśnie wrzucić papierowe talerze do śmieci, podniósł wzrok na Jake'a, z baczny wyrazem twarzy.

- Co jest grane, bracie? - spytał Todd wyczuwając napięcie.

Powiódł wzrokiem od Jake'a do Michaela i Rachel, po czym z powrotem do Michaela.

- Nic takiego. Sprawa służbowa, jak przypuszczałem. - Michael popchnął Todda żartobliwie w kierunku holu. - Robi się późno, stary. Czas na ciebie. Nie zapominaj o godzinie policyjnej.

- Rany, muszę lecieć. - W połowie drogi do drzwi wyjściowych Todd się raptem zatrzymał. - Dziękuję za kurczęta i wszystko, pani Rachel. Cieszę się, że panią poznałem.

- Ja też się cieszę. Będiesz zawsze mile widziany.

Rachel posłała mu uśmiech i pomachała, choć czuła mdlące ściskanie w dołku, bo Jake zniżył głos, tak że przestała słyszeć, co mówi. Jej uszu doszła jakaś wzmianka o szpitalu. Ręce jej się trzęsły, kiedy sięgnęła po ścierkę.

Jake, z ponurym wyrazem twarzy, odłożył słuchawkę.

- Chodziło o Scottiego? - spytała Rachel.

Pograżony w myślach, Jake nie dosłyszał niepokoju w jej głosie.

- Nie.

- O jakieś zaginione dziecko?

- Przepraszam cię, Rachel. Nie powinienem był tutaj przyjmować tego telefonu. Sprawa nie dotyczy ciebie.

- Nie traktuj mnie jak dziewczynkę, której nie można powiedzieć brutalnej prawdy. Nie jestem głupia. Wiem, że to nie była zwykła sprawa. To miało coś wspólnego ze Scottiem. Wiem to. Żądam prawdy.

Jake westchnął ciężko.

- Nie chodziło o Scottiego. W każdym razie nie bezpośrednio. Dostaliśmy dzisiaj z Phoenix w Arizonie biuletyn o zaginionym dziecku. Opis pasował do Scottiego. Czekałem na odpowiedź od dyżurnego, czy to może być on.

- Mój Boże! - szepnęła Rachel siadając powoli.

- Rachel, Rachel... Okazało się, że to nie Scottie. - Jake przysunął sobie krzesło i usiadł przodem do niej. Ujął ją za rękę. Były zimne jak marmur. - Tamten chłopiec jest starszy, ma prawie osiem lat. Padł ofiarą rozgrywki między rodzicami. Ojciec przegrał proces o opiekę i porwał małego w Kalifornii. Wiózł go na wschód, kiedy ich zatrzymano.

Rachel kręciła głową.

- Nie, nie. Mówiłeś coś o szpitalu. Powiedziałaś: „Mało brakowało”. Chłopiec jest ranny?

Przyciągnął jej dłonie do piersi i jął je rozcierać, żeby tchnąć w nie trochę ciepła.

- Nie ranny, chory. Jest cukrzykiem, a ojciec nie pomyślał w porę o zastrzyku. Chłopiec jest w szpitalu, ale wyjdzie z tego.

- O!

- Ta sprawa zakończyła się szczęśliwie.

Tak, szczęśliwie. Szczęśliwa ta matka. Zawód, ból, rozpacz przetoczyły się przez nią nową falą. Rozpłakała się. Nieme łzy ciekły jej strugami po policzkach.

Jake przyglądał się bezsilnie. Czuł jej ból, jakby to był jego własny. Bo to jest jego ból. W tej jednej sprawie, utracie syna, stanowią jedność. Wstał z jękiem i pociągnął ją za sobą, oplótł ramionami.

Rachel, z dłońmi zaciśniętymi rozpaczliwie na jego piersi, łkała gorzko, z głębi duszy. Przeklinała fatum, które postawiło jakiegoś szaleńca na drodze Scottiego. Z twarzą ukrytą w koszuli Jake'a opłakiwała ukochanego synka i zżymała się na los, który jej go odebrał.

Jake szeptał jej w ucho słowa miłości i otuchy, szukając gorączkowo sposobu uśmierzenia jej bólu. Oboje zapomnieli gniewne oskarżenia, jakimi się obrzucali przed godziną. Rachel przywarła do niego, znajdując oparcie w jego sile.

- Już dobrze - wykrztusiła wreszcie.

Ale nie próbowała się uwolnić z jego objęć, dłonie trzymała wciąż zaciśnięte pod jego brodą. Jake gładził ją powoli, kojąco, po plecach.

- Na pewno?

Pociągnęła nosem, przytaknęła skinieniem głowy, ale się nie odsunęła. Jedna z jego dłoni znalazła drogę ku jej włosom, wsunęła się pod nie.

- Jak to dobrze czuć cię tak blisko. Tak powinno być zawsze, prawda?

O, tak! Powinno. Potarła policzek o jego koszulę. Pachniał mydłem, ciepłą męskością, zadymioną częścią biura.

- Przepraszam, że tak się rozkleiłam. To był taki zawód. Pierwszy nikły ślad i...

Jake trwał tak nieruchomo, że czuła bicie jego serca.

- Jake?

- Tak?

- To był pierwszy ślad, prawda?

- To nie był żaden ślad, kochanie. Zwykły biuletyn policyjny.

Wyswobodziła się z jego objęć.

- Ale wystarczająco ważny, żeby do ciebie zadzwonili, gdy tylko się okazało, że to nie Scottie.

Wypuścił wstrzymany oddech.

- Rachel...

- Który to już raz, Jake?

- Pierwszy. Nigdy nie natrafiłem na ślad, który by rokował. ..

- Obojętnie, co rokuje, Jake, chcę wiedzieć o każdym najdrobniejszym śladzie, który może prowadzić do mego syna.

- Zacisnęła pięści na biodrach. - Nie masz prawa ukrywać przede mną nic, co dotyczy Scottiego.

- Nic nie ukrywam, Rachel. Chcę ci tylko oszczędzić niepotrzebnego cierpienia. Patrz, do jakiego stanu się doprowadziłaś.

Ani Jake, ani Rachel nie usłyszeli, że do kuchni powrócił Michael.

- Ta wiadomość z Phoenix się nie potwierdziła, tato?

- Nie, Mike.

Rachel popatrzyła na nich z niedowierzaniem. Nawet Michael wie więcej od niej.

- Ten mały okazał się kimś ważnym?

Jake przeciągnął palcami po włosach, niezadowolony z pytania Michaela.

- Chodzi ci o to, czy się okazał poszukiwanym dzieckiem? Tak - dokończył na skinienie syna.

- Zwinął go jakiś policjant? - spytał Michael.

W każdej innej sytuacji użycie przez syna żargonu policyjnego rozbawiłoby Jake'a, ale w tej chwili w centrum jego uwagi znajdowała się Rachel.

- Tak, rozpoznał go jakiś czujny patrol drogówki.

- To szczęśliwie.

Błysk rozbawienia rozluźnił na krótką chwilę rysy Jake'a.

- Niech żyją dzielni chłopcy, co?

- Jasne, tato.

Jake rzucił okiem w stronę patia.

- Posprzątaście z Toddem po obiedzie?

- Tak jest.

- I wynieśliście worki ze śmieciami?

- Tak jest.

- To dobrze. - Posłał Rachel szybkie spojrzenie. - My z Rachel... mamy coś do omówienia, Mike. Nie przewietrzyłbyś się trochę?

- Nie ma sprawy, tato. Właśnie chciałem popływać w basenie. - Uśmiechnął się, ale oczy miał pełne niepokoju, jakby wyczuwał napięcie między nimi. - Niech pani się nic nie martwi, pani Rachel. Tato na pewno odnajdzie Scottiego.

Rachel skinęła głową, niezdolna wykrztusić słowa.

Michael wyszedł zasuważąc za sobą cicho drzwi.

# Milczenie nocy

## 9

- Nawet Michael wie więcej ode mnie - powiedziała zimno Rachel. - Jak możesz mnie tak traktować, Jake?

- Michael wie tylko to, co mu wpadnie w uszy w biurze - odparł Jake wsuwając ręce w kieszenie. - Jest jak gąbka. Chłonie wszystkie biuletyny policyjne. Interesuje się specjalnie sprawą Scottiego!

- Ja też się interesuję specjalnie sprawą Scottiego. Dlaczego Michael może wiedzieć, a ja nie?

Jake zmierzył ją szybkim spojrzeniem, po czym się odwrócił.

- Bo cię kocham i nie chcę, żebyś musiała znosić więcej niż to konieczne - szepnął namiętnie. - Co w tym złego?

- Wszystko - odparła spokojnie, bez emocji. - Niesłusznie robisz izolując mnie od poszukiwań Scottiego, a ja niesłusznie robię, że się na to godzę. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Musisz mi dać słowo, że odtąd będziesz mi wszystko mówił, Jake. Wszystko.

- D-dobrze - odrzekł po chwili wahania.

- Słowo, Jake?

- Niech to diabli! - Uderzył otwartą dłońią o kontuar.

- Powiedziałem, że dobrze. - Z zaciętą twarzą sięgnął po notatki z rozmowy telefonicznej, schował je do kieszeni koszuli. - Muszę wrócić do biura.

Zmarszczyła czoło.

- Po co? Stało się coś?

- Nie chodzi o Scottiego. - Popatrzył jej prosto w oczy spojrzeniem, w którym było wyzwanie. - Jesteś mi w stanie uwierzyć?

Kiwnęła z ociąganiem głową. Jake odwrócił się i wyszedł bez słowa.

Rachel, stojąc bez ruchu, słyszała, jak zatrząskuje drzwi. Jakie on ma prawo się na nią gniewać? To ona powinna na niego. I gniewa się. Nie żąda niczego absurdalnego. To on się zachowuje absurdalnie, rozstrzygając wszystko za nią. Żyjąc w duchu, powiodła wzrokiem po funkcjonalnie urządzonej kuchni. Cóż to za współczucie, jeśli ją ciągle traktuje jak dziewczynkę? I dlaczego to robi? Co takiego każe mu w niej widzieć istotę zbyt kruchą, by stawić czoło twardym realiom życia? A może to ona sama, nie zdając sobie z tego sprawy, wysyła bezgłośnie sygnały, że potrzebuje opieki, chuchania? Jake ufa bardziej Michaelowi, czternastoletniemu chłopcu, niż jej, żonie od osiemnastu lat!

Stała wpatrzona nie widzącymi oczyma we wzór na tapecie. Boże, jak on musiał drżeć, kiedy pojawił się Michael. Myślał pewnie, że ten żywy dowód jego romansu w Miami przyprawi ją o utratę zmysłów. Ale się mylił. Wyciągnęła rękę, żeby zgasić światło nad zlewem. Owszem, było to bolesne. Dotkliwie upokarzające. Ale czyż nie przyjęła tego z podniesionym czołem? Czego więcej, u diabła, mógł od niej oczekiwać?

- Pani Rachel?

Zamrugnęła, obróciła się gwałtownie. W drzwiach stał Mi-

Michael i przyglądał jej się z niepokojem. Nie słyszała, kiedy wszedł. Był mokry z basenu, pierś falowała mu po wysiłku młodzieńczą męskością. Na jego długich, szczupłych kończynach połykiwały kropelki wody.

- Co, Michaelu?
- Nic pani nie jest, pani Rachel?
- Dlaczego miałyby mi coś być? Czuję się świetnie.

Potarła palcami skronie. Nawet Michael uważa ją za kruchy kwiat.

- Tato musiał wrócić do biura?
- Tak. W związku z tym telefonem. Coś nie cierpiącego zwłoki.
- Ja poczekam na tatę.
- Tak, poczekaj.

Następnego dnia pani Rachel była nadal wzburzona. Michael to czuł. Zaniepokoiło go, że na niego nie czeka, kiedy skończył lekcje. Pani Rachel nigdy się nie spóźniała, była najbardziej niezawodną osobą, jaką spotkał w życiu. Stanowiło to jedną z rzeczy, które mu się w niej najbardziej podobały. Wiele mu się w niej podobało, ale nie sądził, żeby to zauważyła. Za bardzo była pochłonięta opłakiwaniem małego Scottiego i zatrutowaniem życia tatusiowi.

Zastanawiał się, dlaczego nie ma jej za złe, że jest taka dla tatusia. Może dlatego, że sam dobrze zna cierpienie. Utraciła synka i gryzie się, nie pojmując, jak to się stało i dlaczego. Wystarczający koszmar. A tu się dowiaduje, że mąż ją zdradził przed laty, i oto na progu jej domu, w mieście, gdzie wszyscy ją znają, zjawia się on, owoc zdrady, i ona musi być dla niego miła. I jest miła. Miła z dobroci serca, chociaż mogłaby być przysłowiową wredną macochą, gdyby chciała. Nie, pani Ra-



chel nie jest osobą, która by się potrafiła odgrywać na takim chłopcu jak on.

Tym bardziej zaniepokoiło go, że po niego nie przyjechała. Odczekawszy kwadrans, ruszył biegiem w stronę szpitala. Może zatrzymał ją jakiś nagły wypadek. Bo chyba o nim nie zapomniała. Zdarzało się to babci Dee, ale ona była stara i nigdy nie miała dobrej pamięci.

Wbiegając na parking, dostrzegł z daleka panią Rachel stojącą przy samochodzie. Nim zdążył zawołać, zobaczył, że nie jest sama.

Ron Campbell. Ten facet, u którego pracuje. Michael go znał, bo po tej kłótni, którą tatuś miał o niego z panią Rachel, wślizgnął się kiedyś do szpitala, żeby go zobaczyć. Facet był niby przystojny, ale tatuś najlepiej go określił. Jest w nim coś fałszywego. Za często się uśmiecha. Michael skrzywił się z niesmakiem. Babcia Dee zawsze go ostrzegała, żeby nie ufał ludziom, którzy się bez przerwy uśmiechają.

Podkradł się bliżej. Nie żeby szpiegować panią Rachel. Chciał tylko wy badać sytuację. Przekonać się, czy ten Campbell zachowuje się przyzwoicie w stosunku do jego przybranej matki. Nie zapomniał uwagi tatusia, że ten typ próbuje się dobierać do jego żony.

Podszedłszy bliżej, usłyszał głos pani Rachel:

- Nie mieści mi się w głowie, jak mogłam coś takiego zrobić. Nigdy nie zdarzyło mi się zatrzasać kluczyków w aucie. Czuję się jak ostatnia idiotka.

Campbell pochylił się, próbując wsunąć elastyczny pasek stalowy między szybę a ramię.

- Nic się nie martw, zaraz otworzymy drzwiczki. Szczęśliwie strażnik miał ten przyrząd. Podobno zdarza się to często na parkingu.

Rachel ścisnęła nerwowo torebkę.

- Bardzo ci jestem wdzięczna. Dzwoniłam do Jake'a. On ma zapasowe kluczyki, ale gdzieś go wezwali i nie wiadomo, kiedy wróci.

- To nieważne, załatwimy sprawę w parę sekund.

Campbell zaczynał się pocić, biedząc się bezskutecznie nad zamkiem. Rachel przyglądała się bezradnie. Mijały minuty.

- Może lepiej by było...

- Chwileczkę, chwileczkę. Zdaje się... A, niech to diabli! Już się zaczynało ruszać, ale coś się omsknęło...

Rachel przeczekała dwie następne nieudane próby.

- Ron, jest okropny upał - rzekła w końcu. - Zostawmy to. Wezwę ślusarza.

Campbell zaprzestał bezskutecznych wysiłków. Popatrzył na nią z szerokim uśmiechem.

- Może racja. Jeszcze zepsują zamek i Jake, zamiast mi być wdzięczny, oskarży mnie o złośliwą szkodę.

- Nie bądź śmieszny.

Campbell oparł swobodnie rękę o dach samochodu.

- Chętnie odwiozę cię do domu. Miałem właśnie zamiar skończyć na dzisiaj.

- Och, to niepotrzebne. Z pewnością...

- Cała przyjemność po mojej stronie. Moglibyśmy wstąpić do Kelly'ego, napić się czegoś. - Zaśmiał się cicho, porozumiewawczo. - Po całodziennym ślęczeniu nad raportem kwartalnym i teraz po tej historii z kluczykami zasługujesz na orzeźwiający martini. Oboje zasługujemy. Co ty na to?

- Muszę...

- Sama mówisz, że jest upał. - Siegnął po jej torebkę. - Chodź, Rachel, mój wóz stoi niedaleko.

Wziął ją pod ramię, zniżył palce tak, że się splotły z jej

palcami. W tym momencie wkroczył Michael wynurzając się zza kabiny obudowanego dżipa.

- Halo, pani Rachel.

Campbell puścił dłoń Rachel.

- O, Michael! - W jej własnych uszach zabrzmiało to nienaturalnie. Jakby była winna, pomyślała Rachel. - Jak się tu dostałeś?

- Przybiegłem. To tylko parę ulic.

Wzięła torebkę z rąk Rona.

- Nie znasz pana Campbella.

Michael posłał mu spojrzenie, które gdyby wyszło od dorosłego mężczyzny, byłoby jawnym wyzwaniem.

- Nie, pani Rachel.

- Ron Campbell. Syn Jake'a, Michael.

Campbell posłał mu czarujący uśmiech.

- Cześć, Mike.

Michael, bez uśmiechu, kiwnął sztywno głową.

- Dzień dobry panu.

Żaden nie wyciągnął ręki do uścisku. Zmieszanie Rachel się wzmogło.

- Mam problem, Michael. Zatrzasnęłam kluczyki w aucie, a Jake'a nie ma w biurze. Pan Campbell próbował otworzyć drzwiczki tym narzędziem, ale mu się nie udało. Wygląda...

- Ja mam kluczyki, pani Rachel.

- C-co?

Zmierzyła go zdziwionym spojrzeniem. Michael sięgnął do kieszeni i wyciągnął kółko z kilkoma kluczykami. Pomachał nimi w powietrzu.

- Kluczyki od domu, od łodzi i od obu aut. Tato mi je dał na wypadek jakiejś kryzysowej sytuacji. - Jego uśmiech był

przeznaczony dla Rachel i tylko dla Rachel. - To chyba jest kryzysowa sytuacja, prawda?

- No, chyba jest - odparła słabo Rachel.

Wsunąwszy się między Campbella a nią, Michael włożył kluczyk w zamek i szerokim ruchem otworzył drzwiczki. Stojący zbyt blisko Campbell uskoczył spieszenie.

- Przezornie ze strony taty, że myśli o takich rzeczach - zauważył Michael.

Usunąwszy się, wpuścił panią Rachel za kierownicę. Poczekał, aż zapali silnik, nim zatrzasnął za nią drzwiczki. Schowawszy zapasowe kluczyki, popatrzył na jej szefa, nie zdejmując ręki z klamki.

- No, to kryzys zażegnany, proszę pana.

Campbell wzruszył ramionami. Uśmiech, który mu nie schodził z warg, nie sięgał jednak jego oczu.

- Jasne, synu. Wszystko w porządku.

Michael celowo nie ruszał się z miejsca, dopóki Campbell nie cofnął się o parę kroków. Odczekał jeszcze parę sekund, po czym, puknąwszy od niechcienia w dach auta, obiegł dokoła maski i usadowił się obok pani Rachel. Jadąc patrzył przez cały czas przed siebie. Nie odzywał się, ale sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. Więcej niż zadowolonego.

Rachel starała się wymazać z pamięci incydent z kluczykami. Nie była pewna, ile Michael słyszał, ale wiedziała, że słyszał wystarczająco dużo, by nabrać podejrzeń w stosunku do Rona. Ku jej własnemu zdziwieniu bolało ją, że Michael mógł ją ujrzeć w niekorzystnym świetle. Nie zachęcała Rona, ale cichy głos wewnętrzny, dokuczliwy w swej dociekliwości, szeptał jej, że również go nie zniechęcała. Fakt, że mogła w ogóle pomyśleć o romansie, stawiał ją w dwuznacznej

i upokarzającej sytuacji wobec czternastoletniego chłopca. Szczególnie że jest to chłopiec, który ją lubi i szanuje.

Chwilami łapała się na tym, że nie potrafi sobie już wyobrazić domu bez niego. Przytłaczało ją wówczas poczucie winy i niedowierzania. Jak to możliwe? Przecież Michael zjawił się już po zniknięciu Scottiego. A mimo to... mimo to czasami, słysząc jego śmiech gdzieś w głębi domu, w patiu czy nad basenem, niemal zapominała o bólu i pustce, jakie jej pozostały po utracie synka.

Nawet gdyby Scottie i Michael byli w tym samym wieku, trudno by ich porównać, tak są różni. Scottie, ze swoją blond czupryną, jest buńczuczny i hałaśliwy, jak to tylko możliwe u sześciolatka. Michael jest bardziej zamknięty, bardziej powściągliwy i, tak, bardziej wrażliwy na uczucia innych. Niechętny do sądzenia ludzi po pozorach. Ci koledzy, których sprowadza do domu...

Obok Todda Stewarta przewinęło ich się kilku. Po zakończeniu roku szkolnego Michael uczęszczał na kurs letni, żeby nadrobić materiał utracony po wyjeździe z Des Moines. Przewodził po lekcjach coraz to nowych nastolatków, w większości z upośledzonych rodzin, i wszystkim oferował przyjaźń. Rachel nie miała w zasadzie nic przeciwko jego szczodrości. Tyle że jej dni stały się teraz tak odmienne od tego, co było dotąd. Poprzednie wakacje upływały jej głównie na wożeniu Scottiego na lekcje pływania, na towarzyszeniu mu w piknikach, wycieczkach do zoo i muzeów, oraz w tysiącu rozmaitych imprez wymyślanych dla rozrywki jego i innych równie rozpieszczonych dzieci znajomych pań. Obserwując zachwyty, w jaki kolegów Michaela wprawiają luksusy ich domu, Rachel ze wstydem przyznawała, jak dalece nie zdawała sobie sprawy z liczby zaniedbanych dzieci Tidewa-

ter. Miała uczucie, że do czasu pojawienia się Michaela kroczyła przez życie w końskich okularach.

Wyrzawszy przez okno, ze zgrozą zobaczyła, jak Michael podaje jeden z jej najlepszych gościnnych ręcowników kąpielowych chłopcu, który wygląda tak, jakby poza Ymką nigdy nie widział basenu kąpielowego. Był wysoki, z niesforną blond czupryną, wąłym meszkiem zarostu i kilkoma tatuażami. I chudy do granic zagłodzenia. Czy ci chłopcy nigdy nie jedzą trzech solidnych posiłków dziennie, czy też tylko tak wyglądają? Niewątpliwie wszystko to nieszczęśliwcy. Bez względu na to, z jakich pochodzą środowisk, wszystkich kolegów Michaela łączy jedno. Są zagubionymi, zaniedbanymi czy może po prostu innymi chłopcami, odstającymi w gimnazjum od większości dobrze odżywianych, ubieranych w butikach lato-rośli zamożnych rodzin.

- Ile osób mamy dzisiaj do obiadu?

Drgnęła na głos Jake'a, lecz nie przerwała obierania jarzyn na sałatkę.

- Cztery z nowym kolegą Michaela.

Jake wyrżał przez jej ramię na dwór.

- Hm, sądząc po wyglądzie, temu rzeczywiście przyda się solidny posiłek.

- Przydałoby się i wiele innych rzeczy.

Jake się uśmiechnął.

- Skąd on bierze tych chłopców?

- Może z izby zatrzymań dla młodocianych. - Rachel zaczęła siekać na deseczce wymytą marchewkę. - Gdzieś indziej mógłby znaleźć taką zbieraninę? Niektórzy z tych jego kolegów robią wrażenie, jakby nigdy nie widzieli prawdziwego trawnika przy domu. Ten chłopak w zeszłym tygodniu, z rodziny sezonowych zbieraczy owoców, powiedział, że nig-

dy nie jadł na talerzach ani sztuccami od kompletu. - Wrzuciła do salaterki garść posiekanych rzodkiewek. - Czy ci ludzie nie mają w domu żadnych pism?

Jake, oparty o kontuar, z nogami skrzyżowanymi w kostkach, przyglądał się jej sprawnym palcom.

- Wątpię, żeby mu kiedykolwiek wpadł w ręce „Piękny dom”. Jest wiele ubogich rodzin, które nie mają co włożyć do ust. Pisma to dla nich luksus.

Przez chwilę patrzyła w milczeniu na swoje dłonie. W końcu podniosła na niego wzrok i zapytała:

- Zachowuję się jak ostatnia burżujka?

Nie przestając się uśmiechać, dotknął delikatnie jej policzka.

- Chcesz usłyszeć prawdę?

Kiwnęła głową, wiedząc, co usłyszy.

- I owszem.

- Nie robię tego rozmyślnie. Tylko że nigdy nie natykałam się na takich chłopców. Wstyd mi, ale dopóki Michael nie zaczął ich sprowadzać do domu, nie spędzałam zbyt wiele czasu na rozmyślaniu o upośledzonych tego świata.

- No, to przynajmniej jedna dobra strona pojawienia się Michaela.

Przeciagnął wielkim palcem po zarysie jej szczęki.

- Jakbyś zgadł. - Uśmiechnęła się z melancholijnie. - Chociaż nie miałabym nic przeciwko temu, żeby był trochę mniej wspaniałomyślny w szafowaniu naszymi najlepszymi ręcznikami kąpielowymi.

Jake wyjrzał ponownie na chłopców. Każdy był owinięty w luksusowy popielaty ręcznik.

- Przesadza z tą wspaniałomyślnością.

Uwagi Rachel nie uszedł wyraz twarzy Jake'a, kiedy patrzył na Michaela.

- Nie myślisz tego naprawdę?

- Że przesadza ze wspianiałomyślnością? Nie. - Odsunął się od niej, oparł ponownie o kontuar. - Prawdę mówiąc, myślę, że jest świetnym chłopcem. Identyfikuje się z kolegami, których tu sprowadza. Życie się z nimi nie patyczkowało, tak jak z nim, ale on jest szczęśliwcem, został przyjęty przez ciebie i przeze mnie. Sprawia mu przyjemność wprowadzanie ich w świat, o jakim im się nie marzyło. Jest szczęśliwy, że może im pozwolić popływać w prywatnym basenie, zaprosić ich na twój domowy obiad, zaprezentować nas jako doskonałą parę. Mike ma słodką naturę. Jestem z niego dumny. Światu potrzeba więcej takich ludzi jak on.

Ponieważ Rachel milczała, Jake zmierzył ją z lekkim niepokojem, niepewny, jak przyjęła płomienną pochwałę Michaela. Ale powiedziała tylko:

- Nie jesteśmy wcale doskonałą parą.

Następnego dnia Rachel umówiła się na lunch z Suzanne.

- Będę musiała coś z tym zrobić, Suzy. Tak dalej być nie może. - Wskazującym palcem wodziła po krawędzi szklanki z wodą. - Wiesz, jak się czuję, kiedy jestem w domu z Jake'em? - Odsunęła szklanke. - Jak w oku cyklonu. Poruszamy się jak w składzie porcelany, bo okazanie tego, co naprawdę myślimy i czujemy, rozpętałoby huragan gniewu, bólu i wzajemnych oskarżeń. Wobec tego dusimy wszystko w sobie. Nie wiem, jak długo to jeszcze wytrzymam.

Suzanne pokręciła w zdumieniu głową.

- Nie chce mi się wierzyć. Zawsze stanowiliście z Jake'em taką przykładną parę. Byłaś zawsze wzorową żoną, matką, panią domu. Czy naprawdę nie możesz puścić w niepamięć skoku w bok, który się przydarzył Jake'owi sto lat temu?



- Nie to jest najważniejsze, Suzy. Grałam rolę wzorowej żony, matki i pani domu, bo mi się wydawało, że na tym polega małżeństwo. Wiesz, jak bardzo chciałam mieć dziecko, zanim wreszcie zaszłam w ciążę i urodziłam Scottiego. Pragnęłam mieć dziecko nie tylko, żeby je kochać, żeby się nim opiekować. Uważałam, że to mnie dopełni w jakiś istotny sposób. Że dopiero to uczyni ze mnie prawdziwą kobietę, rozumiesz? A kiedy Scottie zniknął, stwierdziłam, że wszystko, co ceniłam, nie miało większej wartości.

- Nie mogę się z tym zgodzić, Rachel - odparła Suzanne spokojnie, ale z naciskiem, nie przestając ciągle kręcić głową.  
- Krzywdzisz siebie samą. Wiele kobiet wybiera dom i rodzinę jako karierę życiową i znajduje w tym zadowolenie.

Rachel prawie jej nie słuchała. Była pochłonięta wysiłkiem przedstawienia sprawy w zrozumiałej perspektywie.

- Nie wiem, może nasz stosunek opierał się na niewłaściwym założeniu.

- Co to znaczy? Kochasz Jake'a, on kocha ciebie. Jakże może być właściwsze założenie?

- Jeśli mnie kochał, to czemu poszedł do łóżka z inną kobietą?

- Na miłość boską, Rachel, któryż mężczyzna jest doskonały?

- Czy powiedziałaś to samo, gdyby chodziło o Alana?  
Suzanne spuściła oczy, potarła skroń.

- Już raz o tym mówiłyśmy.

- Wiesz, co? - Rachel zawiesiła głos, czekając, aż Suzanne uniesie głowę - Prawdę mówiąc, byłam wtedy chyba niemożliwa w codziennym pożyciu. Byłam taką nieznośną mal-kontentką, Suzy. Chciałam mieć idealnego męża z idealną pracą, idealny dom, idealną ciążę. A nic z tego nie miałam.

Miałam dobrego męża, ale nie idealnego. Jego praca była absorbująca i niebezpieczna, co stanowiło zagrożenie dla mego życia rodzinnego. A na domiar złego nie mogłam zająć w ciąży. - Roześmiała się melancholijnie. - Wynika z tego, że to ja byłam niedoskonała.

- Rachel...

- Nie przecz, Suzy. - Rachel potrząsnęła głową. - Właściwie nic w tym dziwnego, że Jake miał ten wyskok. Dziwne raczej, że nie weszło mu to w przyzwyczajenie.

- Nie powiem, żebym się godziła z twoją oceną, Rachel, ale jeśli tak to widzisz, to czemu nie możesz puścić tego wszystkiego w niepamięć i wrócić do normalnego życia?

Ale Rachel była nadal pochłonięta autoanalizą.

- Nie potrzebowałabym takiej doskonałości i takiej gwarancji bezpieczeństwa, gdybym miała więcej pewności siebie. Rozumiesz, Suzy? A winę za to ponosi częściowo Jake. Chciał we mnie widzieć małą kobietkę, którą by mógł się opiekować. Rolę odgrywała tu pewnie jego męska ambicja. On zarabiał na nas, on podejmował wszystkie ważne decyzje, a mnie utwierdzał w zdawaniu się we wszystkim na niego. Kiedy rzucił pracę w brygadzie antynarkotykowej i wyjechaliśmy z Miami, Jake, zawsze czuły opiekun, ulokował mnie w tym pięknym domu tutaj. Oczywiście nie wypowiadał tego na głos, ale swoim postępowaniem wyznaczał rolę, w jakiej mnie chciał widzieć. Patrząc wstecz, nie jestem bynajmniej zadowolona, że się pozwoliłam zepchnąć do tej roli.

- Byłaś naprawdę taka nieszczęśliwa, Rachel?

- Nie. To właśnie usiłuję powiedzieć. Nie czułam się nieszczęśliwa do momentu utraty Scottiego. Dopiero to mnie zmusiło do spojrzenia w głąb siebie i poszukania sposobu na życie po uświadomieniu sobie, czym naprawdę jestem. Bo

stwierdziłam, że jestem niczym. Panią McAdam. Żoną szeryfa. Matką Scottiego.

Przerwała, bo kelner przyszedł zebrać naczynia po ich sałatkach. Kiedy się oddalił, podjęła:

- Nawet potem moje stosunki z Jake'em może by się ułożyły, ale zjawił się Michael i poczułam, że cała tkanka naszego życia zaczyna się rozpadać. Sama już nie wiem, kim jestem i czego chcę.

- Rachel, na miłość boską, nie zrób jakiegoś głupstwa.

Rachel zastygła wpatrzona w pojedynczą różę pośrodku stolika. Po chwili podniosła wzrok na Suzanne.

- Ron Campbell nie daje mi spokoju. Chce nawiązać romans.

Niemal ubawiła ją konsternacja, jaką dostrzegła na twarzy siostry. Rodzina widać naprawdę się obawia, że stres ostatnich miesięcy pomieszał jej zmysły. Czuła, że Suzanne gotowa jest wdać się w wyliczanie tysiąca i jeden powodów, dla których romans jest głupią, nieodpowiedzialną, idiotyczną historią, nie wspominając już o politycznie zabójczych konsekwencjach, jakie mógłby mieć dla szans wyborczych Jake'a. Suzanne już otworzyła usta, lecz mina Rachel musiała ją ostudzić, bo ograniczyła się do stwierdzenia:

- Ron Campbell jest notorycznym kobieciarzem, Rachel. Nie dasz mu się chyba nabrać.

Rachel wzruszyła ramionami.

- Ta kobieta, z którą Jake miał romans, też nie była uosobieniem cnoty.

Suzanne pochyliła się przez stół.

- Więc chcesz... chcesz się puścić na to szaleństwo, żeby się odegrać? - szepnęła impulsywnie.

- Ron jest przystojny, czarujący. I widzi we mnie osobę, która coś potrafi, Suzy.

- Wyobrażam sobie, o jakie coś mu chodzi.
- A widzisz? Widzisz? - Rachel rzuciła na stolik serwetkę.
- Nawet ty uważasz, że mężczyzna może mnie cenić tylko jako potencjalną partnerkę do łóżka.

- Na miłość boską, Rachel, nie to miałam na myśli! - Suzanne pochyliła się ponownie przez stolik. - Nie wierzysz chyba w to, co mówisz. Jesteś na to za mądra, znam cię.

Zjawił się kelner z kawą. Suzanne odczekała niecierpliwie, aż postawi przed nimi filiżanki.

- Chciałabym mieć dolara za każdy raz, kiedy roіłam o rzuceniu Alana. Ale nawet rojąc o tym, wiem, że gdybym musiała wybierać, wybrałabym ponownie Alana ze wszystkimi jego wadami i narowami. Jake jest wspaniałym mężczyzną, a ty jesteś wspaniałą kobietą. Potrzeba ci tylko czasu, żeby dojść ze sobą do ładu. Utrata Scottiego była koszmarem. Jest nim ciągle. Trwającą tragedią. Zrozumiałe, że cię to wzięło. Ale jakoś to z Jake'em przetrzymacie.

- Nie wiem, Suzy. Odkąd się zjawił Michael...
- Zdaje się, że on jest katalizatorem wszystkich twoich dusznych niepokojów, Rachel, ale proszę cię, nie rób niczego pochopnego. - Sięgnęła przez stół i ścisnęła dłoń siostry.
- Zaklinam cię, przyrzeknij mi.

Rachel wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się blado.

- Czego pochopnego, Suzy? Nie występuję o rozwód. Jak na razie. I nie mam zamiaru iść do łóżka z Ronem Campbellem.

„Jak na razie”. Nie powtórzyła tych słów na głos, ale Suzanne zrobiła taką minę, jakby to faktycznie usłyszała. Spojrzała na zegarek, skrzywiła się.

- Muszę lecieć, kochana. Mam umówione spotkanie, jestem już dziesięć minut spóźniona. - Podniosła się z miejsca.
- Jakie ty masz plany na resztę dnia?

- Wracam oczywiście do pracy. - Rachel położyła na stolek napiwek, schowała do torebki kartę kredytową. - To dopiero połowa dnia.

- Jesteś ciągle zadowolona z tej pracy?

- Ta-ak...

- Ale?

- Byłabym jeszcze bardziej zadowolona, czując, że robię coś naprawdę sensownego.

- No, to może powinnaś się przenieść do opieki społecznej? Odpowiadałaby ci taka praca?

- Może. - Rachel ruszyła za Suzanne w stronę wyjścia.

- Myślałam już o tym. Nie wyobrażasz sobie, ilu jest młodocianych potrzebujących pomocy. Przekonałam się o tym na Oddziale Nagłych Wypadków. Wystarczająco długo żyłam z głową w piasku jak struś.

Suzanne popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Ty myślisz o tym serio?

- Oczywiście. O tym i wszystkich innych dylematach mego życia.

Suzanne pokiwała z namysłem głową.

- Porozmawiamy o tym jeszcze, dobrze?

- Dobrze.

Minęły drzwi i ogarnęło ich palące lipcowe słońce. Rachel sięgnęła do torebki po kluczyki od auta.

- Uściskaj ode mnie Alana i dzieciaki. - Pocałowała siostrę w policzek. - I dziękuję, żeś mnie wysłuchała, Suzy.

Ku zadowoleniu wszystkich na oddziale panował po południu niezwykle spokojny. Normalnie w poniedziałki był największy ruch. Zazwyczaj już rano czekała kolejka pacjentów, którzy odkładali wizytę przez weekend, i poczekalnia opróżniała się rząd-

ko przed wieczorem. Czemu ten poniedziałek był odmienny, nikt nie potrafił powiedzieć. Ale też nikt nie próbował dociekać przyczyny, a wśród personelu, zarówno medycznego, jak administracyjnego, panował niecodzienny nastrój odprężenia.

Koło trzeciej przy biurku Rachel wyrósł Ron Campbell.

- Witaj, piękna pani. - W rękach trzymał dwa kubki kawy.  
- Nie zrobiłabyś sobie przerwy?

Kubki były plastikowe, kawa w nich mimo przykrywek prawdopodobnie ledwo letnia, ale Rachel czuła się nieszczerłynie. Spędziła ostatnią godzinę na wyjaśnianiu, co w ramach ubezpieczenia przysługuje starszemu pacjentowi, który się zgłosił z bólem zamostkowym. Wyciągnęła z uśmiechem rękę po kubek.

- O, nie! - Ron, z kubkami w rękach, cofnął się poza zasięg jej dłoni. - Pierwsza zasada spokojnych popołudni to nie pić kawy przy biurku. Chodź do poczekalni, wyciągniemy nogi i naprawdę odpoczniemy. To chyba pierwszy poniedziałek w historii, kiedy nikt tam nie czeka.

Rachel się roześmiała, odsunęła fotel od biurka.

- Brzmi to zachęcająco.

- Co? Żadnych sprzeciwów? Wykrętów? Słodkiej odprawy? - Uniósł brwi w udanym zdziwieniu, ruszając obok niej w kierunku poczekalni. - Wypraszamy sobie wszystkie nagłe wypadki - zawołał do Helen Falco, która ze śmiechem potrząsnęła głową.

- Mogę sobie na to pozwolić tylko dlatego, że mamy taki spokojny dzień - powiedziała Rachel wchodząc do poczekalni.

Skierowała się prosto do telewizora, żeby przyciszyć dźwięk. Nim się odwróciła, Ron zdążył zamknąć za sobą drzwi.

- Raz mi się poszczęściło.

Usiadł na wyściełanej kanapce, poklepał dłonią miejsce koło siebie. Po chwili wahania Rachel przyjęła zaproszenie, usiadła jednak w przyzwyczajonej odległości. Podawszy jej kubek, wypił łyk ze swojego, po czym się odchylił mierzając ją kąpiącym spojrzeniem.

- Muszę się dobrze nagimnastykować, żeby cię oderwać na chwilę od pracy.

- Nie licząc lunchu spędzam całe osiem godzin przy biurku, panie dyrektorze - odparła z udaną powagą.

Jeszcze krok, a przemieni się to we flirt, uświadomiła sobie. Wbiła wzrok w kawę. Czy tego chce? Czy między Jake'em a tą kobietą w Miami zaczynało się tak samo?

- Wiem, pod czujnym okiem Helen Falco, szczególnej harpii w stosunku do ciebie, oraz całego cholernego szpitala.

- Zdecydowanym ruchem wyjął jej z ręki kubek. - Nie mogę z tobą pomówić nawet chwili na parkingu, bo patroluje go twój wierny giermek.

Michael! Rachel mało się nie udławiła resztką kawy, którą miała w ustach. Czy tak by się zachowywała, gdyby tu był Michael? Ron zajął jej głęboko w oczy.

- Moja propozycja pozostaje w mocy.

- Jaka propozycja?

- Pracy u mnie. Nadal chcę cię mieć, Rachel.

Otóż to! Nadszedł czas wyboru. Ron nie ma na myśli pracy. Ona to wie i on wie, że ona wie. Rachel czekała, kiedy serce zabije jej żywiej. Czyż sugestia seksualna ze strony mężczyzny, który nie jest jej mężem, nie powinna działać na kobietę podniecająco? Czyż nie powinna ona doznawać czegoś więcej niż ta... ta kliniczna ciekawość? Podniosła wzrok na Rona.

- Nie zmieniłam zdania w sprawie tej pracy, Ron.

- Nie myślę o pracy, Rachel. Dobrze wiesz.

Szybkim, zręcznym ruchem objął ją w pasie. Następnym pewnym ruchem - doprowadzonym do perfekcji przez praktykę, podejrzewała - pochylił się i przytknął usta do jej warg. Rachel siedziała bez ruchu. Poczowała smak kawy i mięty. Wyobraziła sobie, jak Ron odwija cukierek miętowy przed aktem swego wielkiego podboju, i z trudem zdusiła chichot. Siłą woli skoncentrowała się na pierwszym pocałunku nie własnego męża, jaki jej się przydarza od osiemnastu lat.

Jest w tym dobry, musiała przyznać. Z początku był, jak należy, niepewny, muskał delikatnie jej wargi. Czekwała biernie. Czuła emanujące od niego zapachy - eleganckiego płynu po goleniu, mięty, resztek chemicznego płynu do prania, który nie wywietrzył z jego kosztownego garnituru. Z telewizora dochodził znajomy temat muzyczny popularnego serialu. Ron zdawał się niepomny niczego oprócz dreszczyku całowania jej. Oddech mu się przyśpieszył, z cichym westchnieniem przyciągnął ją bliżej. Ujął dłonią jej głowę, językiem napał na wargi. Jej pierwszą instynktowną reakcją był opór. Poczowała odrazę, miała wrażenie dokonywanego na niej gwałtu. Podniecenia nie czuła żadnego.

„Co ja najlepszego robię?!“

Równocześnie z tą myślą usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Odepchnęła Rona, oderwała wargi od jego ust, zdumiona własną niebotyczną głupotą, porażona potwornością tego, do czego dopuściła. Obróciła się w kierunku drzwi, widząc, że ten, kto je otworzył, widział ją w ramionach Rona, był świadkiem pocałunku. I z pewnością pomyślał, że była dobrowolną partnerką. Gorzej, pewnie przypuszcza, że całowanie się z Ronem to rzecz, której się oddaje codziennie. Co godzina. Co noc.

Podniosła wzrok.

Dobry Boże! Michael!



# Milczenie nocy

10

- Cz-cześć, Michaelu.

Rachel poderwała się na nogi i zaczęła poprawiać bluzkę, która tego wcale nie wymagała. Nic w jej garderobie ani fryzurze nie było nie w porządku, czuła się jednak jak nastolatka przyłapaną na amorach z kolegą w aucie.

Michael, niepewny, jak się zachować, wodził oskarżycielskim wzrokiem od niej do Rona Campbella i z powrotem.

- T-to... Miałam chwilę przerwy, Michaelu. Ale co ty...?  
- Odchrząknęła, wzięła się w garść. - Co ty tu robisz? Lekcje się jeszcze nie skończyły.

- Trener Gibson został gdzieś nagle wezwany, a ponieważ wuef był ostatnią lekcją, więc nas wcześniej zwolnili. Przybiegłem tu wczoraj, pomyślałem, że mogę i dzisiaj. - Wzruszył ramionami. - Zamiast czekać pod szkołą. - Posłał Ronowi nowe gryzące spojrzenie. - Zjawiłem się nie w porę?

Nie patrząc na Rona, Rachel ujęła Michaela za rękę.

- To nie było to, co sobie wyobrażasz, Michaelu. Chodź do mnie, zbiorę rzeczy i możemy wracać do domu. Praca już się prawie kończy.

- Niech pani posłucha, pani Rachel. Może ja lepiej pobiegnę do domu. Sam, dobrze? Mam klucz, więc nie będzie problemu. - Popatrzył na Rona, który raz wreszcie zaniemówił. - Wygląda, że pan Campbell ma tu coś do powiedzenia.

Michael obrócił się tak, że musiała puścić jego ramię. Poczowała ukłucie w piersi. Czuje do niej wstręt, nie chce, żeby go dotykała.

- Pan Campbell nie ma tu nic do powiedzenia, Michaelu. - Czując rozpacz, wstyd i, tak, ciężącą winę, Rachel popatrzyła na Rona. - Z tobą się rozmówię później, Ron. - Nie czekając na odpowiedź ruszyła za Michaeliem, nie chcąc, by trwał w przeświadczeniu, że jest pozbawioną zasad, rozwiązałą dziewczką. - Jak powiedziałam, wezmę tylko torebkę i wracamy do domu. - Zrobiła głęboki wdech, zbierając siły. - Wytłumaczę ci wszystko, Michaelu.

- Nie musi pani nic tłumaczyć, pani Rachel.

- U diabła! - Złapała go za rękaw, zmuszając do zatrzymania. - Jestem zakłopotana, zawstydzona tym, co ci się wydaje, że widziałeś. Chcesz czy nie chcesz, wysłuchasz wytłumaczenia, na jakie potrafię się zdobyć.

Patrzył w przestrzeń nad jej ramieniem.

- Tak jest, proszę pani.

Wielki Boże, jest taki podobny do Jake'a z tą zaciętą szczęką i szarymi oczyma, mrocznymi jak niebo podczas sztormu nad Zatoką Meksykańską.

- To nie było to, co sobie wyobrażasz.

- Już pani to mówiła.

- Ja właściwie... - Odchrząknęła zażenowana. - Właściwie się z nim nie całowałam.

- Tak, proszę pani.

- Nie całowałam się!

- Poczekam na panią w aucie.

Złapała go ponownie za rękaw.

- Nie! W aucie bez klimatyzacji jest ze czterdzieści stopni.

- Więc wstąpię do kafeterii, napiję się czegoś zimnego.

Oczy wypełniły jej się nagle łzami. Zabolą ją ta jego reakcja, mimo że na nią zasłużyła. Nie zdawała sobie sprawy, jak bliską nawiązała z nim więź. Teraz, z powodu własnej głupoty, z powodu ślepej, infantylnej chęci odegrania się na Jake'u, zaprzepaściła coś, czego pełną wartość dopiero sobie uświadamia

A już zbyt bolesnym byłoby się zastanawiać nad tym, co pomyśli Jake.

- Dobrze - powiedziała głucho, ustępując Michaelowi.

Jeszcze przez chwilę nie puszczała jego rękawa. Wygładziła palcami jakąś zmarszczkę na materiale, świadoma, że upłył nie pewnie wiele wody, nim Michael odzyska do niej pełne zaufanie. Zmusiła się do uśmiechu.

- Idź do kafeterii, ja niedługo...

- Rachel!

Oboje drgnęli zaskoczeni. Z dłonią wciąż na rękawie Michaela, Rachel się obróciła, zaalarmowana nagłą nutą w głosie Helen Falco.

- Mamy niebezpieczny przypadek przedawkowania. Jesteś potrzebna.

Z pierwszej sali zabiegowej buchnęła kaskada dźwięków - podniesione głosy, łomot przewróconego krzesła. Michael zmarszczył czoło.

- Niech pani lepiej poczeka, pani Rachel. To brzmi groźnie.

Ale Rachel już biegła w tę stronę, razem z dwoma umundurowanymi ludźmi szeryfa, którzy widać zatrzymali się przy rejestracji. Praca na Oddziale Nagłych Wypadków ujawniła

nie przeczuwaną umiejętność Rachel uspokajania histerycznych pacjentów. Szczególnie dobrze radziła sobie z młodocianymi. Sądząc po wyglądzie chłopaka powstrzymywanego przez Helen Falco i sanitariusza, jej nowo odkryte talenty miały być tym razem wystawione na ciężką próbę.

- Myślę, że sobie z nim poradzę - powiedziała do starszego z funkcjonariuszy.

Usunął się niechętnie, wpuszczając Rachel do niewielkiej salki. Nie zauważyła, że Michael wsunął się za nią.

Zaniepokoił ją wygląd chłopca. Miał on niewidzące szklane spojrzenie, był cały zlany potem. Nie ulegało wątpliwości, że zażył jakiś silny narkotyk i jest całkowicie pod jego działaniem. Helen wezwała już dyżurnego lekarza.

Wszyscy zamarli, kiedy chłopiec nagle krzyknął osłaniając panicznym ruchem twarz, jakby go ktoś atakował. Kopnął ślepo nogą i byłby trafił Rachel, gdyby Michael nie pociągnął jej w ostatniej chwili w bok.

- Pani Rachel...

- Wszystko w porządku, Michaelu. - Nie spuszczać oka z szarpiącego się nastolatka, Rachel uczyniła dłonią ruch w kierunku korytarza. - Poczekaj przy moim biurku - rzuciła Michaelowi, podchodząc do chłopca, który zdołał się jakimś cudem wyrwać sanitariuszowi i Helen.

- Odsuńcie się ode mnie! - wrzasnął teraz, cofając się do stołu opatrunkowego.

Trząśł się cały, oczy miał szalone. Rachel wiedziała, że w głowie roją mu się jakieś kosmary.

- Jak się nazywa? - zapytała.

- Kevin Nicholson - poinformował Michael.

Rachel zamrugała. Jej koncentracja rozluźniła się na moment.

- Znasz go?
- Nie. To znaczy, trochę. Z widzenia, ze szkoły.
- Kevinie - przemówiła łagodnie. - Nazywam się Rachel.
- Zdobyła się na uśmiech. - Wszyscy tutaj to przyjaciele. Nikt nie zamierza ci zrobić krzywdy. Chcemy ci pomóc.
- Muszę się stąd wydostać! - krzyknął.

Pchnął z całej siły metalowy pojemnik na zużyte środki opatrunkowe. Trafił nim zaskoczonego sanitariusza, który się wyłożył jak długi. Helen wydała zdławiony okrzyk, ale Rachel nie mogła sobie pozwolić na oderwanie wzroku od chłopca. Wyciągnęła otwartą dłoń.

- Kevin, podejdź tutaj, porozmawiamy chwilę.

Mierząc dzikim wzrokiem Rachel i Michaela, jak istoty nie z tego świata, chłopiec wyciągnął obronnym gestem rękę.

- Nie zbliżajcie się do mnie!
- Dobrze, Kevin, dobrze. Popatrz. - Rachel cofnęła się przezornie o krok. - Widzisz? Będę tutaj stała. Możemy teraz porozmawiać?

Kevin ślepił oczami zwężonymi z wysiłku, żeby coś dojrzeć.

- Oni mają noże! Rany boskie, mają noże!
- Nie, Kevin. Nikt tu nie ma noży.
- I pistolety! Noże i pistolety! - Wyrzucił rękę w górę.
- Ja nie chcę umierać!
- Posłuchaj mnie, Kevin. Nikt nie chce cię zabić. Nikt ci nic nie zrobi. Nikt tu nie ma noży ani pistoletów. Daję ci słowo honoru.

Rachel postąpiła krok do przodu, instynktownie wyciągając przed siebie rękę.

- Kłamiesz! Wszyscy zawsze kłamią! - Jego głos zniżył się dramatycznie, wyraz twarzy zmienił raptownie. - Ale ja tu zrobię porządek. Uciekną wszyscy, jak im pokażę!

Nim mogła się uchylić, złapał ją za bluzkę i szarpnął tak, że mało nie utraciła równowagi. Krzyknęła zaskoczona, czując, jak przyciska ją do boku, a drugą rękę zaplata jej w pasie. W oszołomieniu przemknęła jej myśl o gwałcie, ale był to tylko przelotny błysk w przyspieszonym filmie przerażających ewentualności, jakie jej przelatywały przez głowę.

Po chwili zdała sobie sprawę, że Kevin szuka czegoś pod koszulą. Kątem oka dostrzegła Michaela i jej groza spotęgowała się jeszcze. Czemu jej nie posłuchał? Powinien być na korytarzu, jak mu poleciła. Dopiero poczuwszy na skroni gwałtowne szturchnięcie zimnej stali, uświadomiła sobie, że Kevin ma pistolet.

Jake zamknął drzwi za Parkerem Jamisonem, redaktorem „Tidewater Journal”. Stał chwilę rozcierając kark. Napięte mięśnie miał stężałe jak garbowana skóra. Przez głowę przebiegła mu myśl, żeby zadzwonić do szpitala do Rachel i spróbować ją ściągnąć do domu. Mike jest jeszcze w szkole, mogliby swobodnie popływać, porozmawiać. Może pozwoliłaby mu się kochać. Opuścił bezwładnie rękę, wciągnął powietrze. Pozwoliłaby, akurat!

Biorąc się w garść, powrócił do wizyty Parkera Jamisona. Parker był zarówno przyjacielem, jak sprzymierzeńcem w interesach. Wpadł ustalić tekst i daty publikacji ogłoszeń wyborczych, które miały się ukazywać w jego gazecie ze wzrastającą częstotliwością w miarę nasilania się kampanii. W rozmowie brała udział również Liz, wyszła jednak dziesięć minut wcześniej na spotkanie z fotografem przygotowującym zestaw zdjęć, które miały towarzyszyć ogłoszeniom.

Jake wrócił do biurka, usiadł. Kampania robiła się coraz gorętsza i coraz goręcej robiło się w mieście. Zresztą nie tylko

w mieście, w całym hrabstwie. Pograżony w myślach, przebiegł oczami notatki z dyskusji z Parkerem i Liz. Ich część nie miała nic wspólnego z kampanią, ale dotyczyła sprawy mogącej przesądzić o wyniku wyborów. Według Parkera - który odmówił zdradzenia Jake'owi źródła swoich informacji - na wybrzeżu, bardzo prawdopodobne, że w obrębie jego jurysdykcji, w hrabstwie Kinard, zainstalowała się potężna ekspozytura handlu narkotykami. Dane Parkera pokrywały się dokładnie z danymi wywiadu brygady antynarkotykowej, przekazywanymi Jake'owi z Miami przez Ricka Streetera.

Jake oparł się wygodniej w fotelu, położył nogi na biurku. Nie zdziwiłby się, gdyby informacje Parkera pochodziły od kogoś w samej brygadzie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien ostrzec Ricka o możliwości przecieku w jego własnym biurze. Kiedy dojdzie do akcji, takie naruszenie zasad bezpieczeństwa może kosztować ludzkie życie.

Zamknął oczy, potarł skronie. Wcześniej tego dnia miał ponowną alarmującą wizytę Joego Crenshawa. Joe był zaniepokojony, że coraz więcej uczniów przychodzi do szkoły już na haju. Nie ma na to dowodów, powiedział Jake'owi, ale podejrzewa, że punkt zaopatrzenia w narkotyki mieści się gdzieś niedaleko szkoły. Skąd inaczej szczeniaki brałyby to świństwo, zanim rozlegnie się dzwonek na pierwszą lekcję? Zwraca się z tym do Jake'a zamiast do policji, bo obawia się, że Gonzales by wykorzystał informacje w celach politycznych. Zresztą, jak wie, sprawa nie ogranicza się do miasta, lecz dotyczy całego hrabstwa. Ostrzega go, oświadczył Crenshaw, w nadziei, że Jake, uprzedzony, zdoła ukreślić łeb sprawie, nim Gonzales wykorzysta ją jako amunicję wyborczą.

Jake zabębnił palcami po biurku. Cóż on, u licha, może zrobić?

Zabrzączał telefon. Wciągając powietrze, Jake podniósł słuchawkę.

- Jake, rozmowa na pierwszej linii.

- Jake? Tu Helen Falco.

- Helen. Jak się masz?

- Och... - Sprawiała wrażenie zadyszanej. - Dobrze, Jake, dobrze.

Wyprostował się na fotelu, zaalarmowany czymś w jej tonie.

- Co się stało, Helen?

- Och, Jake... - Głos jej się załamał. - Chodzi o Rachel, Jake.

Zmarszczył czoło.

- O Rachel?

- I o Michaela.

Serce zaczęło mu walić. Trzymając słuchawkę w jednej ręce, drugą oparł się o poręcz fotela.

- O co chodzi? Co się stało?

- Wezwałam policję. Już tu są.

- Dlaczego, Helen? Co się dzieje?

- Przywieźli chłopaka, jakieś piętnaście lat. W niepoczytalnym stanie. Fencyklidyna czy coś w tym rodzaju. Oczywiście to przypuszczenie, ale ma halucynacje, jest groźny.

- Helen, na miłość boską! Co to ma wspólnego z Rachel i z Michaelem?

Zaległa chwila ciszy.

- Och, Jake, on ich ma. Oboje.

- Ma ich? - Jake pokręcił nie rozumiejąco głową. - Co to...?

- Rachel próbowała go uspokoić. Jest w tym taka dobra, Jake. Zwykle starcza parę jej słów i robią się potulni jak baranki. Ale ten... ten Kevin...



- Co z Rachel? - przerwał wściekle Jake.

- Bełkotał coś o pistoletach i nożach, był w najwyższym stopniu podniecony... Niepoczytalny, prawdę mówiąc... Uważał, że chcemy mu zrobić krzywdę...

- Co z moją żoną? - krzyknął już Jake. - I z moim synem?

- Ma ich oboje, Jake.

- Co to znaczy? Jak może ich mieć? Mówiłaś, że ludzie Gonzalesa już tam są.

- Tak, ale... Trzyma ich w składziku, Jake. Zamknął się z nimi. Sam jeden z Rachel i Michaeliem.

Jake zerwał się z przekleństwem, aż fotel pojechał do tyłu.

-Jake...

- Stało im się coś?

- Nie wiem. Są...

- Już jadę. Zaraz...

- Jake!

Coś w jej głosie go wstrzymało.

- Co?

- Ten chłopak ma pistolet. - Wstrząsnął nią szloch. - Zamknął się z nimi w składziku i ma pistolet.

Później Jake nie mógł sobie nigdy przypomnieć jazdy z komendy do szpitala. W toku swojej kariery jako agent brygady antynarkotykowej i szeryf hrabstwa Kinard wybrnął szczęśliwie z wielu niebezpiecznych sytuacji, ale w żadnej z nich nie miał nigdy stawki osobistej. Zacisnął szczęki, bo przed oczami stanęła mu twarz Rachel, ufne spojrzenie Michaela. Dla funkcjonariusza sił porządkowych największym koszmarem jest konfrontacja, w której w grę wchodzi zakładnicy. Najniebezpieczniejsza konfrontacja. Kłął w duchu swoją bezradność. Kontrola nad całym własnym życiem zdaje się w ostatnich miesiącach wymykać z rąk. Porwano mu sprzed nosa

Scottiego, jego małżeństwo się rozpada, miasto jest zalewane narkotykami. A teraz Rachel i Michael... Pojął w tej chwili, co znaczy powiedzenie, że krew ścina się człowiekowi w żyłach.

„Rachel, Rachel! Michael! Boże, nie dopuść, żeby im się coś stało”.

Zahamował z piskiem opon przed szpitalem, w pandemonium wozów policyjnych z błyskającymi światłami i skrzeczącymi radiami. Nim wybiegł przed maskę samochodu, zagroził mu drogę J. B. Gonzales.

- Jake, wiem, jaki to dla ciebie szok, ale sprawa jest w jurysdykcji miasta i my kierujemy akcją. Nie mieszaj się w to.

- W jurysdykcji miasta? - Jake zmierzył go zaskoczony.  
- Gównu mnie obchodzi, w czyjej jest jurysdykcji, J. B. Chodzi o moją żonę i mojego syna! Musiałbyś użyć bomby atomowej, żeby mnie zatrzymać.

- Jake!

Gonzales wyciągnął dłoń, żeby go złapać za rękaw, ale Jake już przekroczył żółtą plastikową barierkę policyjną, pchnąwszy ją tak, że się przewróciła. Gonzales skoczył za nim.

- W grę wchodzi bezpieczeństwo zakładników. Nie możesz tam tak po prostu wtargnąć.

- Nie mogę? To popatrz. - Z determinacją na twarzy Jake wbiegł paroma susami po schodach koło rampy dla wózków. Pchnął pięścią szklane drzwi. - Helen mówiła, że ten chłopak zamknął się z nimi w składziku. To się zmieniło?

- No-o, chyba nie...

- Chyba? - Jake, lustrujący sytuację, obrócił się, żeby zajrzeć w oburzoną twarz Gonzalesa. - To ty nie wiesz? Kto inny kieruje akcją?

- Nie czepiaj się, Jake! - warknął szef policji. Ale rzucił to

w powietrze, bo Jake już przemierzał hol. Gonzales pobiegł za nim. - Niech cię diabli! Oczywiście, że ja kieruję akcją, ale to nie znaczy, że muszę być w środku. Jestem w kontakcie radiowym z dowódcą jednostki specjalnej. - Znalazłszy się pierwszy raz na zagrożonym terytorium, rozejrzał się ostrożnie. - Jak widzisz, postępujemy zgodnie z przepisami. Ewakuowaliśmy wszystkich z wyjątkiem dwóch twoich ludzi, którzy przywieźli podejrzanego.

- Gdzie jest ten składzik?

- G-gdzie? No-o, nie jestem pewien. Langley!

Kiwnął na jednego z pół tuzina ludzi rozstawionych wzdłuż korytarza. Wszyscy trzymali broń w pogotowiu, ale choć może przeszli przeszkolenie do akcji specjalnych, dla Jake'a nie ulegało wątpliwości, że nie mają żadnego planu działania.

- Witam, szeryfie. - Langley kiwnął z szacunkiem głową.

- Składzik jest za trzecią salą zabiegową. Ma metalowe drzwi z małym okienkiem, mniej więcej na wysokości oczu, i zasuwą w środku. Problem w tym, że nie możemy się zbliżyć, bo ten chłopak... Kevin... jest uzbrojony i bliski paniki.

Jake znieruchomiał na parę sekund, ze wzrokiem skierowanym ku drzwiom składziku. Ledwo poruszając wargami, zapytał:

- Rozmawialiście z moją żoną, odkąd się z nimi zamknął?

- Tak jest, szeryfie. Zawołała, żebyśmy się nie zbliżali.

Powiedziała, że ani jej, ani pańskiemu synowi nic się nie stało. Chciała porozmawiać jeszcze parę minut z Kevinem.

- Widzisz, Jake... - wtrącił się Gonzales.

Jake go zignorował.

- Wiecie... czym on się zaprawił? - spytał Langleya.

- Zdaniem sanitariusza i pani Falco coś w rodzaju fen-cyklidyny.

Jake potarł wyczuwalny po całym dniu zarost na brodzie. Ręka mu drżała.

- Rachel nie zdaje sobie sprawy, czym to grozi - mruknął.  
- Chłopak może w każdej chwili zrobić coś niepoczytalnego.

- Za pozwoleniem, szeryfie - powiedział Langley z przekonaniem. - Biorąc wszystko pod uwagę, pańska małżonka wykazuje zadziwiające opanowanie. Pański syn też. W ciągu pół godziny, odkąd tutaj jestem, stwierdziłem wielką różnicę w zachowaniu tego Kevina. Jest znacznie spokojniejszy. Z początku wykrzykiwał, rozbijał się, zwał rzeczy na podłogę. Jak pan powiedział, zdawało się, że lada chwila zrobi coś niepoczytalnego. My na zmianę ze Smithem - wskazał stojącego dalej kolegę - dyżurujemy przy drzwiach, tak żeby nas nie zauważyli. Jak pan słyszy, w środku panuje teraz całkowity spokój.

Ich uwagę przyciągnął ruch w holu wejściowym. Ku irytacji Jake'a okazało się, że to telewizja. W drzwiach pojawiła się ekipa lokalnej stacji w pełnym składzie. Elektroniczne oko kamery omiotło hol, uwieczniając Gonzalesa, Jake'a i uzbrojonych policjantów dla wieczornego dziennika i dla potomności. Rudy komentator kanału szóstego poznał Jake'a.

- Szeryfie McAdam, czy to prawda, że zakładnikami są pańska żona i syn?

Ignorując pytanie, Jake obrócił się do szefa policji.

- Usuń ich, Gonzales - zażądał ostro. - Nie chcę, żeby coś się stało mojej żonie i synowi. Kamera telewizyjna może spłoszyć chłopaka i wywołać nieobliczalną reakcję.

Na twarzy Gonzalesa odmalowało się niezadowolenie.

- To jest wolny kraj, Jake. Nie uda nam się ukryć przed prasą. Jake łypnął na niego gniewnym okiem.

- Kiedy w twojej karierze politycznej ty się próbowałeś ukrywać przed prasą?

- Co to ma znaczyć?

- Obaj dobrze wiemy. Ty byś stanął na głowie, żeby się znaleźć w głównym wydaniu dziennika. - Odcignął Gonzalesa na bok i zniżył głos, żeby dalsza wymiana zdań pozostała między nimi. - Ale bądź diabło ostrożny, szefie. Jak nie omieszkałeś podkreślić, ty kierujesz akcją. Jeżeli zakończy się czymkolwiek, powtarzam, czymkolwiek oprócz szczęśliwego uwolnienia mojej rodziny, to nie pomogą ci żadne występy w dziennikach telewizyjnych. Jeśli nie ukrzyżują cię sami obywatele Tidewater, to ja ci solennie przysięgam, że to zrobię.

Mierzyli się spojrzeniem pozbawionym choćby pozorów sympatii czy szacunku. Jake piorunował go wzrokiem, aż Gonzales spuścił oczy. Z prychnięciem niesmaku, Jake się odwrócił i ruszył w głąb korytarza.

- Hej, gdzie ty idziesz?

- Spróbować nawiązać kontakt z moją żoną - warknął nie obracając się Jake.

Langley pobiegł za nim. Żaden nie zważał na szefa policji, który zawrócił, poprawiając krawat i przygładzając włosy. Odchrząknął i przywołał na wargi uśmiech, szykując się do stanięcia przed kamerą telewizyjną.

- Szeryfie, myślę, że lepiej zbytnio się nie zbliżać - ostrzegł Langley dotrzymując kroku Jake'owi. - Ten szczeniak nie wydaje się skłonny do pertraktacji.

- Czy jest w składziku telefon?

- Nie.

- A okno?

- Okno? Nie, tylko lufcik, przez który nic nie widać.

- Więc jak mamy cokolwiek zrobić, jeżeli nie zbliżymy się na tyle, żeby z nim pomówić? - zapytał Jake.

- Tak jest.

Podchodząc do składziku, Jake przysunął się do ściany. Wyćwiczonym ruchem wyciągnął rewolwer. Przeraziła go siła miotających nim uczuć. Dał dłonią znak Smithowi, drugiemu policjantowi z jednostki specjalnej, żeby się usunął, po czym wyciągnął szyję i zajrzał przez okienko. Stłumił przekleństwo. Okienko było zasłonięte nieprzejrzystym materiałem. Pohamował impuls wywalenia drzwi kopniakiem. Na Boga, musi się jakoś upewnić, że Rachel i Michaelowi nic się nie stało.

Omiótł wzrokiem ścianę, szukając czegoś, czegokolwiek, co by dawało dostęp do składziku. Nie spostrzegł nigdzie wentylatora, przewodu klimatyzacyjnego, niczego. Oparty o ścianę, skierował wzrok z powrotem na drzwi.

- Kevin, Kevin, słyszysz mnie? - zawołał.
- Halo, szeryfie - odpowiedziała ze środka Rachel.

Jej głos był spokojny. Jake'owi ścisnęło się gardło. Gdyby się mijała z przypadkowym znajomym na ulicy, nie mogłaby się posłużyć bardziej neutralnym tonem.

- U nas wszystko w porządku, jak już mówiłam sierżantowi Langleyowi. Kevin zastanawia się nad sytuacją. Nie miał wcale zamiaru narobić tyle kłopotu, prawda, Kevinie?

Uszu Jake'a doszła bełkotliwa odpowiedź. Poruszył się niespokojnie.

„A co z Michaeliem?”

- Tato?

W głowie Mike'a brzmiała nutka niezdecydowania. Jake poczuł nowy przypływ uczucia.

- Jak się masz, Mike?
- Dobrze. Tato, może lepiej, żebyście się odsunęli wszyscy na jakiś czas. Pani Rachel rozmawia z Kevinem. On już jest spokojny.

Jake przełknął z trudem. Ton ich głosów uspokoił go. Nie

mógłby chyba być taki, gdyby Kevin znajdował się na granicy wybuchu. Popatrzył na rewolwer w dłoni. Ale czy oni sobie w ogóle zdają sprawę, jak łatwo osobnik w transie narkotycznym może przejść od apatii do agresji?

Raptem zza drzwi doszły przytłumione odgłosy szamotanimy, dobiegł ostry okrzyk Rachel. Jake'owi zamarło serce. Z nagłą suchością w gardle, przekręcił kłamkę. Drzwi były zamknięte na zasuwę. Rozległ się krzyk Michaela, coś upadło z głośnym łomotem. Potem gruchnął pojedynczy strzał. Jake zapomniał o ostrożności, spiął się do działania. Liczyło się tylko to, żeby jak najszybciej dotrzeć do Rachel i Michaela. Kopnął z całej siły dół ciężkich drzwi, równocześnie uderzając ramieniem w ich środek. Zasuwa puściła z trzaskiem.

Jednym rzutem oka ogarnął scenę. Stwierdziwszy, że Kevin leży na podłodze, a Rachel i Michael są cali, opuścił gotowy do strzału rewolwer.

- Jake...

Rachel, klęcząca koło nieruchomej postaci Kevina, podniosła oczy pełne łez. Michael stał nad nimi, ściskając pistolet owinięty w białą myjkę szpitalną.

- Musiałem go rąbnąć, tato.

W piersi Jake'a podniecenie ustępowało uldze. Popatrzył na Michaela. Z rozcięcia na policzku ciekła mu strużką krew.

- Co się, u cholery, stało?

- Wydawało się, że jest już spokojny, kiedy nagle przyłożył pistolet pod brodę i byłby...

Michael urwał, niezdolny wymówić tego słowa.

Za Jake'em wsunęli się do składziku Langley i Smith. Ogarnawszy spojrzeniem scenę, Langley przyklęknął na jednym kolanie koło Rachel, Smith zaś wyciągnął dłoń po pistolet, który Michael mu skwapliwie oddał.

Jake zdążył schować własny rewolwer do kabury, kiedy Rachel się poderwała i z dławionym łkaniem padła mu w ramiona. Opasał ją rękami, silnie i pewnie. Tulił jej ciało, wstrząsane spazmami ulgi. Z westchnieniem wyszeptał jej imię i usłyszał swoje wyszeptane w odpowiedzi łamiącym się głosem.

- Już dobrze, maleńka - tchnął jej w ucho, gładząc miłośnie jej włosy i kruchą wypukłość jej kręgosłupa.

Nad jej ramieniem spozjrzał na Michaela. Chłopiec stał wyprostowany i sztywny, jakby najmniejsze poruszenie było ponad jego siły. Jake'owi ścisnęło się gardło w nagłym przypływie uczucia. Nie odezwał się, bo nie zdołałby w tej chwili wykrztusić słowa. Czuł dreszcz wstrząsający ciałem Rachel. Wzrokiem widział w Michaelu podobną bezbronność. Wyciągnął rękę, uczynił przyzywający gest. Michael przysunął się skwapliwie i oto Jake trzymał ich oboje w ramionach.

Żonę.

I syna.

Oboje bezpiecznych.

Zamknawszy oczy, poruszył wargi w dziękczynnej modlitwie.



# Milczenie nocy

## 11

Z początku Rachel myślała, że się otrząśnie po szoku bez padnięcia Jake'owi w ramiona i szukania pociechy w jego kojących słowach. W ostatnich tygodniach wyrobiła sobie pewną niezależność, a wraz z nią silniejsze poczucie własnej wartości. Mimo piętrzących się przeciwności jej wiara w siebie rozkwitała. Ale po godzinie w charakterze zakładniczki cała ciężko zdobywana pewność siebie stopniała jak wosk w ogniu. Tak dobrze było pozwolić się tulić Jake'owi. Jest taki duży, silny, w jego objęciach czuje się taka bezpieczna. A była taka przerażona.

O, Boże! Przerażona w równej mierze o Michaela. Oblął ją ponownie zimny pot na myśl, że mogło mu się stać coś złego. A przecież to ona miała mu zapewnić opiekę.

Z cichym jękiem wtuliła twarz w koszulę Jake'a. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, nie potrafiła opanować drżenia, a jego dłoń, rozcierająca jej plecy, jest taka ciepła, taka kojąca. Czy to ma naprawdę znaczenie, że się na chwilę wesprze o jego pierś?

Czując, że Michael się odsuwa, westchnęła i wyswobodziła się również z objęć Jake'a.

- Zbierz rzeczy i wracamy do domu - powiedział Jake chrapliwym głosem, patrząc jej w oczy.

Obok pochyłali się nad Kevinem lekarz i sanitariusz.

- Muszę się zająć rejestracją - powiedziała załamującym się głosem.

Trzeba Kevinowi wypisać kartę, wypełnić kwestionariusz, formularze ubezpieczeniowe. Czeka ją robota.

- Czy stan jest ciężki? - spytał Jake, widząc, że lekarz skończył oględziny chłopca.

Lekarz ze zdziwioną miną przysiadł na piętach.

- Nie widzę rany postrzałowej. Jest nieprzytomny, ale to od uderzenia w tył głowy.

Jake popatrzył na Michaela.

- Ogłuszyłeś go kolbą?

- Nie, tato. Tym.

Wskazał odepchnięty w kąt stojak do kroplówki.

- Ale słyszeliśmy strzał.

Rachel wzdrygnęła się na przypomnienie chwili grozy.

- Kula, dzięki Bogu, poszła w bok. Trafiła zdaje się w ten stos ręczników. Ale on się chciał z-zastrzelić. - Rachel poprawiała drżącą ręką długi kosmyk włosów za uchem. - I zrobiłby to, gdyby nie Michael. - Popatrzyła na chłopca. - Uratowałeś mu życie, Michaelu.

Michael wzruszył ramionami, unikając jej wzroku.

- Nie mogłem stać i przyglądać się, jak sobie pakuje kulę w brodę. Pani Rachel przemawiała do niego cały czas, więc korzystając z chwili jego nieuwagi, podkradłem się i złapałem ten stojak. To tutaj jedyny twardy przedmiot, poza tym jest tylko czysta bielizna.

Jake się zbliżył, obrócił do siebie jego policzek. Twarz mu spoważniała na widok głębokiego rozcięcia.

- Jak to się stało?

Michael, wyraźnie zakłopotany, odwrócił wzrok.

- Kevin z początku szalał, kiedy się tu z nami zamknął. Wymachiwał pistoletem, kopał, przewracał wszystko. Drasnął mnie pewno wtedy.

- Pistoletem - uzupełniła Rachel i wstrząsnęła się ponownie. - Trzeba będzie chyba założyć szwy.

- Więc chodźmy.

Jake położył jedną rękę na ramieniu Michaela, drugą wyciągnął do Rachel. Doszedł do końca korytarza, zatrzymał się i zaklął. W holu kłębił się tłum. Światło kamery telewizyjnej nadawało niezwykłego blasku matowemu fioletowoniebieskiemu wystrojowi wnętrza. Gonzales mówił coś do mikrofonu, wznosząc i opuszczając ręce w rytm słów. Obok czekał Ron Campbell z gotowym do odczytania komunikatem.

Dostrzegłszy Rachel, od grupy oderwała się Helen Falco. Podeszła, przyglądając się zatroskanym wzrokiem.

- Nic ci nie jest? - zapytała ściskając serdecznie Rachel.

- Mnie nie, Helen. Ale Michael...

- Wiem. Sierżant Langley nas uprzedził, że będzie potrzebował paru szwów. Zawiadomiłam już lekarza.

Michael, trzymając się w tyle, patrzył z niechęcią na kamery telewizyjne i gromadę gapiów.

- Nie moglibyśmy wrócić do domu, tato?

- Wrócimy, jak tylko ci zszyją to rozcięcie, synu. Helen...

Helen ujęła Michaela pod ramię, kierując się w stronę, skąd przyszli.

- Doktor czeka na chirurgii. Obejdziemy naokoło, żeby ominąć to zbiegowisko.

- Czy to...?

Rachel pochwyciła jego wzrok.

- Nic się nie martw, Michaelu. Pójdziemy z tobą.  
Michael odwrócił śpiesznie oczy.

- Nie musi pani.

Rachel wzdrygnęła się w duchu. Nie chce, żeby mu towarzyszyła. Trudno mu się dziwić po tej scenie z Ronem. Zdobyła się na uśmiech.

- Niech i tak będzie. Mam jeszcze do wypełnienia papiery.

- Co ty, Rachel? - Helen posłała jej nie dowierzające spojrzenie. - Po tym szoku, jaki przeżyłaś? Ktoś wypełni za ciebie te papiery. Niech Jake odwiezie cię jak najprędzej do domu.

Jake przytaknął głową.

- Zrobię to, jak tylko opatrzą Michaela.

Rachel odetchnęła na widok domu. Za każdym razem, gdy Jake brał zakręt, umierała ze strachu, że jej żołądek się zaraz zbuntuje. Tylko świadomość, że to Michael jest tym poszkodowanym, dodawała jej siły do opierania się mdłościom. Wyśiadła z auta na uginających się nogach i z ulgą skorzystała z pomocnego ramienia Jake'a. Bez słowa schroniła się w swoim pokoju.

Tutaj odnalazł ją po kwadransie Jake. Siedziała na podłodze oparta o łóżko, z podniesionymi kolanami, ściskając w ramionach poduszkę. Nie zapaliła światła, nie rozebrała się, nie zdjęła nawet pantofli.

- Rachel? - W jego głosie zabrzmiała nagła nutka, kiedy się nad nią pochylił. - Nic ci nie jest, kochanie?

Potrząsnęła głową, w ściśniętym gardle czuła hamowane łyzy.

- N-nic, tylko...

- Przeszłaś szok, wiem. - Wsunął ramię między jej plecy a łóżko, przytulił ją do piersi. Na dźwięk jej tłumionego łkania przygarbnał ją mocniej. - Płacz ci dobrze zrobi.

- A Michael?
- Co Michael?
- Płakał?

Jake zachichotał cicho.

- Nie. Biegał po pokoju, robiąc sobie wyrzuty, że cię nie potrafił ochronić przed szalejącym narkomanem.

Więc Michael też. Rachel zamknęła oczy w poczuciu klęski. Nawet teraz, kiedy już się wydawało, że wzięła swój los we własne ręce, mężczyźni traktują ją nadal jak bezradną dziewczynkę. Ta myśl osuszyła grożące łzy skuteczniej niż cokolwiek.

- Jak on się czuje? - zapytała.

Zdziwiło ją, że Michael się o nią jeszcze troszczy. Nigdy nie zapomni wyrazu jego twarzy, kiedy otworzył drzwi i zobaczył całującego ją Rona. Boże, czuje się taka winna! Taka niegodna jego chłopięcej galanterii. Ani mężowskiej troski Jake'a.

- O, Mike ma się dobrze. - Jake odchylił głowę, żeby zajrzeć jej w twarz. Odgarnął jej włosy z czoła. - Ale ty się chyba czujesz nie za bardzo. Chcesz o tym pomówić?

Nie zdołała powściągnąć dreszczu, który nią wstrząsnął.

- Tak strasznie się bałam, Jake.

- Wiem, dziecko.

Pocałował ją w skroń.

- Wstyd mi.

- Że się bałaś? To żaden wstyd. Najbardziej otrząskany policjant miałby duszę na ramieniu w takiej sytuacji.

- Nie o to chodzi. Bałam się o Michaela.

- O Michaela?

- Że go naraziłam na niebezpieczeństwo. Zamiast się koncentrować na szurniętym narkomanie powinnam była najpierw pomyśleć o jego bezpieczeństwie.

Jake się odchylił, popatrzył na nią z zastanowieniem.

- Głupstwa pleciesz, kochana. Znalazłaś się w sytuacji grożącej nieobliczalnymi konsekwencjami i poradziłaś sobie lepiej niż niejeden profesjonalista. A jeżeli już będziemy wytykać palcami, to nie jesteś jedyną osobą, która powinna była powstrzymać Michaela. Zawrócić go powinni byli przede wszystkim ci moi ludzie, którzy przywieźli Kevina. No, i Helen Falco. Więc jeśli chcesz się koniecznie bić w piersi, to bij się raczej w cudze.

Rachel widziała, jak kącik jego ust unosi się w tym charakterystycznym, leniwym uśmiešku, który napawał ją zawsze takim ciepłem. Z trudem odepchnęła pokusę wtulenia się głębiej w jego ramiona. Westchnęła nieszczęśliwa, że narażenie Michaela na niebezpieczeństwo nie jest jedyną rzeczą, jaką ma na sumieniu. Nie może Jake'owi o tym powiedzieć, ale fakt, że nie zasługuje na jego czułość. Jakże inaczej by się zachowywał, gdyby wiedział, co zaszło parę minut przed konfrontacją z Kevinem. Nawarzyła sobie piwa, nie ma co! Jedynym, czego teraz pragnęła, to zaszyć się w łóżku i czuć Jake'a leżącego obok. Gdyby mogła schronić się w jego objęciach, takich silnych, opiekuńczych, kochających. Zasnąć i obudzić się z uczuciem ulgi, że cały ten galimatias był tylko złym snem.

- No, uszy do góry! - Jake wsunął jej dłoń pod włosy.  
- Nie ty jedna się bałaś, Rachel. Kiedy usłyszałem, że Kevin trzyma ciebie i Michaela jako zakładników i że ma pistolet, słabo mi się zrobiło. Wszystko, co najcenniejsze w moim życiu, w rękach uzbrojonego szaleńca! - Wziął ją ponownie w objęcia. Z twarzą przy jej twarzy, szepnął: - Niebezpieczeństwo ukazuje sprawy we właściwej perspektywie. - Odczekał chwilę, nim zapytał: - Wiesz, o czym mówię, maleńka?

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie wydobyć dźwięku ze ściśniętego gardła. Wzdrygnęła się w duchu na myśl o swoim cynicznym zamiarze romansu dla odegrania się na Jake'u. Zacisnęła powieki, próbując odepchnąć wspomnienie swojej hańby. Łzy wypełniły jej nagle oczy, pociekły po twarzy.

- Nie płacz, maleńka. Wszystko się ułoży. - Przesunął wargi po jej brwiach, rzęsach, wilgotnych policzkach. Musnął kontur jej brody, zatrzymał się przy kącikach ust. - Tak dobrze cię czuć. Boże, jak ja się za tobą stęskniłem.

Przywarł do jej warg jak zgłodniały. Rachel odpowiedziała urwanym spazmem. Uchyliła usta robiąc dostęp jego językowi, ulegając fali gorąca, głodowi, który tak długo w sobie tłumiła. Wtuliła się w niego, pragnąc zdławić ból serca kryjący tajemnicę jej drobnego wiarołomstwa. Poczwała jego rękę na piersi, obejmującą jej wyniosłość, unosząc ją w górę, pieszczącą sutkę, która momentalnie stężała w twarde guzik. Z cichym bolesnym jękiem poddała się jego skupionej męskiej sile, która zdawała się roztopiać jej kobiecą miękkość. Jego usta, wilgotne i szalone, błądziły po jej szyi. Upajając się słodkim zapachem i smakiem jej delikatnej skóry, Jake się roznamiętnił, dotykał i pieścił ją w zapamiętaniu, brał w posiadanie to, co jego. Odpiął jej bluzkę, uniósł koronkowy stanik, kryjący jej ciało przed jego przemożną potrzebą. Przy padł do pulsującego koniuszka piersi, napawając się jej słodyczą, jakby nie miał się nigdy nasycić.

Przez kilka drogocennych minut udawało się Rachel odpychać trzeźwą myśl. Przestało istnieć cokolwiek prócz reagowania, czucia, upajania się do bólu. Jej zmysły oszalały, niepohamowana, wybuchowa siła popychała ją do spełnienia. Wstrząsana dreszczem, odrzuciła w tył głowę i wczepiła ręce we włosy Jake'a, przyciskając jego usta do piersi, ponaglając

go nieumyślnym, instynktownym kwileniem do tym gorętszych pieszczot. Była rozpalona i zdezorientowana, tak podniecona, że nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego nie wolno jej dopuścić do tego, czego łaknie jej ciało. Bo nie wolno jej się kochać z Jake'em. Nie wolno po tym, co zrobiła, czego omal nie zrobiła...

Zacisnęła zęby, czując jego dłoń pod spódniczką, usuwając niecierpliwym szarpnięciem zaporę fig, trafiającą przy akompaniamencie zduszonego dźwięku w gorące, soczyste zakole jej ud.

Uczyniwszy głęboki wdech, spróbowała się oswobodzić.

- Nie... Poczekaj...

Do Jake'a to nie dotarło.

- Chodź na łóżko...

- Jake, nie! - odepchnęła go, odwróciła się zasłaniając rękami twarz. - Ja nie mogę.

W nagłej ciszy przyspieszony oddech Jake'a zabrzmiał złowroźnie. Rachel wstrzymała dech, oczekując, że jego zawód przejawia się wybuchem. Pragnąc tego. Zasługuje, żeby ją zgromił, zwymyślał.

Lecz kiedy się odezwał, jego głos, choć drżący, był niebezpiecznie opanowany.

- Co to, u diabła, ma znaczyć, Rachel?

Nie wstała. Z pochyloną głową wpatrywała się w dłonie. Zwilżywszy wargi, wyszeptwała:

- Potrzebuję trochę czasu.

- Potrzebujesz czasu. - Stał nad nią na szeroko rozstawionych nogach, wodząc rękami po udach. Rachel prawie namacalnie czuła jego zawód. - Ile czasu, Rachel? Już blisko pół roku przemykam się po domu na palcach jak najemny fagas. Jak długo jeszcze?



Ból i poczucie winy dławili Rachel gardło.

- Nie wiem.

- Nie wiesz.

Pokręciła niemo głową.

- Nie wiesz - powtórzył głośniej.

Otarła palcami oba policzki, podniosła na niego oczy.

- Ty może nie rozumiesz, ale...

- Nie rozumiem? - Zmierzył ją gniewnym spojrzeniem - Święte słowa, Rachel. Ani w ząb nie rozumiem. - Jął krążyć po pokoju. - Prawdę mówiąc, zastanawiam się, czy ty sama rozumiesz - natarł nie starając się ściszyć głosu. - Nie powiesz mi, że nie miałaś ochoty pójść ze mną do łóżka. Znam cię, byłaś rozpalona do białości. Po osiemnastu latach powinienem chyba wiedzieć, kiedy jesteś podniecona. Jeszcze minuta, a roztopiłabyś się cała.

Doszedł do drzwi jej garderoby, obrócił się raptownie i uderzył pięścią w blat stojącej obok komódki, aż Rachel podskoczyła.

- Więc nie mów mi, że nie rozumiem. Coś mi się zdaje, że staram się za dużo zrozumieć. Może problem polega na tym, że jestem zbyt wyrozumiały. Może gdybym był mniej wyrozumiały, trochę bardziej wymagający, nie chodzilibyśmy dookoła siebie na palcach i nie żyli od pół roku jak brat z siostrą.

- Przepraszam - zdobyła się na szept.

- Przepraszasz? To wszystko? Jedno „przepraszam”.

- To... to nie takie proste.

Westchnął głęboko. Zabrzmiało to prawie jak jęk.

- Czy ty mnie chcesz doprowadzić do obłędu, kobieto?

- Patrzył chwilę na swoje ręce, nim podniósł na nią wzrok.

- Zupełnie już nie wiem, o co chodzi, Rachel.

Wciągnęła głęboko powietrze. Co może powiedzieć? Jaki

argument wysunąć na swoją obronę bez zdradzenia tego, co zrobiła? A może mu to wyznać? Wyznanie ulży jej sumieniu, ale czy nie kosztem Jake'a? Drżącą ręką odgarnęła z twarzy włosy. Wie jedno - nie może się z nim kochać, dopóki nie rozwikła płataniny uczuć, która o mało nie popchnęła jej do wiarołomstwa.

Podniosła się wolno z podłogi. Czyż nie zakrawa na ironię, że kiedy była bliska pokonania demona, który nie pozwalał jej się kochać z własnym mężem, uwikłała się w tę pajęczynę kłamstwa?

- Więc dobrze, Rachel.

Podniosła oczy na spotkanie jego wzroku. Jest taki zgnębiony. Serce jej się ścisnęło. Pragnęła go dotykać, ująć w dłonie jego silną twarz, widzieć, jak mięknie jej zacięty wyraz. Wiedziała, jaka czuła stałaby się ta twarz, gdyby poszukała jego uścisku, szepnęła, że jest gotowa podjąć swoje obowiązki małżeńskie.

- Ja się do ciebie więcej nie zbliżę. Następny ruch należy do ciebie, Rachel. Będziesz musiała sama zdecydować, kiedy zechcesz mi być znowu żoną. - Zniżył głos do szeptu. - Jeśli w ogóle zechcesz. Ja umywam ręce.

Michael, w swoim pokoju, zamknął oczy, przycisnął poduszkę silniej do brzucha. Zasypiał, kiedy tatuś zaczął wykrzykiwać. Słyszał każde słowo. Nic nie mógł na to poradzić. Żołądek mu się ścisnął jak zawsze, kiedy sprawy przybierały zły obrót. Nigdy nie przypuszczał, że usłyszy tatusia zwracającego się takim tonem do pani Rachel. Wiedział, że ją kocha ponad wszystko w świecie. Bardziej niż kogokolwiek.

Skulony w łóżku, nie mógł nie słyszeć jego podniesionego głosu. Nie powinien tego słuchać. To ich intymne sprawy.

I słowa, które ranią. Odrzucił poduszkę, sięgnął po dzinsy. Naciągnawszy je, wyszedł cicho z pokoju. Pójdzie pomajstrować przy łodzi. Lubił to miejsce. Jest tam cicho, spokojnie. Człowiek może naprawdę zebrać myśli.

Na korytarzu zatrzymał się chwilę, wpatrzony w swoje stopy. To wszystko jego wina. Nie doszłoby do tego, gdyby się nie zjawił ni stąd, ni zowąd w ich domu. Pani Rachel nigdy by się nie dowiedziała, że tatuś popełnił ten swój błąd. A tak rzeczy mają się coraz gorzej. Tutaj pani Rachel odmawia prawowitemu mężowi, a nie dawniej niż po południu pozwalała się ośliniać temu pajacowi Campbellowi. Michael zacisnął z oburzenia wargi, wsunął ręce głębiej w kieszenie. Szczęście, że to on, a nie tatuś wszedł w tym momencie. Na parę szalonych sekund stanął mu przed oczami obraz twardej pięści Jake'a lądującej na gładkiej szczęce Campbella, kolana trafiającego tam, gdzie to najbardziej boli.

Wyprostował się szybko, bo z sypialni pani Rachel wyszedł nagle tatuś. Zatrzymał się zaskoczony, ale nic nie powiedział. Zamknawszy cicho drzwi, objął Michaela ramieniem i poprowadził w kierunku jego pokoju.

- Pewnie słyszałeś coś, Mike.

- Tak, tato. - Michael wyciągał nogi, żeby dotrzymać kroku Jake'owi. - Nie chciałem słuchać, to nie moje sprawy. Pomyślałem, że pomajstruję trochę przy łodzi.

Jake ścisnął delikatnie bark syna.

- Przykro mi, jeśli cię zgorszyliśmy. Małżeństwa mają takie swoje wzloty i upadki, a my z Rachel nie stanowimy wyjątku. Zdarzało się to już przedtem i pewnie zdarzy się jeszcze nieraz.

- No-o! Chciałem powiedzieć, tak, tato.

Znaleźli się przy drzwiach pokoju Michaela, ale chłopiec

nie wchodził do środka. Jake oparł się o framugę, popatrzył na niego.

- Uszy do góry, synu. Powinieneś się czuć szczęśliwy. Ja nie mógłbym być z ciebie bardziej dumny. Jutro w szkole twoje imię będzie na ustach wszystkich po dzisiejszym dzienniku telewizyjnym. Jesteś bohaterem.

- Trudno, żebym się czuł szczęśliwy, jeśli żyję w strachu, że pani Rachel może odejść.

Z zaskoczenia, Jake'owi zabrakło słów. Po chwili ujął Michaela za ramię i delikatnie popchnął do pokoju. Chłopiec usiadł na łóżku, sięgnął po poduszkę, przycisnął ją ramionami.

- Posłuchaj, Mike. Skłamałbym twierdząc, że wszystko się dobrze układa między Rachel a mną. Nie układa się. Musimy... Rachel musi przetrwać pewne rzeczy. Musi dojść ze sobą do ładu. Rozumiesz?

Michael kiwnął bezgłośnie głową, obracając wzrok ku akwariom. Niby rozumiał. Nie tę historię z dumnym Ronem Cambellem, bo za żadne skarby nie zrozumie, jak pani Rachel mogła spojrzeć na tego kretyna, kiedy tutaj ubóstwia ją mężczyzna taki jak Jake McAdam. Ale obawiał się, że rozumie aż za dobrze, w czym naprawdę kryje się problem.

- Nie wiem, jak to się skończy, Mike. Kocham Rachel, myślę, że nie masz co do tego wątpliwości. Ale jeśli ona nie jest ze mną szczęśliwa, to będę się musiał z tym pogodzić.

„Byłaby szczęśliwa, gdybym ja się tu nie zjawił”.

Świadomość tego legła Michaelowi kamieniem na żołądku. Przycisnął poduszkę silniej do brzucha, wiedząc, co będzie musiał zrobić. Podniósł wzrok, żeby się przyjrzeć twarzy mężczyzny, który go spłodził. Wiedział, jakie to będzie ciężkie. Najtrudniejsza rzecz w jego życiu. Trudniejsza nawet niż wyruszenie z Des Moines na poszukiwanie nieznanego ojca.

- Mike? Co ci jest? Odezwij się?
- Myślę, że nigdy nie zrozumieję kobiet, tato.

Jake zachichotał cicho.

- Nie ty jeden.
- Pani Rachel ma wszystko. Rodzinę, przyjaciół, piękny dom w miłym mieście, pracę, którą lubi... Męża, który się nią opiekuje. Dlaczego nie jest szczęśliwa?

- Żebym to ja wiedział, Mike. - Jake się zasepił. - Próbuję to zrozumieć.

- Ja też o tym dużo myślę.
  - Ta-ak?
  - Może pani Rachel chce się czuć... jakby to powiedzieć... kobietą wyzwoloną? Wzięła teraz tę pracę, może uważa, że była zawsze za bardzo... rozpieszczana, rozumiesz?
- Zawahał się, czekając, modląc się, żeby tatuś potwierdził, że utrafił w sedno tego, co gnębi panią Rachel. Ponieważ Jake milczał, Michael podjął: - Nie twierdzę, że to źle. Z drugiej strony babcia Dee nigdy nie mogła przeboleć, że dziadek umarł tak młodo. Wciąż powtarzała starą śpiewkę o tym, jak trudno o dobrego mężczyznę. - Przerwał, roześmiał się zakłopotany, wtórując śmieszkowi Jake'a. - Więc czego kobiety właściwie chcą, tato? Babcia Dee by myślała, że znalazła się w niebie, mając to, co pani Rachel.

Jake, nie odpowiadając, wpatrywał się w akwarium.

- Tato?
- Hm? Może jest trochę racji w tym, co mówisz, Mike. Rachel zdaje się nie życzy sobie, żeby się nią opiekować.
- Nie chciałbym, żeby to wyglądało na wymądrzanie się, ale przestałoby jej to pewnie przeszkadzać, gdyby była przez jakiś czas zdana na opiekę społeczną, musiała żyć na bonach żywnościowych.

Jake się roześmiał.

- Nie wątpię w to. Tylko że Rachel nie musiałyby sobie łamać głowy, skąd wziąć na jedzenie i mieszkanie. Ma dyplom uniwersytecki i ma dwie przedsiębiorcze, doskonale ustawione siostry. Nie, Rachel poradziłyby sobie doskonale beze mnie.

Michael popatrzył na chmurną twarz Jake'a.

- Tak się zastanawiam, tato. Z tego, co mówisz, dziwne, że kobiety chcą w ogóle wychodzić za męża.

- Czy ja wiem.

Przez chwilę ojciec i syn rozważali w milczeniu stwierdzenie Michaela.

- Tak jak ja to widzę - powiedział w końcu z namysłem Michael - to trudna rzecz dla mężczyzny kochać kobietę. Jeśli się o nią troszczy, to ona uważa, że ją krępuje. Jeśli ją zaniedbuje, to gotowa go rzucić.

- Można to tak ująć.

- Yhm. Bo kobiety mają teraz dużą swobodę. Wystarczy, żeby mężczyzna popełnił jeden poważniejszy błąd, choćby raz, a może to oznaczać koniec.

- No...

- Nie wiem, czy ja bym mógł żyć w takim ustawicznym napięciu, tato.

Jake zdobył się na uśmiech.

- Czas to pokaże, synu.

Michael wyciągnął się na łóżku, korzystając, że Jake wstał. Rozmowa wyjaśniła przynajmniej jedną rzecz. To, co usłyszał, to tylko czubek góry lodowej. Nie ulega wątpliwości, że nad małżeństwem tatusia zawisła gradowa chmura. On wychodzi ze skóry, żeby przychylić pani Rachel nieba, a ona jest wciąż nieszczęśliwa. Przyczyną może być tylko on,

Michael. Pragnął czuć do niej złość, wymyślać jej, aż by pojęła, że wszystko mogłoby się ułożyć, gdyby go tylko pokochała tak, jak on ją pokochał. Bo ją pokochał. Kocha ją prawie tak jak tatusia. Wsunął się z westchnieniem pod koc. Wiedział, że to marzenie ściętej głowy. Będzie musiał zniknąć z ich życia.

Jake zatrzymał się przy drzwiach.

- Dobranoc, synu. Wszystko się ułoży, zobaczysz.
- Jasne, tato.

Po wyjściu Jake'a, Michael przewrócił się na bok i wpatrzył w akwarium. Szkoda, że nie będzie znał tatusia dłużej. Każdy chłopak uważałby się za urodzonego pod szczęśliwą gwiazdą, mając takiego ojca jak Jake McAdam. A pani Rachel byłaby wymarzoną mamą. Przypomniawszy sobie z żalem rojenia i plany, jakie snuł leżąc w tym łóżku, swoim łóżku. Gardło mu się ścisnęło. Wiedział teraz, że nigdy się nie ziszcza. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Nie pojedzie z tatusiem do Miami na mecz Delfinów. Nie zobaczy dumy na jego twarzy, kiedy będzie zwyciężał w międzyszkolnych zawodach pływackich. Odchodząc teraz, tak jak musi, nie skończy nawet kursu letniego i nie zobaczy uśmiechu tatusia na widok tych dwóch piątek i jednej czwórki plus na świadectwie.

Rany! Za stary jest, żeby płakać.

Z bólem w piersi, z drżącą dolną wargą, przyglądał się złotym rybkom, dopóki oczu nie zaćmiły mu łzy.

Następnego dnia wyrwał Rachel ze snu dzwonek. Macając ślepo w poszukiwaniu budzika, straciła z szafki nocnej zdjęcie Scottiego, nim się zorientowała, że to telefon. Kiedy odebrała, Jake już rozmawiał. Dzwoniono z jego biura, więc Rachel chciała odłożyć słuchawkę, kiedy jej ucha doszło imię

Scottiego. Poderwała się na łóżku, przyciskając słuchawkę silniej do ucha, nagle zupełnie wytrzęzwiona.

Jake rzucał szybkie pytania.

- Kiedy nadeszła wiadomość?

- Przed chwilą, szefie. Nie ma dziesięciu minut. Jest jeszcze coś...

Rachel rozpoznała głos dyżurnej, Lulu Sissons. Słuchała z zapartym tchem.

- Chłopiec ma jakieś sześć lat, blond włoski. Nie odzyskał przytomności od momentu wypadku, więc nic więcej nie wie.

Nie odzyskał przytomności! Rachel, wstrząśnięta, ścisnęła do bólu słuchawkę.

- Mówisz, że facet, który go wiozł, jest notowany?

- O, tak. Ma notowań na dobry metr. Głównie wykroczenia seksualne.

Rachel przyłożyła dłoń do ust.

- Gdzie jest ten chłopiec?

- W Doctor's Hospital w Orlando.

- Dziękuję, Lulu. Będę w biurze za pół godziny.

Nim Jake odłożył słuchawkę, Rachel wyskoczyła z łóżka i biegła do jego pokoju. Kiedy otworzyła drzwi, przerzuciła ręcznik przez głowę, żeby wytrzeć plecy. Był jeszcze mokry spod prysznic.

Widok Jake'a zawsze przyprawiał ją o miękkość w nogach. Był urodziwym mężczyzną, o długich kończynach i silnej muskulaturze. W wieku czterdziestu dwóch lat znajdował się w lepszej formie niż wielu z jego ludzi o dziesięć lat młodszych. Piers pokrywały mu gęste włosy, schodzące wąskim pasemkiem przez płaski brzuch do drugiego bujnego zgęszczenia u nasady członka.



Nie mogąc oderwać oczu, Rachel poczuła gorąco rumieńca oblewającego jej policzki. Słowa, z którymi weszła, uwięzły jej w gardle.

Jake, mierząc ją ironicznym spojrzeniem, zatrzymał ręcznik niedbale na karku.

- Podoba ci się?

Siłą woli podniosła wzrok ku jego twarzy.

- Słyszałam telefon Lulu - powiedziała zdławionym głosem. - Jadę z tobą.

- Nie.

Powrócił do wycierania się.

- Jadę.

Przyglądając się, jak trze energicznie ramiona, piersi, ręce, brzuch, uda, poczuła raptowny przypływ głodu seksualnego. Brakowało jej tego, uświadomiła sobie. Jak mogła się rozmyślnie pozbawić przyjemności oglądania Jake'a? Świeżo z kąpieli, wilgotny i wyzywająco męski, jest tak nieodparcie pociągający. Zawsze śmiał się w takich razach z jej płomiennej reakcji. Kochali się często, kiedy wychodził spod prysznic, a ona budziła się z półsnu, rozleniwiona i rozgrzana, z miejsca podniecona. Jej wzrok pobiegł ku łóżku. Pościel była potem niemiłosiernie skotłowana i ona, próbując ją doprowadzić do porządku, gderała na niego czasami. Nie robiła tego oczywiście serio, a Jake dobrze o tym wiedział.

Teraz sam ściele swoje łóżko.

Rzut oka na niego uświadomił jej, że Jake zgadł dokładnie, o czym myśli. Przywołała się do porządku. Nie przyszła tu, żeby się z nim kochać.

- Jadę z tobą, Jake. Minęły czasy, kiedy mogłeś mnie pogłaskać po główce i zostawić tu jak małą dziewczynkę. Scottie

jest moim synem. Jako matka mam takie samo prawo jechać do Orlando jak ty.

- To dla twojego własnego dobra...

- Przestań! - Zatkała dłońmi uszy. - Nie chcę tego słuchać. Oświadczam ci po raz ostatni. Nie życzę sobie, żebyś mnie trzymał pod kloszem. Muszę zobaczyć tego chłopca w szpitalu. Modłę się, żeby to był Scottie. Jeśli się okaże...

Jake, owinąwszy się wpół ręcznikiem, podszedł do niej.

- Dobrze, wezmę cię.

Chciał ją objąć, ale zaplotła ramiona na piersi.

- Za ile chcesz jechać?

- Jak najprędzej. - Rzucił okiem na zegarek na nocnym stoliku. - Powiedzmy, za pół godziny?

- Dobrze, będę gotowa.

# Milczenie nocy

## 12

Rachel nie miała zbyt wielkiej nadziei, że chłopiec w Orlando okaże się Scottiem, ale nie opuszczała jej myśl, że jest ranny i leży w szpitalu. Nawet jeśli jego obrażenia cieleśne są niegroźne, co z tymi innymi obrażeniami? Jego porywacz był wielokrotnie zatrzymywany za wykroczenia seksualne. Siłą woli odpychała strach, czuła jednak jego nieustępliwą mroczną obecność. Mój Boże, co kieruje takimi osobnikami? Schyliła głowę, potarła skronie. Jak rodzice mają chronić dzieci, skoro na świecie jest tyle zła?

Jake zmierzył ją zatroskanym spojrzeniem.

- Dobrze się czujesz?
- Oczywiście.
- Możemy się zatrzymać na kawę, jeśli chcesz.
- Nie. - Potrząsnęła głową. - Nie traćmy czasu. Im szybciej się dowiemy...

Jej życie tak się raptem skomplikowało. Wczoraj przed zaśnięciem postanowiła je w miarę możliwości uładzić. Zaczynając od Rona Campbella. Musi oczyścić aureę między nimi. Wyjaśnienie będzie trudne i niezręczne, jednakże jest nie-

zbędne. Cóż, Ron pozostanie nadal jej szefem, ale ich stosunki ograniczą się od tej chwili do spraw służbowych. Będzie mu to nie w smak, ale to już jego problem. Mimo woli obróciła na palcu grubą złotą obrączkę. Nie sposób zaprzeczyć, że zachowywała się w stosunku do niego dwuznacznie. Prawda, że Ronowi nie trzeba było zbytniej zachęty, ale jednym czy drugim słowem mogła go w każdej chwili osadzić. Czuła się taka zawstydzona, taka winna. Nie czułaby się bardziej upadłą kobietą, gdyby ją skazano na noszenie sukni z wyhaftowanym na piersi szkarłatnym piętnem cudzołóstwa, jak w dawnych czasach.

A Michael? Rozpaczliwie pragnęła mu wszystko wyjaśnić. Planowała, że z nim porozmawia dzisiaj w drodze do szkoły, wiedziała jednak, że nie ma wytłumaczenia na to, czego był świadkiem. Liczyła tylko, że się okaże bardziej wyrozumiały, niż byliby na jego miejscu inni. Pamiętała jego wielkoduszną pobłażliwość wobec kolegów, których sprowadzał do domu. Czy jego wyrozumiałość rozciągnie się na występna macochę?

- O czym myślisz?

Zawahała się chwilę.

- O Michaelu.

- Nie martw się, pod opieką Jackie Kendall nic mu się nie stanie.

- Nie o to chodzi. Wczoraj zaszły... rzeczy, o których muszę z nim porozmawiać.

- Zapomnij o tym, co było wczoraj, Rachel. Ten chłopak...

- Nie miałam na myśli Kevina.

- Więc co? Zbliżyliście się bardzo z Michaeliem. Nie śmiałem marzyć, że się tak ze sobą zżyjecie. Nic tego nie zmieni.

Michael cię lubi, podziwia. Prawdę mówiąc, myślę, że w głębi serca chciałby widzieć w tobie prawdziwą matkę.

„O, Boże! Nie po tym!”

Oczy napełniły jej się łzami. Odwróciła szybko głowę, żeby je ukryć przed Jake'em.

- Ja też go lubię.

„Więcej, kocham. I modłę się, żeby móc mu to powiedzieć i żeby mi nie odrzucił tego wyznania w twarz”.

- Mogę cię o coś zapytać, Jake?

Popatrzył na nią z uśmiechem.

- Pytaj. Tylko pamiętaj, że jedziemy sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

- N-no, to coś... na co może nie będziesz chciał...

- Wal śmiało!

- Spróbuję.

- Czy to ma coś wspólnego z Ronem Campbellem?

Spojrzała na niego, zaskoczona.

- Z Ronem Campbellem? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Pomyślałem, że może zdecydowałaś się zamienić stercznego prowincjonalnego szeryfa na prężnego menedżera po ekskluzywnym uniwersytecie.

- To nie jest zabawne, Jake.

- Chyba nie przypuszczasz, że mi do śmiechu, kiedy taki gładki bubek próbuje mi odbić żonę.

- Więc czemu to mówisz?

Wzruszył ramionami.

- Musisz przyznać, że nasze pożycie nie układało się ostatnio po różach?

- Trudno zaprzeczyć.

- Więc czy to przygrywka do prośby o rozwód?

- O rozwód? Nie-e!

Popatrzył jej w oczy.

- Więc co?

Spuściła wzrok, obróciła na palcu obrączkę.

- Chciałam cię zapytać o tamtą noc.

- Jaka noc?

- Tę noc w Miami. Piętnaście lat temu... kiedy byłeś... z tą kobietą.

Zaklął cicho, poprawił się za kierownicą.

- Powiedziałem ci, Rachel. To nie miało żadnego znaczenia. Zresztą to było tak dawno. I nie miało naprawdę znaczenia.

- Znowu to samo, Jake.

- Co to samo?

- Zbywasz mnie. Kryjesz się za nic nie mówiącymi frazesami. Twierdzisz, że to nie miało żadnego znaczenia, więc nie warto do tego wracać, mimo że w wyniku tej nocy urodził się Michael. Chcesz mnie chronić, tak? Nie ścierpię tego! Uważasz, że jestem za słaba, żeby znieść prawdę?

- Nic podobnego.

- Wobec tego chronisz samego siebie.

- Nie, nie!

- Więc co?

Przesunął dłonią po ustach, po brodzie.

- Nie chcę cię ranić, Rachel.

- Rani mnie każda myśl o tym.

Posłał jej udręczone spojrzenie.

- Wstyd mi.

- Więc czemu to zrobiłeś?

Z każdego słowa Rachel przebijał ból.

- To trudno wytłumaczyć. - Ponieważ nie zareagowała i milczenie się przeciągało, zrobił głęboki wdech i podjął:

- Czułem się samotny, to był jeden z powodów. Wróciłaś do Tidewater i wiedziałem, że nosisz się z myślą rzucenia mnie.

- Poszukał jej oczu i dostrzegł w nich odbity swój własny ból tamtego czasu. - Nie mówiłem ci tego dotąd, ale ja się nie czułem nigdy... pewny ciebie. Twierdziłaś, że mnie kochasz, ale ja nigdy nie byłem ciebie pewny.

Otworzyła usta z zaskoczenia.

- Ale dlaczego?

- Byłem nikim, kiedy się pobraliśmy. Nie miałem pozycji społecznej, nie pochodziłem z szanowanej rodziny tak jak ty. Nie miałem rodziców, rodzeństwa, wujów, ciotek, krewnych. Byłem zdemobilizowanym żołnierzem bez domu i bez centa przy duszy, nikim. Ale zobaczyłem cię raz i wiedziałem, że jesteś tą jedyną kobietą mego życia.

- Czułam się zawsze bardzo szczęśliwa - odparła cicho.

- Czułaś się szczęśliwa? Ja tego nie wiedziałem.

- Może powinniśmy byli dawno przeprowadzić tę rozmowę. Jake westchnął ciężko. Obnażanie duszy nie przychodziło mu nigdy łatwo.

- Czułaś się szczęśliwa dlatego, że cię kocham, czy dlatego, że ci mogę zapewnić różne rzeczy?

Rachel się zmarszczyła.

- Jakie rzeczy?

- Dom w eleganckiej dzielnicy, prestiżowe stanowisko, dochód wyższy od przeciętnego. No, i w końcu dziecko.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Chyba nie myślisz tego naprawdę.

Wzruszył ramionami.

- Myślałem tamtego wieczoru. A przynajmniej obawiałem się tego. Żyliśmy wtedy jeszcze dosyć skromnie. I ty mnie zostawiłaś - przypomniał.

- Czułam się zagubiona. Potrzebowałam czasu na przemyślenie spraw.

- Wiem, mówiłaś.

- Codziennie, kiedy byłeś w pracy, umierałam ze strachu, że cię zabiją.

- Nie odchodzi się od kogoś dlatego, że się go za bardzo kocha. Odchodzi się dlatego, że się nie dość kocha. Twoje tłumaczenie nie wydawało mi się wówczas zbyt sensowne. Byłem w wyjątkowo podłym nastroju tego wieczoru, kiedy przysiadła się do mnie w barze Anne-Marie. Ty mówiłaś w kółko o tym, że nie możesz zająć w ciąży i że powinienem zmienić pracę. Gdybym się nie zgodził rzucić brygady antynarkotykowej, a ty byś w końcu nie zaszła w ciąży, czy byliśmy jeszcze razem, Rachel?

- Wróciłam, zanim doszło do jednego i do drugiego, prawda?

- Tak. A ja poprzysiągłem sobie, że dam ci, czego pragniesz.

- Po zakosztowaniu względów Anne-Marie?

- Ostrzegałem cię, że to nie takie proste. - Odwrócił na chwilę głowę do okna po swojej stronie. - Upiłem się tego wieczoru. Czułem się taki przegrany. Nie potrafiłem ci dać dziecka, nienawidziłaś mojego zajęcia, kłóciliśmy się bez przerwy. Zagrożone było wszystko, co stanowiło podstawę mego życia. Nie potrafię ci powiedzieć, jak strasznie się bałem, że cię utracię na zawsze, że nigdy nie wrócisz. A Anne-Marie ofiarowała mi... ofiarowała współczucie, ślepe zrozumienie bez żadnych zobowiązań. Tak po prostu. Musisz zrozumieć, że moje morale było wówczas diablo podkopane. W tępych pijanym widzie wydawało się to cholernie obiecującym lekarstwem.

Popatrzył Rachel poważnie w oczy.



- Wiem, to nie usprawiedliwienie. Nie traktuję tego tak. Wierz mi, niczego w życiu tak nie żałuję, jak tego, że wyszedłem wtedy z tego baru z Anne-Marie d'Angelo.

Wierzyła mu. Teraz wierzyła. Po tym, jak sama była bliska podobnego szaleństwa z Ronem Campbellem. Odchyliła głowę na oparcie, zamknęła oczy. Zastanowiło ją coś w sposobie, w jaki Jake to opowiedział. Czyżby nadal gnębiła go ta sama obawa, co w owych dniach? Czyżby ona przez te wszystkie lata małżeństwa nie potrafiła zaspokoić jego najgłębszych potrzeb? Czyżby miłość, jaką mu okazywała, była niewystarczająca do przezwyciężenia tych jego niepokojów? Czy dlatego jest dla niej taki nieprzejednany, tak się boi pozwolić jej szukać własnej tożsamości? Pozwolić być nie tylko jego żoną, lecz stać się niezależną indywidualnością?

Obróciła oczy do okna po prawej stronie, ślepa na cuda tropikalnego krajobrazu. Czy nie jest dla nich jeszcze za późno?

Chłopiec w Orlando miał sześć lat, blond włoski i szare oczy. Ale nie był Scottiem.

Gorzko zawiedziona Rachel ścisnęła poręcz szpitalnego łóżka. Pielęgniarka, która ich wprowadziła, przyglądała się niespokojnie, czy kruche opanowanie Rachel nie pryśnie lada chwila. Stojący obok Jake był dziwnie napięty, zbyt cichy. Rachel podniosła wzrok i ujrzała na jego twarzy rozpacz i ból równe jej własnym. Poszukała jego dłoni, splotła z nim palce i nagle, jakby cudem, jej ból stał się znośniejszy.

Jamie Snowden był chudy, wydawał się żałośnie mały w śnieżnobiałej pościeli szpitalnej. Prawą rękę miał w gipsie, na twarzy kilka zadrapań, ale poza tym nic mu się nie stało, jak poinformowała pielęgniarka. Poruszył się, wbił trwożne spojrzenie w Rachel.

- Zna pani moją mamusię?

- Nie, kochanie, ale ona już tu leci. Zobaczysz ją, jak tylko samolot wyląduje w Orlando.

Chociaż serce jej się rwało, żeby go utulić, Rachel nie była pewna, czy chłopiec przyjąłby w tej chwili dobrze pieśczętę nieznaną. Nie ustalono jeszcze, co go spotkało z ręki porywacza, ale przez te kilka minut, które spędzili w jego pokoju, ujawnił się boleśnie jego lęk przed Jake'em.

- To jest Orlando?

- Tak, to miasto nazywa się Orlando.

- Ja mieszkam w Atlancie. Chcę do domu.

Rachel zbliżyła się i odgarnęła mu ostrożnie włoski z czoła.

- Pojedziesz do domu.

- Kiedy?

- Niedługo.

Dla Jamiego wszystko zakończy się szczęśliwie. Łzy zamgłiły Rachel zarys jego małego ciała pod białą szpitalnej pościeli, gdy ścisnęła mu rączkę. Chłopiec został uprowadzony z pasażu handlowego w krótkiej chwili, gdy matka spuściła go z oka, pobiegłszy za jego młodszym bratkiem, który jął uciekać w przeciwną stronę. Wydarzyło się to blisko czterdzieści osiem godzin temu. Tyle czasu trzeba było, żeby system policyjny rozesłał jego dane po kraju, i stąd wynikła niejasność co do jego tożsamości, kiedy wydobyto go z auta po wypadku. Nim Rachel i Jake dojechali do Orlando, jego rodzice zostali zawiadomieni i już lecieli z Atlanty.

- Co będzie z tym człowiekiem, który go porwał? - zapytała Rachel Jake'a, szukając w torebce okularów przeciwsłonecznych, kiedy wyszli z ciemnego wnętrza szpitalnego w jaskrawy blask florydzkiego słońca.

- Zginął w wypadku - odparł mierząc ją przeciągłym spojrzeniem.

- O!

Niepewną dłonią założyła okulary. Jake, czując, że cała drży, wziął ją pod ramię i poprowadził w kierunku auta.

- Ale gdyby żył, odpowiadałby przed sądem z kilku różnych paragrafów.

- A zostałby skazany?

Zatrzymał się przy samochodzie.

- Bezwzględnie. Porwanie to ciężkie przestępstwo. Wzięto by pod uwagę jego poprzednią karalność za pedofilię i zastosowano pewnie najwyższy wymiar kary. To znaczy, dożywocie bez prawa zwolnienia warunkowego.

- To dobrze. - Rachel patrzyła nad morzem aut na lekko chwiejące się czubki palm otaczających parking. - Dobrze - powtórzyła. - Gardzę tym człowiekiem - powiedziała cichym, załamującym się głosem. - Brzydzę się nim. To kreatura niegodna chodzić po tej ziemi i oglądać niewinne dzieci. Powinien się budzić codziennie w śmiertelnym przerażeniu, że go dzisiaj dostaniecie i spotka go należyta kara. Zasługuje, żeby zginąć pod kołami ciężarówki. Żeby dostać nieuleczalnej choroby i umierać w męczarniach. Żeby skończyć w piekle.

- Wiem, kochanie. Rozumiem.

Przyciągnął ją i przez dłuższy czas kołysał delikatnie w ramionach, czując wstrząsający jej ciałem dreszcz, słysząc rozdzierający serce szloch. Wiedział, że Rachel mówi o człowieku, który uprowadził Scottiego. W głębi serca podzielał jej gniew, jej nienawiść, jej frustrację. Rad był, że daje upust swemu bólowi, lękowi, bezsilności. Gdyby dzielili te uczucia od chwili zniknięcia Scottiego, może łatwiej byłoby im obojgu znieść stratę.

- Lepiej już? - spytał, gdy jej szloch rozpląnął się w kilku cichych pociągnięciach nosa.

Kiwnęła głową, ocierając policzek o jego koszulę. Jake ujął jej twarz w obie dłonie i, nie zostawiając jej czasu na protesty, pocałował ją w usta. Raz, mocno. Potem otworzył drzwiczki auta i pomógł jej wsiąść. Wsiadł sam, zapalił silnik. Pęd zimnego powietrza zaczął chłodzić rozgrzane wnętrze.

- Głodna jesteś?

Zebrała machinalnie pyłek ze swoich granatowych spodni.

- Niespecjalnie. - Podczas lekkiego lunchu, jaki Jake zamówił jej w szpitalnej kafeterii, podłubała tylko trochę na talerzu. Od tej pory minęło jednak parę godzin. - Ale ty zjedz. Możemy się zatrzymać gdzieś przy autostradzie.

- Wiesz, co? - Obrócił się do niej, położył rękę na oparciu. Zanurzywszy palce w jej włosach, jął się bawić ich jedwabistymi splotami. - Nim wyjedziemy na autostradę, zrobi się ciemno. Potem czekają nas jeszcze cztery godziny jazdy. Miałaś ciężki dzień, ja też. - Zniżył piśszczotliwie głos. - Więc może pójdziemy gdzieś na dobrą kolację, a potem znajdziemy motel, wyśpimy się porządnie i wrócimy rano.

Spojrzał w poważne oczy Rachel. Makijaż rozmazał jej się od płaczu, usta zrobiły miękkie i bezbronne. Skóra z tyłu jej głowy była gładka i delikatna jak u niemowlęcia. Minęło wiele czasu, odkąd Jake czuł, że może tak ją pieścić. Pożądanie owładnęło nim z siłą, która go zaskoczyła. Cofnął rękę, obrócił się do przodu i, patrząc przed siebie, czekał na jej decyzję. Rachel siedziała nieruchomo, wpatrzona w daleką palmę.

- Musiałbyś zadzwonić do Michaela. Będzie się niepokoił... co z tym chłopcem.

- Oczywiście. - Włączył niezbyt pewną dłonią bieg, nacisnął gaz, aż silnik zagrał. - Zapnij pas.

Rachel od dłuższej chwili trwała nieruchomo w łazience przed lustrem. Przedtem stała pod ciepłym prysznicem tak długo, aż Jake spytał przez drzwi, czy się dobrze czuje. Nie czuła się dobrze. Nie mogła się pozbierać od momentu, gdy w szpitalu spojrzała w oczy sześciolatniego Jamiego Snowdena i zamiast ufności i ciekawości zobaczyła w nich strach i niepewność. Rozumiała, że podświadomie utożsamia Jamiego ze Scottiem, ale inną rzeczą było zdać sobie sprawę z irracjonalności takiego utożsamienia, a inną wydobyć się spod jego paraliżującego działania.

Czuła się taka zmęczona. Przy kolacji pili wino. Wypili dużo. Rachel miała nadzieję, że otepiający wpływ alkoholu pozwoli jej łatwiej zasnąć. Nie pamiętała, od jak dawna nie przespała całej nocy głębokim snem bez majaków. Byłby jeszcze inny sposób zapomnienia...

Poprawiła ręcznik owinięty wokół ciała na kształt sarongu. Pamiętała wczorajszą zapowiedź Jake'a, że nie zbliży się do niej więcej z własnej inicjatywy. To ona musi uczynić pierwszy krok, jeśli będzie się chciała z nim kochać. W pokoju są dwa podwójne łóżka, więc będą spali oddzielnie, jeśli ona nic nie powie. Ukryła twarz w dłoniach. Dobry Boże, tak bardzo pragnie się zatracić w rozkoszy. A jeszcze bardziej pragnie czuć tej nocy przy sobie Jake'a, jego ciepło, jego siłę.

Usłyszała pukanie w drzwi łazienki.

- Wszystko w porządku?

Poprawiła ręcznik, przejrzała się jeszcze raz szybko w lustro, po czym otworzyła.

- W porządku.

Podał jej kieliszek z czymś różowym.

- Co to?
- Jeszcze trochę wina.
- Skąd je wzięłeś?

Oparty o framugę, popatrzył jej przeciągle w twarz.

- Wskoczyłem, kiedy się kapałaś.
- Hmm. - Wypiła łyk, wino było cierpkie i chłodne. - Do-

bre.

- Tego nie jestem pewien. Pospolity kalifornijski zinfandel, ale pomyślałem, że może będziesz po tym lepiej spała.

Zerknęła na osobne łóżka.

- Do twarzy ci w tym stroju - zauważył posyłając jej uśmiech znad kieliszka.

Przesunęła palcami po brzegu ręcznika założonego na pierśsiach.

- Mam tylko stanik i majtki, w których przyjechałam - wyjaśniła. - Wyprałam je, są mokre. Nie potrafiłabym ich nałożyć nie wypranych po kąpieli. Powinnam była pomyśleć o tym wcześniej, kupilibyśmy jakąś koszulkę czy...

- Ejże, ci-i. - Położył jej palec na ustach. - Przestań się przejmować takimi drobiazgami. Możesz śmiało przespać jedną noc... tak bez niczego. Prawdę mówiąc, ja zawsze uważałam, że najładniej wyglądasz bez niczego.

Ujęła go za przegub i zmierzyła przenikliwym spojrzeniem.

- Pijany jesteś?
- Nie, kochanie, tylko... rozmarzony. Bardzo, bardzo rozmarzony.

Pociągnęła następny solidny haust z kieliszka. Nie było to zbyt rozsądne, bo już jej się kręciło w głowie, ale ogarnęła ją nagle taka trema jak pannę młodą przed nocą poślubną.

- Może ty się teraz wykąpiesz?
  - Dobrze. - Cofnął się od framugi, posłał jej uśmiech.
- Wyrzej mi tymczasem łóżko.

Kiedy drzwi łazienki się za nim zamknęły i rozległ się szum wody, Rachel odwinęła wilgotny ręcznik i wsunęła się w jedno z łóżek. Skuliła się w kłębek, ściskając w objęciach dodatkową poduszkę. Nie będzie protestować, jeśli Jake zechce dzisiaj odegrać rolę pocieszyciela. Gotowa była chwycić się wszystkiego, byleby zapełnić pustkę, stłumić ból jeszcze jednego zawodu. Kto to może zrozumieć lepiej od Jake'a? Byłoby rzeczą najnaturalniejszą w świecie pozwolić mu się wziąć w ramiona. Dobrze jest wszystko, co nie pozwoli wyobrażeniom zmaltretowanego Jamiego Snowdena przemienić się w obraz Scottiego.

Zatrzymała stępione winem spojrzenie na smudze światła wydobywającego się spod drzwi łazienki. Monotonny szum wody, przypominający deszcz, sprowadzał senność. Jej członki stawały się ciężkie. Wyprostowała się trochę, odetchnęła głębiej, rozkoszując się dotknięciem gładkiej perkalowej pościeli na gołej skórze. Nie powinna była chyba pić tego ostatniego kieliszka.

„Pospiesz się, Jake...”

Rachel jęknęła cicho, odpychając obrazy przelatujące jej przed oczami w surrealistycznej sekwencji. Sen! Część jej mózgu to wiedziała, druga zareagowała mobilizacją energii, która by ją poderwała do biegu, bo nogi miała jak z ołowiu. Sprężyła ramiona, żeby podnieść ciężar kołdry, ale paraliżowało ją przerażenie, tonęła w bagnie bezimiennego koszmaru. Zacisnęła kurczowo powieki, żeby uniknąć momentu prawdy. Krzyknęła bezgłośnie. Nie chciała tego widzieć, ale w fatal-

nym, beznadziejnym poczuciu nieuniknionego wiedziała, że musi.

Usłyszała jego kochany głosik.

- Idę, Scottie, idę - jęknęła podrzucając gwałtownie głowę na poduszce.

Nogi sprężyły jej się w instynktownym zrywie do biegu, ale były jakby przyrośnięte do ziemi, unieruchomione tym samym ołowianym ciężarem, który przytłaczał jej całe ciało. Po policzkach spływały jej gorącym strumieniem łzy wzbierające pod powiekami. W przerażeniu wpatrywała się w czarny cień wiszący nad koślawą szopą. Dokoła stała woda, pieniała się gęsta, soczysta roślinność. Płatanina mrocznej, ponurej dżungli. Złowrogie miejsce, a w nim Scottie. Boi się, woła ją. Otworzyła usta, żeby mu odkrzyknąć.

Drgnęła obudzona własnym krzykiem, który rozdarł ciszę pokoju.

- Maleńka, maleńka, obudź się. Coś ci się śni.

Głos Jake'a wdarł się w jej koszmar. Uchwyciła się go jak liny ratunkowej, niosącej nadzieję ocalenia, wyzwolenia. Wstrząsana dreszczem, zarzuciła Jake'owi ramiona na szyję, ukryła twarz na jego piersi. Przez dudnienie własnego serca słyszała jego serce, bijące silnie, równo, znajomo.

- Och, Jake, Jake, to był Scottie. Słyszałam go. Słyszałam. Wołał mnie.

- Nie, kochanie - szepnął Jake gładząc jej włosy. - Cii, cii-i. Śniło ci się tylko.

Potrząsnęła w zapamiętaniu głową, ścisnęła go rozpaczliwie rękami.

- Nie, nie, to był Scottie. Jest w jakiejś szopie. Widziałam go. Widziałam, Jake. Widziałam.

Chwycił ją za ramiona, potrząsnął nią energicznie.



- Obudź się, Rachel. Wciąż ci się śni. Obudź się, kochana.  
- Nie! - Spróbowała się wyswobodzić wrywając bezsilnie ręce. - Widziałam go. Naprawdę widziałam. To był Scottie!

Jake uwięził ją ciasno w ramionach i nie puszczał, choć się ciągle wrywała, powtarzając w kółko imię Scottiego. Szeptał jej w ucho kojące słowa, masował plecy długimi uspokajającymi ruchami. Wyczuł moment, w którym się w pełni obudziła. Ucichła, jej spazmatyczny oddech zelżał. Przez chwilę trwała nieruchomo w jego objęciach, po czym się lekko poruszyła, przybierając wygodniejszą pozycję na jego piersi.

- Przepraszam - powiedziała zdławionym szeptem.

Jake pocałował ją we włosy.

- Miałaś koszmarne sen, maleńka. Ale to już minęło.

Przesunęła dłonią po jego piersi, zanurzając palce w znajome sprężyste włosy.

- To było takie realne.

Oparł się o wezglowie łóżka, przyciągnął ją wyżej, ułożył wygodniej w ramionach. Żadne z nich nie pamiętało w tej chwili o swojej nagości.

- Ulżyłoby ci, gdybyś mi o tym opowiedziała?

- Miałam wiele koszmarnych snów od zniknięcia Scottiego, ale ten się całkowicie różnił. - Przeszedł ją lekki dreszcz. - Był taki wyrazisty. Taki realny, Jake. To jedyne słowo, które do niego pasuje.

Wodziła wciąż palcami po jego piersi, na ramieniu czuła pieśczętę jego dłoni.

- Co w nim było takiego realnego?

- No, przede wszystkim miejsce. Nie wiem, jak moja wyobraźnia mogła odmalować taką okolicę. Była taka... taka przerażająca. Płatanina roślin, drzew... I woda, pełno stojącej czarnej wody.

- Jak na bagnach?

- Tak, jak na bagnach. A ja nigdy nie byłam na bagnach, Jake.

- Widziałas je na filmach, w telewizji.

Westchnęła.

- Pewnie tak. Ale ta szopka... - Przełknęła, zacisnęła oczy tłumiając nowy przypływ łez. - On jest w tej szopie. Wiem to, Jake.

- Kochanie, to był sen. Koszmar zrodzony z napięcia, bólu, wstrząsu wizyty w szpitalu, oglądania Jamiego Snowdena.

- Ujął jej twarz w dłonie, zmusił ją do spojrzenia na siebie:

- To się zdarza, Rachel. Może się wydawać niewytłumaczalne, nawet irracjonalne, ale to się zdarza.

- Zdarzało ci się coś takiego?

Zmienił się na twarzy, ale nie zwolnił uścisku.

- Owszem, miewałem koszmarnie sny w trakcie różnych spraw.

- O Scottiem także?

- Także.

- Ale czy miałeś kiedyś takie uczucie jak ja? Uczucie, że otrzymujesz znak?

- Nie.

Ukryła twarz na jego piersi.

- Wiesz, co jest w tym najbardziej niesamowite?

- Nie, co?

- Wstydzę się tej części.

- Powiedz mi. Umiem zachować sekret.

Wsunął jej dłoń pod włosy, uściśnął czule szyję. Rachel zamknęła oczy. Poczuła się podniesiona na duchu, bezpieczna. Związana z Jake'em ciepłym pierwotnej więzi kobiety z mężczyzną.

- Przez cały czas trzymałam się kurczowo myśli, że Scottie... że Scottie żyje... - Głos jej się na moment załamał. - Dopiero w ostatnich tygodniach zaczęłam jakby tracić nadzieję. Zaczęłam dopuszczać ewentualność, że może... może odszedł od nas, rozumiesz? Odszedł na zawsze. Że może nie zobaczę już nigdy mojego małego synka. - Przełknęła z trudem. - Wiem, pewnie się obruszysz na to, co teraz powiem. Rozumiem to, bo ty patrzysz trzeźwiej ode mnie na wiele rzeczy. Będziesz uważał, że to się mogło zdarzyć tylko w umyśle kobiety. Znasz o wiele lepiej świat, szczególnie świat przestępczy...

- Co ty mi usiłujesz powiedzieć, Rachel? - zapytał cierpliwie Jake.

- Że Scottie żyje.

- Oczywiście, to się rozumie samo przez się, kochanie. Dopóki nie mamy niezbitych dowodów, że jest inaczej, przyjmujemy, że żyje. Czy ja kiedykolwiek...?

- Nie, Jake. chcę powiedzieć, że ja to wiem. Musimy tylko odnaleźć to miejsce.

- Kochanie...

Odchyliła głowę, żeby mu spojrzeć w twarz.

- Wiedziałam, że tak zareagujesz, i nie mam o to pretensji. Ale musiałam ci to powiedzieć. Myśl sobie, co chcesz, ale ja to w głębi serca wiem.

Odgarnął kosmyk włosów, który jej przywarł do policzka.

- Dobrze, przyjmuję to do wiadomości. Wierzysz całym sercem, że nasz synek żyje.

- Tak. A już zaczynałam tracić nadzieję. - Zarumieniła się lekko pod jego spojrzeniem. - I jeszcze jedno, Jake.

- Co?

- Nie miałam zamiaru zasnąć, zanim wyjdiesz z łazienki.

Jake uśmiechnął się melancholijnie.

- Moja własna wina. Zinfandel zrobił swoje.

Popatrzyła na drugie łóżko. Pościel była nie ruszona, Jake w niej najwyraźniej nie spał. Natomiast na fotelu przy drzwiach leżała poduszka, na stoliku obok stała pusta butelka i pojedyncza szklanka. Z ukłuciem serca pojęła, że Jake wykończył samotnie wino.

- Natomiast na ciebie nie podziałał.

- Dla mnie trzeba by czegoś mocniejszego.

- Miałam zamiar na ciebie poczekać, ale...

- Dlaczego?

- Nie chciałam dzisiaj spać sama.

Ujął ją pod brodę, uniósł jej twarz do góry.

- Jeśli pójde z tobą do łóżka, Rachel, to będę chciał czegoś więcej niż tylko obok ciebie spać.

- Wiem.

- Jesteś pewna?

Spuściła wzrok na jego pierś, położyła na niej dłoń. Jego serce biło silnym, równym dudnieniem. Przesunęła wolno dłoń tam i z powrotem, napawając się przyjemnością, której sobie tak długo odmawiała. Zatrzymała palce na twardej męskiej sutce, po czym pochyliła spontanicznym ruchem głowę i pocałowała go w to miejsce.

Wciągnąwszy gwałtownie powietrze, Jake porwał ją w ramiona. Z westchnieniem unieruchomił ją na chwilę, jakby dla dania jej ostatniej szansy rozmyślenia się.

Ale Rachel była całkowicie owładnięta długo powściąganym głodem. Objęła go w pasie, ukryła twarz na jego szyi. Na brzuchu czuła twardy ucisk jego podniecenia, przy uchu dudnienie jego serca. Zdażyła zatopić szybkie spojrzenie w jego płonących oczach, gdy wplótł palce w jej włosy i uniósł jej głowę.

- Czekałem na to bardzo długo, Rachel. Pragnę cię aż do bólu. Jeśli ty nie pragniesz mnie tak samo, to ostatni moment, żeby się wycofać.

Przesunął wielkim palcem po jej dolnej wardze, palącym wzrokiem badał jej twarz. Rachel się zawahała. Ich problemy pozostaną nie zmienione rano. Scottiego nadal nie będzie. Jej wiarołomstwo się nie odwróci. Będzie musiała szukać sposobu naprawienia stosunków z Michaelem. Ale nic nie jest na tyle ważne, żeby przeszkodzić zapomnieniu, jakie może znaleźć tej nocy.

Zamiast odpowiedzi podała Jake'owi usta.

Przywarł do nich z taką namiętnością, jakby to on był inicjatorem, jakby nie ona to sprowokowała. Może to i prawda, pomyślała osuwając się na poduszki pod pierwszym pewnym dotknięciem jego dłoni. Jake umiał pieścić tak, jak umiał robić wszystko - z zapierającą dech śmiałością i bezbłędnym wyczuciem. Ujawszy jej pierś, rozbudził palcami sutkę, po czym przypadł do niej wargami i zaczął drażnić, jakby zgłodził jej smaku. Silne ssanie wzbudziło w jej trzewiach dogłębny, pierwotny odzew, narastający aż do krzyku w momencie, gdy przeszył ją orgazm.

Oszołomiona jego nagłością i siłą, Rachel uczyniła niezdecydowaną próbę okiełznania gwałtowności Jake'a, niepohamowanego w zgłębianiu wszystkich tajników jej ciała, tajników znanych tylko jemu. Dotykał jej wszędzie, całował wszędzie, spazmatycznym oddechem dając jej odczuć, że go zachwycają jej reakcje, że jej narastające podniecenie wzmaga jego własne, że jest dla niego uosobieniem kobiecego piękna i że w tej materii są, że zawsze byli, jednością.

- Rachel...

Wydyszał jej imię z wargami na zwartej, jedwabistej skó-

rze jej brzucha. Wiedziała, co teraz nastąpi, pragnęła tego. Poddawała się skwapliwie, gdy jej położył dłoń i jął pocierać, nieprzytomnie rzucała głową. Kiedy nią wstrząsnął drugi orgazm, uniósł się, odnalazł swoje miejsce między jej udami i pchnął. Krzyknęła, jej ciało się sprężyło, potem poddało i wpadło w rytmiczną wymianę, która ich miała zawieść na szczyt. Jake uderzał silnie, aż z głuchym okrzykiem wybuchł we własnym potężnym orgazmie, pociągając Rachel za sobą.

# Milczenie nocy

13

Paroma zręcznymi obrotami palców Michael wykręcił kod kłódki i otworzył szafkę. Najniższa szafka była diabło nieporęczna przy jego wzroście, ale przyszedłszy pod koniec roku, nie miał wyboru. Mógł ją zamienić wpisując się na kurs letni, ale jakoś o tym nie pomyślał. Zresztą może nie będzie używał jej już długo. Wyjazd tatusia i pani Rachel do Orlando dla stwierdzenia, czy tamten chłopiec to Scottie, rozstrzygnie, czy będzie mógł tu pozostać.

Przekładał książkę po książce w poszukiwaniu podręcznika geometrii. Dzisiaj po raz pierwszy od przyjazdu do Tidewater chętnie by się zaszył w domu i nie wychodził, ale panny Kendall nie ma co nawet prosić, żeby mu pozwoliła opuścić lekcje. Cóż, przestrzeganie dyscypliny należy do jej obowiązków. Obiecała tatusiowi dopilnować, żeby pod ich nieobecność wszystko toczyło się normalnym trybem, więc nie ma co marzyć o urwaniu się ze szkoły. Jedyne jasne promyk stanowiła nadzieja, że jeśli tatuś i pani Rachel zostaną zatrzymani w Orlando, panna Kendall pozwoli mu pobyc w biurze szeryfa, bo sama tam przecież pracuje.

Michael nie chciał, żeby zostali zatrzymani. Modlił się ze wszystkich sił, żeby ten chłopiec okazał się Scottiem. Tak jak się sprawy mają, jedynie odnalezienie Scottiego rokuje nadzieje na utrzymanie małżeństwa tatusia. Ale modlitwy modlitwami, ta nadzieja nie jest zbyt wielka. Kręcąc się w biurze szeryfa, dowiedział się wiele o zaginionych dzieciach. Obraz, jaki się ukazał jego oczom, był diabło przygnębiający. Trzeba by prawdziwego cudu, żeby Scottie się odnalazł zdrow i cały. Można się tylko modlić.

Dawniej dużo się modlił. Kiedy babcia Dee zachorowała, modlił się co wieczór. Przynosi to jakby ulgę, kiedy człowiek nie ma się dokąd zwrócić. Chociaż nie bardzo wierzył, że modlitwa skutkuje. Można na to różnie patrzeć, odkrył wówczas. Z początku modlił się, żeby babcia Dee nie umarła, i rzeczywiście mijał miesiąc za miesiącem, a ona trzymała się życia. Z drugiej strony, była już stara i bardzo cierpiała. Śmierć przyniosła jej niejako wyzwolenie od bólu i cierpienia. Czy więc nie był to akt łaski ze strony Boga? Mógłby wobec tego powiedzieć, że jego modlitwy zostały wysłuchane, choć nie w sposób, jakiego oczekiwał. Dosłownym spełnieniem jego prośb byłoby, gdyby żyła. Ale przyglądanie się, jak cierpi, było rzeczą straszną.

Tak więc miał mieszane uczucia, jeśli chodzi o modlitwę.

- Hej, Mike! Schył głowę!

Ale ostrzeżenie Todda Stewarta przyszło za późno, Michael jęknął uderzony w głowę pantoflami gimnastycznymi, owiniętymi w ręcznik. Todd miał szafkę bezpośrednio nad nim, a ilość rupieci, jakie w nią upychał, stanowiła stały przedmiot drwin. Wszyscy wiedzieli, że trzeba uciekać, gdzie pieprz rośnie, kiedy Todd ją otwiera.

- Rany Jezusa, Todd! - Michael się wyprostował rozciera-



jąc głowę. - Kiedy ty wreszcie wyrzucisz połowę tych klamo-  
tów?

- Niedługo, dobra? Słowo. - W poszukiwaniu czegoś  
Todd wetknął głowę do szafki. - Musi tu gdzieś być... - Wy-  
nurzył się machając podręcznikiem do matematyki. - Jest!

Mike kopnął z irytacją ręcznik z pantoflami.

- Fuj! Cuchnie na odległość. Weź to do domu i wypierz,  
jak Boga kocham.

Todd zmierzył go martwym spojrzeniem.

- Człowieku! W przeciwieństwie do niektórych ja nie mam  
w domu luksusów. Telma Pearson nie pierze takim jak ja.

Michaelowi zrobiło się głupio. Pearsonów, których opieka  
społeczna wybrała ostatnio Toddowi na rodzinę zastępczą,  
można było posądzać o wszystko, tylko nie o rozrzutność.  
Wymamrotał jakieś przeprosiny, po czym kopniakiem zatrzas-  
nął swoją szafkę.

- Co cię gryzie, stary? - zainteresował się Todd.

Szybki rzut oka w lusterko na drzwiczkach upewnił go, że  
pomarańczowy kosmyk jego włosów sterczy nadal, wylakie-  
rowany na sztywno. Ruszył w ślad za Mike'em.

- Nic.

- Wiesz, co? - Todd zarzucił Mike'owi rękę na ramię,  
uważając, żeby go nie ukłuć nabijanymi kolcami na skórzanej  
bransoletce. - Nikt nie piecze takich babeczek czekolado-  
wych jak pani Rachel. Co by było, gdybym wpadł do was po  
szkole? Popływalibyśmy trochę, sprawdzili, czy są ciągle ta-  
kie smaczne, no, i powiedziałybyś mi, co cię gryzie.

- Nie wracam dziś do domu. Tato z panią Rachel pojechali  
do Orlando.

- Zabawić się bez ciebie w Disneylandzie? - Todd pokrę-  
cił współczująco głową. - To niefajnie, stary. Niefajnie.

- Pojechali za intereselem.

Idąc ze wzrokiem wbitym w podłogę, Mike nie dostrzegł nieśmiałego spojrzenia, jakie mu posłała zbliżająca się filigranowa blondyneczka.

- Hej, gdzie ty masz oczy, stary? To Cindy Johns.

Todd pożerał ją wzrokiem, ona jednak widziała tylko Mike'a, który kiwnął jej z roztargnieniem głową. Todd, zdjawszy rękę z ramienia Mike'a, odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, żeby ją odprowadzić spojrzeniem.

- Klasa cizia - zawyrokował.

- Nie nazywaj jej cizią. To przyzwoita dziewczyna.

Todd zatrzymał się raptownie.

- Dobra, dobra. Mów, co cię gryzie. Wiem, że Cindy to przyzwoita dziewczyna. I ty wiesz, że ja wiem. Wal, stary.

- No, mam zgryz, Todd.

- Co ty powiesz?

- Tato z panią Rachel pojechali do Orlando, bo pojawił się tam chłopiec, który może jest Scottiem.

- Rany, nie mów! - Toddowi rozpromieniła się twarz. Wiedział, ile odnalezienie Scottiego znaczyłoby dla rodziny Mike'a. Przekrzywił głowę, aż zakołysał mu się kolczyk. - To odjazdowo! Bomba!

- Może to wcale nie jest Scottie, Todd.

- No-o, może nie. - Ruszyli dalej. - Ale może i jest.

Michael kopnął papierową kulę, leżącą na ich drodze.

- Jeżeli to nie jest Scottie, to ja zwijam żagle.

Todd posłał mu nie dowierzające spojrzenie.

- Chyba nie zamierzasz się stąd zmyć?

- Serio mówię.

- Człowieku, ocipiąłeś? Zawojowałeś swojego staruszka i panią Rachel.

- No, nie bardzo. Różne rzeczy... nie grają. Lepiej będzie, jak zniknę.

- Szajba ci odbiła?

- Nikt nie może zająć miejsca tego małego, Todd.

- Nie musisz zajmować jego miejsca. Musisz mieć u nich własne wejście. Rany, człowieku, już je masz. Polubili cię. Co ja, pokochali. Ja się na tym znam, stary. Wiem, kiedy coś wypływa z serca.

- Pani Rachel mnie nie kocha.

- Owszem, kocha. Ty naprawdę ocipiałeś.

- Z mojego powodu pokręciło się tam wszystko, Todd. Nie mogę o tym mówić, bo to prywatne sprawy. Ale tak jest. Jak się szybko nie zmyję, może być za późno.

Todd, nie przekonany, kręcił głową.

- Nie wierzę w to. Taki dom, z basenem, tato, mama. Co ty, Mike? Zobaczysz, że ci kupią auto, jak skończysz szesnaście lat.

- Ja już postanowiłem, Todd. Jeżeli ten chłopiec w Orlando to nie Scottie, ja się stąd zabieram.

- Kiedy będziesz cos' wiedział?

Mike wzruszył ramionami.

- Może dzisiaj. A jak nie, to jutro. Dopóki nie wróca, mieszkam u Jackie Kendall.

- Tej od młodocianych? Twarda babka, ale równa.

- Wiem.

Zamilkli przepychając się przez zatłoczony hol. Todd dotarł do swojej klasy pierwszy, ale zamiast wejść zatrzymał się przy drzwiach, nie zwracając uwagi na protesty kolegów, którym tamował drogę.

- Nie znam się za dobrze na życiu rodzinnym, Mike, i z tym autem to żartowałem. - Odwróciwszy na moment

wzrok, chwycił się za ucho, w którym nie miał kolczyka, charakterystycznym ruchem, który Michael znał jako gest zakłopotania. - Ale wiem, stary, że tym ludziom nie jesteś obojętny.

Michael nie odpowiedział. Milczał, zagryzając obolałe wnętrze policzka. W ciągu ostatniej doby przemyślał gruntownie sprawę. I on wiedział, że nie jest im obojętny. Cóż, kiedy jego obecność stanowi wieczne przypomnienie bolesnej przeszłości. Bez niego łatwiej naprawią nadszarpnięte stosunki. Podjął właściwą decyzję. Nie ma wątpliwości. Chyba nie ma.

Todd, który zawrócił, szturchnął go książką do matematyki.

- Słyszysz, Mike. Strzelisz piramidalnego byka, jeśli puścisz w trąbę szeryfa i jego panią. Takich ludzi nie spotyka się często na tym świecie. Mówię ci, jak jest, stary. Zastanów się dobrze, zanim palniesz taką głupotę.

Michael zdobył się na błądy uśmiech.

- A ty wypierz swoje łachy.

Odwrócił się i ruszył do swojej klasy. Todd to dobry kumpel. Będzie mu go brakowało.

Przyszedłszy po południu do biura, Jake zastał czekającego Michaela.

- Panna Kendall mi powiedziała, że ten mały to nie Scottie - poinformował Michael przyglądając mu się badawczo.

Jake ściągnął marynarkę od garnituru, w który się ubrał na wyprawę do Orlando. Powiesił ją za kołnierz na wieszaku w kącie gabinetu.

- Niestety, synu.

- Przykro mi tato.

- Dziękuję. - Jake posłał mu przelotny uśmiech. - Cóż, będziemy szukać dalej.

Podszedł do biurka, usiadł, poruszał ramionami, żeby rozluźnić zeszywniałe mięśnie. Jazda z Orlando upłynęła w napiętym milczeniu. Nic nie mogło osłodzić zawodu Rachel. Aż do tego alarmu z Orlando Jake sprawdzał wszystkie potencjalne ślady, nie informując jej nawet, że coś się wyłoniło. W dalszym ciągu miał wątpliwości co do potrzeby narażania jej na niepotrzebne cierpienia. Buntował się przeciw temu jego instynkt opiekuńczy. Jeśli jest to droga powrotna do jej serca, to trudno, będzie to robił. Nie znaczy to jednak, że musi mu się to uśmiechać.

Chętnie pozostałby z nią na resztę dnia w domu, ale nim jeszcze wjechali w granice miasta, poczuł, jak się przed nim zamyka. Dla powściągnięcia frustracji i nękającego niepokoju uczynił parę głębokich wdechów. Noc w motelu powinna była pomóc. Może i pomogła, ale nie rozwiązała wszystkich problemów. Chociaż znaleźli w swoich ramionach parę godzin zapomnienia, czegoś jednak wciąż brakowało. A powinno to być takie proste. On kocha Rachel, ona kocha jego. Co do tego nie miał wątpliwości. Jednakże ostatniej nocy, długo po jej zaśnięciu, leżał bezsennie, nękany wątpliwościami, czy sama miłość wystarczy.

- Pani Rachel ma się dobrze?

Jake zabrał się do przeglądania telefonogramów.

- No, jakoś... się trzyma, Mike. To było dla niej przeżycie.

- Wybiera się dzisiaj do pracy?

- Powiedziała, że będzie jej chyba łatwiej, jak się zajmie pracą.

- Wolałbym, żeby pracowała gdzie indziej.

Jake podniósł wzrok i dostrzegł napięcie na twarzy Michaela.

- Nie martw się, synu. Po tej historii z Kevinem Nicholsonem może się wydawać, że to niebezpieczne miejsce, ale nie przypuszczam, żeby coś podobnego miało się powtórzyć. Zwiększyli środki ostrożności, szczególnie na Oddziale Nagłych Wypadków, który jest najbardziej narażony.

Michael przestąpił z nogi na nogę.

- Kto ci to powiedział?
- Dyrektor administracyjny.
- Pan Campbell?

Coś w tonie Michaela sprawiło, że Jake spojrzał na niego uważniej.

- Znasz Campbella?
- Tak, tato. Poznaliśmy się.

Wyczuwając antypatię podobną do własnej, Jake się uśmiechnął.

- Nie należy, zdaje się, do twoich ulubieńców, co?
- Uśmiecha się za często.

Jake zauważył to samo. Ubawiło go, że syn uważa przymilne uśmiechy za równie podejrzane jak on.

- Jest szefem Rachel. Musimy go tolerować.
- Tak, tato.

Michael zrobił minę, niezbyt demonstracyjną, tylko lekkie skrzywienie ust. Jake zachichotał cicho.

- Lepiej nie okazuj tego pani Rachel. Ona, zdaje się, go lubi.
- Muszę iść, tato.

Michael odwrócił się tak gwałtownie, że się potknął o własne adidas.

- Do domu?

Jake patrzył, jak syn sięga ślepo do klamki,

- C-co? Z-zostawiłem książkę na pływalni. Pobiegnę po nią.

- A, właśnie. W dalszym ciągu wygląda, że wejdiesz do reprezentacji na zawody z Ocala, tak?

- Tak. Od soboty za dwa tygodnie.

- I jakie są widoki?

- O, ci z Ocala to fajtłapy. Pobjemy ich na głowę.

Jake, z szerokim uśmiechem, podniósł do góry kciuki.

- Zobaczymy się przy kolacji.

Michael zawahał się chwilę, z ręką na kłamce. Spojrzał przez ramię na Jake'a.

- To do widzenia, tato - rzucił i zamknął za sobą cicho drzwi.

Po jego wyjściu Jake patrzył chwilę w ślad za nim. Uśmiech na jego twarzy zastygł w wyrazie zastanowienia. Wyczuł w zachowaniu Michaela coś dziwnego, ale nie bardzo wiedział, co. Odchylił się powoli w fotelu. Ostatnie dni i dla Michaela były niełatwe, zdecydował. Powinien był mu poświęcić więcej uwagi. Michael nie znał wprawdzie Scottiego, ale w końcu jest to jego przyrodni brat i trudno sobie wyobrazić, żeby mieszkając z nimi, nie przejął się ich tragedią. Jake siedział bez ruchu, pogrążony w myślach. Może to Mike'a gnębi.

A może niepokoi się o Rachel po tej historii w szpitalu. Ciekawe, że Mike podziela jego brak entuzjazmu dla Rona Campbella. Czyżby nieświadomie zaraził syna własną wrogością? Będzie musiał w przyszłości bardziej uważać. Jeśli Rachel ma nadal pracować u tego sukinsyna, to...

Na biurku odezwał się brzęczyk telefonu.

- Widać jest coś w genach McAdamów - mruknął Jake na głos, sięgając po słuchawkę. - Tak, Mavis?

- Linia pierwsza do ciebie, Jake. Rick Streeter z Miami.

Podziękował jej i przełączył się na pierwszą linię.

- Rick? Co tam słyhać w wielkim mieście?

- Zostało mi jeszcze dziewięć i pół roku do emerytury.

Jake się roześmiał.

- Twoja własna wina. Próbowałem cię przekonać do uroków życia małomiasteczkowego, ale nie chciałaś słuchać.

- Yhm. Ale żebyś się zbytnio nie nudził, mamy właśnie zamiar dostarczyć twoim cichym stronom trochę wielkomiej-  
skich atrakcji.

- Stało się coś? - spytał Jake poważniejąc.

Rick zmienił również ton.

- Kroi się u ciebie coś dużego. Jake. Mamy cynk, że gang Ramireza obrał sobie za kwaterę główną twoje hrabstwo.

- Gang Ramireza? Jaco Ramireza? Myślałem, żeśmy go wycofali z obiegu kilkanaście lat temu.

- Niektórzy dżentelmeni z jego gangu się przyczaili i teraz zwarli szeregi. Jaco umie dbać o interesy.

- To zdumiewające - prychnął z niesmakiem Jake.

- Tak. Zależliśmy im zdrowo za skórę, ale żeby ich wyeliminować z gry, musielibyśmy unieszkodliwić wszystkich kolumbijskich sukinsynów, którzy wylądowali na amerykańskim brzegu w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

Jake poczuł przypływ dobrze znanej, bezsilnej wściekłości, tej samej, która go niegdyś skłoniła do rezygnacji z brygady antynarkotykowej.

- Niech to szlag! Facet siedzi za kratkami, w więzieniu federalnym. Dostał dożywocie z możliwością warunkowego zwolnienia po dwudziestu latach, jeśli mnie pamięć nie myli. W jaki sposób może stamtąd kierować kartelem? I co mnie bardziej obchodzi, w jaki sposób trafił do hrabstwa Kinard?

- Jego pierwszym pomocnikiem jest kuzyn Luis, też Ramirez. Skończona kanalia. Równie szczwany jak Jaco, a dziesięć razy bezwzględniejszy.



Pocierając nasadę nosa, Jake zrobił głęboki wdech.

- Czego oczekujesz ode mnie?

- Prawdę mówiąc, tylko trochę współdziałania. Nasze źródła informują, że w najbliższych dniach nastąpi wielki przezwrot. Ramirez zarządził nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Dowiedzieliśmy się przypadkiem dzięki temu, że nasz człowiek nawiązał intymne stosunki z jedną z jego kobiet. Ramirez używa wiele kobiet i małolatów w charakterze skrzynek i kurierów.

- A co z twoim własnym bezpieczeństwem, Rick?

Jake wyczuł zaskoczenie Streetera.

- Jest na sto dwa. Wiesz, że bezwzględna tajemnica decyduje o powodzeniu takich operacji. Czemu pytasz? Słyszałeś coś?

- Nic, z czym byś mógł pójść do sądu. Jeden z organizatorów mojej kampanii dowiedział się z bezimiennego źródła, że nad Zatoką, szczególnie w hrabstwie Kinard, daje się zauważyć jakaś podejrzana aktywność.

Streeter zaklął.

- Kiedy to słyszałeś, Jake?

- Parę dni temu. Prawdę mówiąc, miałem tu straszne urwanie głowy, Rick. Głównie sprawy osobiste. Chciałem zaraz potem do ciebie zadzwonić na wypadek, gdyby u ciebie był przeciek. Bo mogę cię zapewnić, że nigdy nie dojdiesz do źródła od tego końca. Osoba, która mi to powiedziała, prędzej pozwoli się postawić pod ścianką, niż je zdradzi.

Rick ponownie zaklął.

- Prasa.

- Ja tego nie powiedziałem.

- Sukinsyny! Tego mi tylko potrzeba! Długich języków, kiedy jestem w przededniu zwinięcia wielkiej siatki. Największej od czasu, kiedy dostaliśmy Jaco.

- Przykro mi, Rick, że ode mnie się tego dowiadujesz.
- Co ty? - Rick wymamrotał wulgarne słowo. - Masz u mnie fory.
- Zwiń te kanalie, które się u mnie zagnieździły, i będziemy kwita.
- Zrobione.
- Na pewno nie będziesz potrzebował moich ludzi ani służb?
- To oczywiście nie jest wykluczone, ale mam nadzieję, że nie. Trzymamy rękę na pulsie. Chciałem cię uprzedzić. Wiem, jak to lubicie, kiedy wam się zwala na głowę gromada federalnych. Żebyśmy przynajmniej znali dzień i godzinę! Cholera, po tym, co mi powiedziałaś, chętnie bym rzucił wszystko i pojechał na ryby. Niestety, siedzę w tym po uszy. Ty też, Jake.

Jake popatrzył na stos nalepek samochodowych, przyniesionych przez Liz rano, kiedy był w drodze powrotnej z Orlando. Zaniedbał ostatnio swoją kampanię wyborczą. Teraz przypomniał mu się jego oponent. To szansa, której Gonzales na pewno nie omieszka wykorzystać, jeśli trafi się okazja. A trafi się, jeśli kwatery Ramireza znajduje się rzeczywiście na terenie hrabstwa, szczególnie gdyby operacja przeciwko niemu przybrała niepomyślny obrót.

- Zawiadomiłeś już pierwszego męża Tidewater?
- Gonzalesa? Jeszcze nie.

Rick miał już do czynienia z szefem policji i jego doświadczenia nie należały do budujących.

- Nie pokpij sprawy, Rick. Jeżeli coś nie wyjdzie, to Gonzales roztrąbi to na prawo i na lewo.
- Dlatego właśnie go nie informuję, jak długo mogę.
- Jednym słowem, to twoja zabawa. Ale dzwoń, jak będzie coś nowego.

- Dzięki, Jake. Przy odrobinie szczęścia przemkniemy się przez hrabstwo Kinard bez alarmowania twoich wyborców.

- Trzymam cię za słowo, kolego.

Jake wyprostował się w fotelu nie bez ulgi, że zasadnicza odpowiedzialność za zbliżającą się operację będzie spoczywała na brygadzie antynarkotykowej. Ludzie Ricka mają w takich akcjach większe doświadczenie niż jego własni. Wprawdzie i jego zespół nie jest zły, niedarmo zadbał o to na miarę swego budżetu i dostępnego materiału ludzkiego. Jednakże w konfrontacji z rozporządzającymi niewątpliwie najnowocześniejszą bronią najemnikami takiego socjopaty jak Ramirez trzeba się zawsze liczyć z ofiarami.

- To ty, Michaelu?

- Nie, to ja, kochanie.

Jake rzucił niedbale okiem na pocztę, którą wyjął ze skrzynki. Rachel najwidoczniej o niej zapomniała. Na samym wierzchu był zapowiedziany list od jednego z ugrupowań politycznych. Rozdzierał go, kiedy z kuchni wynurzyła się Rachel wycierając ręce w ścierkę. Spojrzała przez jego ramię na drzwi frontowe.

- Micheel z tobą nie przyjechał?

- Nie. Myślałem, że jest już w domu. Wrócił do szkoły po książkę, której zapomniał.

Rozpromieniony, przebiegł wzrokiem list. Ugrupowanie obiecywało mu poparcie.

- Ach, tak.

Wciąż uśmiechnięty, popatrzył na Rachel.

~ Jesteśmy wobec tego we dwoje.

- C-co?

Rachel zamrugała. Jake rzucił list wraz z resztą poczty na stół i przyciągnął ją do siebie.

- Mówię, że jesteśmy sami we dwoje. - Uwięziwszy ją w ciepłym uścisku, zanurzył twarz w jej włosach. - Mike wraca pewnie okrężną drogą - mruknął muskając wargami jej szyję. - Nie martw się o niego. Kończy piętnaście lat, to wiek, kiedy człowieka zatrzymuje tuzin różnych rzeczy.

- Masz pewnie rację.

Dreszcz ją przeszedł jak zawsze, kiedy Jake całował ją w ucho. Mimo to zerknęła ku oknom, za którymi zapadał szybko zmierzch. Nie rozmawiała jeszcze z Michaelem i wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki tego nie uczyni.

- Zawsze mnie zawiadamia, gdzie jest. Nie zdarza mu się spóźnić choćby o minutę.

- Mmm, ładnie pachniesz - mruknął Jake delektując się jej zapachem. Sunął pocałunkami po jej szyi, aż zatrzymał się we wgłębieniu pod brodą. - A jak smakujesz! - Zaszeleścił jedwab jej bluzki, kiedy wsunął dłoń pod luźno puszczone poły i poszukał drogi ku piersi. - I jak przyjemnie cię dotykać! - wyszeptał chrapliwym głosem, ujmując w palce wrażliwą sutkę. - Jak przyjemnie, maleńka...

Rachel, z odchyłoną głową, była bliska poddania się zmysłowej przyjemności, zalewającej ją gorącą falą. Cienki materiał spódniczki nie stanowił zapory przed palącym, twardym podnieceniem Jake'a. Czując jego pulsowanie na spojeniu swoich ud, Rachel poruszyła się instynktownym rytmem. Są tak seksualnie zgrani. Pożądanie Jake'a jest tak zniewalające. Nie potrzeba jej wielkiej podniety, by odpowiedzieć namiętnością na jego namiętność. Rachel przesunęła głowę, wpasowując się ciaśniej w jego ciało.

W ciągu długich godzin nocnych w Orlando znaleźli zapomnienie w swoich ramionach. Lecz dla Rachel było ono przejściowe. Nie może zaznać z Jake'em pełni szczęścia, dopóki

nie uporządkuje swoich spraw. Poszła dziś do pracy, żeby się rozmówić z Ronem Campbellem, ale okazało się, że wezwano go służbowo do Tallahassee.

A teraz przepadł gdzieś Michael.

Trudno zebrać myśli, kiedy Jake dokonuje czarów wargami i rękami. Lecz obracając bezwolnie głowę, Rachel dostrzegła pocztę rozrzuconą na stoliku i oko jej przykuła jedna z kopert. Wykaligrafowane na niej wielkimi, dziecinnymi literami było jej nazwisko. Zgnieciony list bez znaczka i adresu, widać nie przysłany pocztą, wyróżniał się wśród innych.

- Jake?

Odepchnęła nagle jego ramiona.

- Bądź spokojna, kochanie - szepnął jej w ucho. - Nie robimy tu nic takiego. - Zachichotał cicho, przygryzając płatek jej ucha. - Nic, czego byśmy nie mogli przerwać, chociaż bardzo bym tego nie chciał.

Myślał, że się obawia, iż w każdej chwili do holu może wkroczyć Michael. Ale Rachel go odpychała wykręcając głowę. Nie odrywała oczu od koperty.

- Jake, popatrz.

- Na co?

Serce jej dudniło. Może to w sprawie Scottiego. Często fantazjowała, że otrzymuje anonimowe listy, telefony, wiadomości z radia, telewizji, biura szeryfa. Czy to możliwe, żeby ktoś się odważył w biały dzień coś wsunąć do ich skrzynki?

Sięgnęła po list. Już miała go rozerwać, kiedy raptem otrzeźwiała. Jeżeli to w sprawie Scottiego, koperta może stanowić bezcenną poszlakę, mogą być na niej odciski palców. Drżącą dłonią wyciągnęła ją do Jake'a.

- Zauważyłam to przed chwilą na stoliku. Przyniosłeś ten list ze skrzynki?

- Nie wiem. - Jake wziął list ze zmarszczonym czołem.  
- Nie oglądałem całej poczty.

- Otwórz to, Jake - wyszeptwała z dłonią przy gardle.

Trzymając kopertę ostrożnie za jeden róg, Jake wziął ze stolika nóż do rozcinania listów. Rozciął szybko kopertę. Przebiegł wzrokiem parę wierszy i twarz mu zeszywniała.

- To od Michaela.

- Od Michaela?

Ręce mu drżały, kiedy czytał do końca.

- To nie do mnie. Do ciebie.

- Wiem, ale...

Wzięła list, oszołomiona, nie dostrzegając zmienionego wyrazu twarzy Jake'a.

- Jest drugi list do mnie.

Patrzyła, jak Jake z poczty rozsypanej na stoliku wyławia drugą identyczną kopertę. Oderwał koniec bez zachowania ostrożności, z jaką otwierał list adresowany do niej.

- Michael odszedł.

- Odszedł? - Spojrzawszy na list, zauważyła jak we śnie, że jest pisany na brulionowym papierze. Michael pisał na takim papierze, kiedy parę dni temu pomagała mu w wypracowaniu szkolnym. - Dokąd odszedł?

- W nieznanie - poinformował Jake. Twarz miał jak wykutą z granitu. - Pisz, że to najlepsze, co może uczynić, bo jego obecność powoduje problemy między nami.

- Między nami?

Rachel uniosła list, który Jake jej podał, i zaczęła czytać. Po pierwszych paru wierszach zbladła. Z sercem bijącym jak oszalała osunęła się na stylowe krzesło, które stało przy stoliku. Potrzebowała chwili, żeby drżącą ręką przysunąć list. Zamrugnęła szybko, bo słowa Michaela rozplywały jej się przed oczami.

*Szanowna Pani Rachel!*

*Napisałem do tatusia z wyjaśnieniem, dlaczego odchodzę. Niech pani się o mnie nie martwi. Poradzę sobie. Przesyłam pani ten poufny liścik z gorącą prośbą, żeby Pani dała należytą odprawę panu Campbellowi. Jako mężczyzna nie może się równać z moim tatusiem. Jestem pewien, że nie spojrzalaby Pani w ogóle na niego, gdyby nie szok, jaki Pani przeżyła z powodu mojego pojawienia się w Tidewater. Wiem, że ilekroć Pani na mnie patrzy, nie może Pani nie myśleć o tamtym błędzie tatusia. Jeśli nie będę Pani tego stale przypominał swoją obecnością, jestem przekonany, że odżyje Pani miłość do niego i Wasze problemy się rozwiążą.*

*Dziękuję, że pozwoliła mi Pani mieszkać w swoim domu podczas mojego pobytu w Tidewater. Wiem, jakie to było dla Pani trudne, ale mam nadzieję, że zapamięta mnie Pani z przyjemnych chwil, jakie spędziliśmy razem. Lubiałem nasze jazdy do szkoły i z powrotem, ale zdaje się nigdy Pani tego nie powiedziałem. Lubiałem nawet robić z Panią zakupy. Będę Panią zawsze wspominał jedząc kiwi czy papaję. W Iowie nie widziałem takich owoców.*

*Będę się codziennie modlił, żeby się odnalazł mój mały braciszek.*

*Zawsze Pani przyjazny, Michael McAdam*

- Mój Boże! - Rachel zacisnęła palce na pojedynczej kartce, gniotąc ją w bezkształtną kulkę. Przyciskając ją do piersi, spojrzała na Jake'a. - To wszystko moja wina.

Jake wyrwał jej list z ręki.

- O czym on właściwie pisze? Co, u diabła, było między tobą a tym sukinsynem Campbellem? - Zniżył głos, ale jego wzrok mógł zabić. - Jeżeli zrobiłaś coś, co wyгнаło mego

syna na ulicę, to klnę się na Boga, że mi za to odpowiesz, Rachel.

- Nie, nie, nie zrobiłam - wyszeptwała. - On źle zrozumiał. On... My...

- Kto źle zrozumiał? Mike?

Rachel kiwnęła głową.

- Tak. To...

- Co źle zrozumiał? - Jake zamachał jej listem Michaela przed nosem. - Co to za brednia z tym Campbellem?

Podniosła na niego oczy wilgotne od palących łez. nie starając się ukryć poczucia wstydu i winy, które jej nie opuszczały od tamtych głupich, nędznych dziesięciu minut z Ronem Campbellem.

- Och, Jake!

- Odpowiedz mi, do cholery!

Z ledwością formułowała słowa.

- On nas widział razem.

- Kogo? Ciebie z Campbellem?

- Tak.

Cofnął się, jakby chciał się zdystansować od tego, co usłyszy.

- Co takiego widział?

- To nic nie było, Jake. To nie miało żadnego znaczenia. Chciałam to wyjaśnić Michaelowi. Próbowałam mu od razu tłumaczyć, ale. właśnie wtedy... - Głos jej się załamał. Przełknęła głośno. - Kevin... Wtedy zrobiła się ta historia z Kevinem i pistoletem.

- Mniejsza o Kevina! - krzyknął Jake, aż podskoczyła. Zniżył złowroźnie głos. - Co zobaczył Michael?

- O, Boże, Jake... - Wciąż siedząc, ukryła twarz w dłoniach. - Tak tego żałuję. To była idiotyczna pomyłka. Wiedziałam to od razu, kiedy on...



- Który on? Co zrobił?

Podniosła głowę, popatrzyła na niego.

- Ron. Pocałował mnie.

Jake odwrócił się na pięcie, wbił palce we włosy. Uświadomiwszy sobie, że wciąż trzyma list Michaela, rzucił go na ziemię, jakby mu palił dłonie. Nie obracając się do Rachel, spytał:

- Co jeszcze widział?

- Nic. - Zebrawszy siły, Rachel wstała. Podniosła z ziemi ścierkę, którą przyniosła z kuchni, wytarła oczy, nos. - Nie było nic więcej do zobaczenia.

- Co to znaczy? Że odprawiłaś Michaela? Czy że na tym się skończyło uwodzenie mojej żony przez Campbella?

- To nie tak. To znaczy... Sama nie wiem...

- Zabiję go!

Rachel stała ze wzrokiem utkwionym w dłoniach ściskających ścierkę.

- To nie była właściwie wina Rona, Jake. - Zrobiła głęboki wdech, wiedząc, że to, co teraz powie, może się okazać podzwonnem dla ich małżeństwa. - To była moja wina. Nie... nie ucinałam jego umizgów tak, jak powinnam.

Jake zaklął wściekle.

- Wiedziałem, że ten sukinsyn robi do ciebie słodkie oczy. Powinienem był go załatwić od razu wtedy w Izbie Handlowej. Odechciałoby mu się po tym dalszych zalotów.

- Jake! - Posłała mu ostre spojrzenie. - Słuchasz mnie? To nie była wina Rona, tylko moja! - Stukając się wskazującym palcem w pierś, powtórzyła: - Moja!

Mierzyli się wzrokiem, aż po chwili Jake zapytał:

- Dlaczego twoja?

Pokręciła bezradnie głową.

-- Byłam taka wściekła. Taka upokorzona. Przez wiele tygodni byłam na ciebie taka cięta, że mogłabym cię udusić gołymi rękami. Wbiłam sobie w ten głupi łeb, że skoro ty miałeś romans, to powinnam ci odpłacić tym samym. Oko za oko. - Wzruszyła ramionami zmęczonym, zgnębnym ruchem. - Ron Campbell nawinał się tylko w odpowiednim momencie.

- I to ma być usprawiedliwienie?

Popatrzyła na niego.

- Równie dobre jak usprawiedliwienie tamtej twojej nocy w Miami.

Odwrocił się, nie chcąc przyznać, że utrafiła w czuły punkt.

- I co? - zapytał uciekając się do sarkazmu. - Okazało się, że przygodne romanse są przereklamowane?

- To było idiotyczne, infantylne z mojej strony. Wiedziałam to od razu. Najgorsze, że sprzeniewierzyłam się samej sobie. Złamałam przysięgę, którą złożyłam osiemnaście lat temu, i zaprzepąściłam coś bardzo pięknego i cennego, co się zawiązało między Michaelem a mną. - Odważnie poszukała jego wzroku. - Mam nadzieję, że nie zaprzepąściłam czegoś innego, równie pięknego i cennego dla mnie.

Zastygli na dłuższą chwilę. Milczenie pulsowało słowami, których nie wypowiedzieli. Oboje mieli świadomość, że ta minuta może zadecydować o ich wzajemnym stosunku, o ich losie, o ich przyszłości, jeśli zechcą nadal dzielić.

Jake uczynił pierwszy krok.

- Musimy go odnaleźć - oznajmił równym tonem. - Podobna ci się to czy nie, Mike jest moim synem tak samo jak Scottie. Odnajdę go, choćbym musiał przeczesać Florydę cal po calu.

- Wiem.

Rachel pragnęła go odnaleźć tak samo jak Jake, ale wątpiła, czyby *jej* w tej chwili uwierzył. Przez cały ten czas Michael próbował trafić do jej uczuć, ale ona tkwiła w zimnym więzieniu bólu po utracie Scottiego i goryczy z powodu wiarołomstwa Jake'a. A jednak zdołał się jakoś przebić przez jej pancerz, wkraść do jej serca.

- Co zrobimy? - spytała szeptem.

- Od-naj-dzie-my go - odparł Jake wybijając sylaby.

- Z tonu listu do ciebie widzę, że byliście ze sobą bliżej, niż przypuszczałem. Więc może ty mi, Rachel, powiesz, dokąd mógł uciec mój syn.

- Nie mam pojęcia.

Oczy wypełniły się Rachel świeżymi łzami. Pochyliła się i podniosła list. Michael stał się również jej synem, uświadomiła sobie wygładzając z czułością zmiętą kartkę. Czy zwlekała z przyznaniem tego za długo?

# Milczenie nocy

14

Bar był hałaśliwy, pachniał pleśnią i zatechłym dymem papierosowym. Kilka miesięcy temu, kiedy na Tidewater spadło w ciągu trzech godzin blisko dwadzieścia centymetrów deszczu, został zalany podobnie jak wiele innych lokali na tym szpetnym odcinku szosy numer sześć. Tu jednak fetor utrzymywał się długo po wygarnięciu błota i osuszeniu wody.

Wszedłszy, Jake zatrzymał się chwilę, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć w mętym świetle. Klientelę stanowili w większości mężczyźni z niższych warstw. Brzęk gitary Williego Nelsona, dobywający się z szafy grającej, utonął na moment w wybuchu śmiechu i wulgarnych okrzyków. Jake nie spodziewał się wiele dowiedzieć. Bywalcy lokalu należeli do ludzi twardych i pomnych, że lepiej pilnować własnego nosa. Patrząc na nieokrzesałą, nie rozpieszczaną przez życie kompanię, Jake zachodził po raz nie wiadomo który w głowę, w jaki sposób Michael trafił w takie miejsce. Zsunął kciukiem kapelusza lekko do tyłu i podszedł do baru.

- Dzień dobry, szeryfie.
- Cześć, Lou.

Wycierając ręce w brudny fartuch, Lou Frank wpatrywał się niespokojnie w twarz szeryfa. Lou prowadził ten bar od półtora roku, ale po raz pierwszy zobaczył tu szeryfa Jake'a McAdama trzy dni temu. Jego ludzie, owszem, zjawiali się, ilekroć dochodziło do jakiejś rozróbki, ale nie szeryf. A teraz trzeci dzień z rzędu, i to bynajmniej nie w ramach kampanii wyborczej.

- Czego pan się napije, szeryfie?

- Piwa.

Lou napełnił kufel i postawił przed Jake'em.

- Prosto z lodu - powiedział przymilnie. - Na koszt firmy.

Jakby nie słysząc, Jake wyłuskał dwa banknoty dolarowe i rzucił na ladę. Usadowiwszy się na wysokim stołku, przyciągnął kufel i objął go obiema dłońmi, ale nie podniósł do ust. W lustrze za barem widział stół bilardowy oraz kilka stolików, wszystkie zajęte. W dwóch młodych mężczyznach grających w bilard domyślił się właścicieli motocykli zaparkowanych przed barem. Żadna z twarzy widocznych w lustrze nie była znajoma. Obróciwszy głowę, zlustrował resztę sali. Podstarzała mewka, stolik motocyklistów, grupka robotników budowlanych, samotny pijak, dwu przyzwoicie wyglądających biznesmenów. Sami obcy.

- Nie dowiedział się pan nic o swoim chłopcu? - zapytał Lou.

Jake się obrócił, zająrzył mu badawczo w oczy.

- A ty się dowiedziałeś?

Lou zaczął znowu wycierać ręce w brudny fartuch.

- Mówiłem panu, jak pan tu pierwszy raz przyszedł, że go nie widziałem. Myślałem, że może się odnalazł.

- Nie byłoby mnie tutaj, gdyby się odnalazł.

- No, tak...

- Nie odnalazł się, a ten twój chlew to jedyny ślad, na jaki natrafiłem, Lou.

Trzasnęły drzwi od toalety, więc Jake się obrócił, żeby spojrzeć na mężczyznę, który wyszedł zapinając rozporek. Na widok Jake'a, mężczyzna odwrócił twarz i pomaszerował szybko do boksu, w którym czekała na niego kobieta.

Lou wytarł plamę na kontuarze koło Jake'a

- Czemu pan się na mnie uwziął, szeryfie? Prowadzę legalny interes. Opłacam licencję, nie maczam w niczym palców. Nie chciałbym panu podpaść, ale nic nie wiem o pańskim chłopcu.

- Zniknął trzy dni temu - przypomniał Jake ściszym głosem, nie spuszczać oka z Lou. - Jedyną informację mamy od dostawcy piwa, który telefonował z automatu na twoim parkingu. Widział Michaela wchodzącego do baru. Przyszedł pieszo, niósł na ramieniu worek marynarski. Była trzecia po południu, tak jak teraz. Ktoś musiał go tu widzieć. Chcę rozmawiać z tymi ludźmi. - Rozpostarł dłonie na ladzie, pochylił się lekko i przyszpilił barmana wzrokiem tak pewnie, jakby go chwycił ręką za gors koszuli. - Rozumiemy się, Lou?

Lou przełknął z trudem.

- Przysięgam, szeryfie...

- Będziesz gadał, do cholery?

Jake rąbnął pięścią w kontuar, aż piana z piwa przysnęła mu na rękę.

- Prawdę mówię, szeryfie. Jeśli ten chłopiec tu był, to ja nic o tym nie wiem. Ja go nie widziałem, słowo daję.

- Jak to możliwe, żeby czternastoletni chłopiec, sam, czysty, rozumiesz, nietrefny, wszedł do tego lokalu i żeby nikt go nie zauważył?

Lou, cały spocony, wzruszył ramionami.

- Nie mieści mi się to w głowie, szeryfie.

- Mnie też się nie mieści - odparł Jake zsuwając się z wysokiego stołka. - Zastanawia mnie tak bardzo, że nie przestanę cię maglować, dopóki nie dowiem się prawdy.

- Fakt, że to brzmi dziwnie, ale to prawda, szeryfie.

Lou, nieszczęśliwy, przesunął wzrok z Jake'a na salę. Z szafy grającej wydobywał się ryk następnej bełkotliwej melodii. Pod sufitem trzy skrzypiące wiatraki rytmicznie bełtały zatęchłe powietrze. Nie był to zbyt dochodowy interes, ale było to wszystko, co Lou miał. Jego klientelę stanowili nie wylewający za kołnierz i nie przebierający w środkach osobnicy, z których wielu miałoby się z pyszna, gdyby szeryf się nimi bliżej zainteresował. Za wszelką cenę będą się starali uniknąć podpadnięcia prawu, a lokali, gdzie mogą pić i przesiadywać godzinami, jest pod dostatkiem. Jeśli szeryf zechce, może z łatwością doprowadzić interes Lou do ruiny. Obaj to wiedzieli.

- Przyjdę jutro, Lou. - Jake poprawił kapelusz, patrząc wciąż barmanowi w oczy. - Chcę rozmawiać z facetami, którzy widzieli mego syna.

- Hej, Lou! Nigdy się ciebie nie doczekamy?

Lou wytarł znowu ręce w fartuch.

- Nie żołądkujcie się, już idę! - zawołał. Posłał Jake'owi zbolały uśmiech. - Zobaczę, co się da zrobić, szeryfie.

- Zobacz.

Jake obrócił się i rozejrzał ponownie po sali. Mężczyzna, którego widział wychodzącego z toalety, wynurzył się właśnie z boksu w głębi. Napotkawszy spojrzenie Jake'a, usiadł z powrotem. Jake zmarszczył czoło, przypominając sobie, gdzie go widział. To ten drobny kryminalista, który prowadził w stanie nietrzeźwym półciężarówkę podczas tego karambolu na autostradzie kilka miesięcy temu. Jake miał jego nazwisko na

końcu języka. Ruszył do wyjścia, usiłując je sobie przypomnieć.

Na dworze wciągnął łakomie powietrze w płuca. Bar „U Lou” należał do najnudniejszych w hrabstwie. Nękanie właściciela nie sprawiało Jake'owi przyjemności, ale knajpa stanowiła jedyny ślad poruszeń Michaela w dniu, kiedy nie wrócił do domu. Jake zatrzymał się chwilę, porządkując jeszcze raz fakty. Fakty zastanawiające. Poza tymtymi dwoma listami Michael nie pozostawił żadnej wskazówki co do swoich zamierzeń. Nie mając auta, był zdany na komunikację publiczną albo pomoc znajomych, ale szeroko zakrojone śledztwo nic w tej mierze nie wykryło. Nie wyglądało również, żeby korzystał z autostopu. Jadąc z Iowy polegał wyłącznie na ciężarówkach, ale nikt go nie widział na żadnym postoju w promieniu tysiąca mil. Jake powiódł wzrokiem po zbieraniu motocykli, półciężarówek i poobijanych aut na ospowatym parkingu. Dlaczego, u licha, Michael wdepnął do takiej spelunki? Starając się otrząsnąć z uczucia bezradności i przygnębienia, Jake mszył w kierunku swego wozu. Po utracie Scottiego utrata Mike'a była ponad siły. Musi być sposób odnalezienia go.

Ale jaki?

Zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy, poczynając od natychmiastowego ogólnokrajowego biuletynu i zaalarmowania całej sieci policyjnej. Uciekł się bezwstydnie do wszystkich kontaktów osobistych od Miami po Atlantę i od Nowego Orleanu po Nowy Jork. Mieszkańcom Florydy i sąsiednich stanów nazwisko i rysopis Michaela były znane równie dobrze jak twarze popularnych prezenterów telewizyjnych.

Mimo to nie wpłynęło nic prócz tej wiadomości, że go widziano wchodzącego do baru „U Lou”.



Podszedł wolno do swego wozu. Zniknięcie Michaela, tak jak uprzednio Scottiego, przysporzyło Jake\*owi sympatyków mimo otaczających je zagadkowych okoliczności. Jake jednak zauważył gorzko do Rachel, że póki jego synowie nie znajdą się znów bezpieczni w domu, nic go nie obchodzi kampania wyborcza.

Rachel! Towarzyszyła mu przez pierwsze trzydzieści sześć godzin, kiedy przeczesawał hrabstwo w poszukiwaniu Mike'a. Poczucie winy i wyrzuty sumienia ciążyły na niej jak przekleństwo. Nocami nie spała, twarz miała szarą. Zdawała się tak bliska załamania jak w pierwszych dniach po zniknięciu Scottiego. Jeżeli Jake początkowo wątpił w szczerść jej uczuć, to jego nieufność szybko się rozwiąła. Z tłumionym westchnieniem zatrzaskał drzwiczki auta.

Wyjeżdżał tyłem z parkingu, kiedy zaskrzeczało radio. Podniósłszy słuchawkę, wyrecytował do mikrofonu swój kod.

- Szeryfie, mamy problem. Jak szybko możesz tu być?
- Właśnie wracam. Dajcie mi osiem minut.

Jake nacisnął gaz. Włączył syrenę i światła alarmowe. „Problem” może oznaczać wszystko, ale fakt, że Mavis nie sprecyzowała, o co chodzi, oznacza, że nie chce tego podawać przez radio. Wezbrała w nim nagła nadzieja. Najpierw i nade wszystko jest ojcem, dopiero później stróżem prawa.

- Coś w sprawie Mike'a?

Wahanie Mavis starczyło za odpowiedź.

- Niestety, Jake. Nie.

Pokiwał głową, z rozpaczą w oczach.

- Sześć minut - rzucił i wyłączył się.

Rachel stała w pokoju Michaela przed akwariem, kiedy usłyszała na podjeździe auto Jake'a. Spiesznie otarła wierz-

chem dłoni policzki. Zerknąwszy w lustro, stwierdziła, że wygląda względnie po ludzku. Zresztą nie miało to większego znaczenia. Jake nie spojrział na nią, nie spojrział naprawdę od ucieczki Michaela.

Sięgnęła po puszkę z karmą dla ryb, wsypała trochę. Akwarium zawsze dawniej ją uspokajało swoim cichym bulgotaniem wody, lecz wraz ze zniknięciem Michaela magia jakby przysła. Jednakże w tym pokoju czuła najbardziej jego bliskość i przynajmniej nie odchodziła od zmysłów z wyrzutów sumienia, bólu i osamotnienia. Kiedy Michael wróci - bo uparcie odrzucała myśl, że może nie wrócić - będzie mu miała tyle do powiedzenia. Trudno będzie wytłumaczyć czternastolatkowi, dlaczego tak się zapamiętała w swoim rozżaleniu na okoliczności, w wyniku których przyszedł na świat. Ale Michael jest ponad wiek dojrzały i ma wrodzoną wyrozumiałość dla ludzi, rzadką u dorastających chłopców. Liczyła więc na jego wielkoduszność i przebaczenie. Chciała mu być matką. Wkradł się do jej serca od razu tego pierwszego wieczora, kiedy popatrzył na nią oczami Jake'a i przeprosił, że jej sprawia ból. Zamrugała, bo oczy zapiekły ją od łez. Jest matką Michaela. Czuje się jego matką pod każdym względem. Chciała mu to powiedzieć.

- Cześć!

Drgnęła na dźwięk głosu Jake'a. Nie spodziewała się, że będzie jej tu szukał. Ukradkiem otarła oczy, rada, że jest ciemno i tylko mętny blask akwarium oświetla pokój.

- Cześć! - Spróbowała dojrzeć jego twarz. - Masz coś nowego? Dowiedziałeś się czegoś?

Pokręcił przecząco głową. Zatrzymał się przed akwarium i chwilę obserwowali razem ruchy rybki o długim ogonie, przewijającej się między listkami sztucznego bluszczu.

- Jak ci minął dzień?

- Pusto. Nie poszłam do pracy. - Oczy miała ciągle zwrócone na rybki. - Chcę być w domu, gdyby zadzwonił...

- Zna twój numer w szpitalu, Rachel. Zna mój numer w biurze. Niepotrzebnie to robisz.

- Tak wolę.

Jake przyjrzał jej się z profilu.

- Płaczesz?

Wzruszyła ramionami, nie mogąc wydobyć głosu.

- Trochę - wykrztusiła w końcu.

Wziął puszkę z karmą, patrzył na nią chwilę, w końcu odstawił ją na półkę. Z głębokim westchnieniem powiódł wzrokiem po pokoju.

- Tak się rozglądam, widzę jego łóżko, komódkę, biurko, ale nie widzę najmniejszego śladu, że kiedykolwiek tu mieszkał.

- Bo wszystko ze sobą zabrał.

- Tak.

- To jedyna rzecz, która podnosi mnie trochę na duchu. - Wskazała nagie blaty mebli, biurko bez jednego skrawka papieru ani ołówek, ściany ogołoczone z plakatów, którymi Michael je okleił w pierwszych dniach po wprowadzeniu się.

- Uciekł, ale zabrał ze sobą, co mógł, wszystkie pamiątki z okresu zamieszkiwania z nami. Znaczy, że był tu szczęśliwy - rzuciła z uczuciem. - Gdziekolwiek jest, nosi w sercu wspomnienie o nas. Mam nadzieję, że w końcu tęsknota za tobą przygna go z powrotem, bez względu na to, co myśli o mnie.

Jake dotknął jej ramienia przelotnym przesunięciem palców.

- On cię kocha, Rachel. To jeden z powodów, dla których uciekł. Rozumiał nasz problem lepiej, niżby rozumiała większość chłopców w jego wieku. Jego decyzja mogła się wydawać sensowna w oczach idealistycznego nastolatka.

- O, Jake! - Rachel zamknęła oczy. Napięcie, które ją podtrzymywało, zdawało się odpływać. Nogi groziły ugięciem się pod nią jak łodyga kwiatu więdnącego w żarze słońca. - Tak się o niego boję.

Przesunął kciukiem po jej drżących wargach.

- Ci-i. Może powinniśmy mu byli oboje poświęcać więcej uwagi. Może byśmy go powstrzymali, gdybyśmy przeczuli, że chce zrobić coś tak dramatycznego.

Niewiele myśląc, oparła się o niego, objęła go w pasie.

- Tak mi go brak, Jake.

Przyciągnął ją, zaplótł dłonie na jej plecach.

- Mnie też. - Spojrzał na akwarium, zachichotał cicho.  
- Zabrałby ten cały zbiornik z rybkami, gdyby mógł.

Wydała cichy jęk.

- Znajdę go, kochanie. Znajdę i sprowadzę do domu.

Z policzkiem na jego piersi, z mocnym biciem jego serca przy uchu, Rachel westchnęła. Przebaczył jej. Czuła to w tkliwości jego uścisku, w nieartykułowanym dźwięku, z jakim dotknął wargami jej skroni.

- Kocham cię, Jake.

- Och, Rachel...

Poczuła się lekka, prawie niefrasobliwa, tak wielkiej doznała ulgi. Dziw, że przebaczenie jednego człowieka może stanowić o różnicy między życiem a śmiercią. Ścisnęła dłońmi materiał jego koszuli na plecach.

- Myślałam... bałam się, że nigdy nie będę ci już mogła tego powiedzieć.

- Ci-i.

Pocałował ją w ucho, potem we wrażliwe miejsce pod brodą. Z rozchylonymi wargami sunął po jej szyi ku rozcięciu bluzki na miękkiej wyniosłości piersi. Od ciepła jego oddechu

dreszcz przeszedł ją aż do pulsującego sedna jej kobiecości. Pożądanie buchnęło płomieniem jak pożar lasu, zaparło jej dech w piersiach. Jest taki kochany, dzielona z nim namiętność taka cudowna, taka bezcenna.

- Jake...

Uniósł głowę, spojrzał jej pytająco w oczy.

Nie puszczając go, zawahała się, niepewna, czy potrafi mu to wytłumaczyć. Noc w Orlando była gorączkowym, desperackim odnajdywaniem się. Znaleźli w swoich ramionach pociechę, cierpienie dzielone z najbliższą osobą zelało o połowę. Żądza została ugaszona, wygłodzone zmysły doznały zaspokożenia. Lecz obudziwszy się rano, Rachel nie miała uczucia, że rozwiązało to ich problemy. Ich ciała współgrały, ale nie ich serca. Nie chciała powtórzenia się tego. Nie zniosłaby tego jeszcze raz.

- Muszę wiedzieć, co czujesz, Jake.

Wciągnął powietrze, po czym w nagłym wydechu wydał krótki śmiešek. Przyciągnawszy ją silniej, by dobrze poczuła jego podniecenie, zapytał:

- A jak ci się zdaje, maleńka? Nic ci to nie mówi?

- Jeśli mam powiedzieć prawdę, to niewiele.

- Chcę iść z tobą do łóżka, Rachel. Chcę cię kochać do utraty tchu, do szaleństwa. Chcę cię całować od stóp do głów... a potem zatopić się w tobie tak głęboko, że zapomnimy oboje o wszystkim, co nas gnębi. Przynajmniej na tę jedną noc. A rano może zechcę powtórzyć to jeszcze raz.. Oto, co czuję, Rachel.

- A co potem?

Przez parę sekund mierzył ją w milczeniu wzrokiem. Rachel doznała przelotnego skurczu współczucia dla jego zagubienia. Przez wszystkie lata małżeństwa nie spytała go ani razu, co czuje. Wystarczyła świadomość, że ją kocha i że jej to okazuje. Fakt, że ich małżeństwo przetrwało tak długo -

i tak szczęśliwie - stanowił swego rodzaju świadectwo głębi ich wzajemnego oddania. Tym wyrazistsze, że żadne nie odznaczało się umiejętnością dzielenia się sprawami naprawdę istotnymi. Teraz, żyjąc samotnie w mocno nadszarpniętym związku, potrzebowali czegoś więcej niż zespolenia ciał. Potrzebowali wspólnoty umysłów, serc i dusz.

Rachel uśmiechnęła się gorzko, niepewna, jak Jake to przyjmie. Czuła, że czeka, kiedy mu ustąpi, kiedy zdecyduje się poprzestać na ekstazie zmysłów, której niezawodnie dostąpią, gdy tylko pójdą za głosem ciała. Ponieważ jednak trwała w upartym milczeniu, poddał się z westchnieniem.

- Więc dobrze. Widzę, że chodzi o coś niezmiernie ważnego, tylko nie bardzo wiem, o co. Pomóż mi, kochana.

Rachel modliła się o odpowiednie słowa.

- Poszliśmy ze sobą do łóżka w tym motelu, ale to...

- ...nie załatwiło wszystkiego? Nie wróciliśmy do domu, żeby żyć odtąd szczęśliwie po kres naszych dni?

Oparła mu czoło na piersi, odprężona nieco w przypływie ulgi.

- Widzisz? Ty też to odczułeś.

- Pragnąłem cię, chyba w to nie wątpisz.

- Ja też cię pragnęłam. I to była upojna noc. Mimo to...

Zamknął oczy, przesunął dłonie z jej pośladków na plecy.

- Wiem, o co ci chodzi - powiedział po chwili. - Odsuwałem tę myśl. Liczyłem, że jakoś się to ułoży. Poszliśmy razem do łóżka. Wznowiliśmy przynajmniej tę część naszych stosunków. I gdyby nie zniknięcie Michaela...

....I gdyby się nie wydała ta moja idiotyczna historia z Ronem Campbellem..." - z drżeniem dokończyła w myśli.

Jake oparł jej brodę na głowie.

- Cóż, jedna wspólna noc nie wystarczyła, żeby wszystko naprawić.

Kiwnęła głową, przesunęła dłoń po jego piersi w powolnej pieśszczocie.

- Za dużo było do naprawienia, Jake.

- Tak.

- Scottie, moje zagubienie, potem Michael, to, czego był świadkiem, twoja historia z Miami...

Jego romans. Jedna noc. Zdrada. Ale kimże ona jest, żeby go potępiać? Świadomość własnej winy przelała się przez nią nową falą.

- Nie rozwiązaliśmy tego wtedy, Jake. - Zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem. - Możemy rozwiązać teraz?

Przyjrzał jej się z równą przenikliwością.

- Nie odnaleźliśmy jeszcze Scottiego.

- Ani Michaela.

- Ale odnajdziemy.

- Tak, odnajdziemy - powiedziała cicho, przytulając się do niego. Wargi zadrgały jej w przelotnym uśmiechu. - Pamiętasz ten mój sen?

- Tak. - Ujmując jej twarz, spytał: - Potrafisz zapomnieć o tej historii z Miami?

Odwrociła na chwilę wzrok, nim odpowiedziała:

- Myślę, że tak. Zraniło mnie to bardzo, ale było to w końcu tak dawno. I mamy dzięki temu Michaela. - Zrobiła szybki wdech. - A ty potrafisz zapomnieć o Ronie Campellu? - spytała obserwując go bacznie.

- Zapomnę, jak go zabiję.

- Jake!

- Już dobrze, dobrze. Ale powiedzmy tak: czy nie miałybyś ochoty zmienić pracy?

Kręcąc głową, uśmiechnięta, pocałowała go w rękę. Tylko chwilowe zaćmienie umysłu mogło ją pchnąć do narażenia się na utratę serca tego mężczyzny. Jakiegokolwiek by miał wady, pozostanie jedynym, którego kiedykolwiek będzie kochała.

- Co? - Uścisk Jake'a wzmógł się na moment, ponagłając ją delikatnie. - Możemy teraz pójść do łóżka?

- Kochać się, chciałeś powiedzieć - poprawiła szeptem i podała mu usta.

Są jeszcze inne sprawy, ale mogą poczekać. Teraz chciała być jego równą partnerką, pełną kobietą. Chciała być wszystkim, czym może być kobieta, chciała tego z tym mężczyzną. Na dziś wystarczy cieszyć się chwilą.

- Proszę - szepnęła zaplatając mu ramiona na szyi. - Już tak dawno...

Zaniósł ją prosto do sypialni. Miała na sobie tylko dżinsy i koszulkę sportową. Kiedy ją postawił na podłodze, zrzuciła je, nim Jake zdążył się rozebrać. Przez chwilę stali, patrząc sobie w twarz. Zbliżyli się do siebie równocześnie, bez gwałtowności, jaka ich popychała tamtej nocy w Orlando. Złączywszy wargi, zamknęli oczy.

Pocałunek był z początku delikatny, słodko swojski, ciepło erotyczny. Kołysząc się lekko, Rachel delektowała się doznaniem, które obejmowało ją całą, rozchodziło się jak fala po powierzchni głębokiej, głębokiej wody. Jej palce, z początku bezwolne, zaciskały się stopniowo na twardych mięśniach jego ramion. Zbliżyła się, złąkniona pełniejszego kontaktu z ciepłem jego ciała. Kiedy jej piersi dotknęły gęstych, ciemnych włosów na jego piersi, Jake z westchnieniem oplótł ją ramionami i przygarnął ciasno.

Uścisk, który był początkowo czułym potwierdzeniem wzajemnej przynależności, zmienił raptownie charakter. Jake



przechylił usta i ich języki się spotkały, zwarły. Dłonią rozpostartą na jej pośladkach przyciągał ją silnie. Jej piersi przyciśnięte do jego piersi pulsowały nabrzmiałe pełnią, która zdawała się słodkim cierpieniem. Z drzeniem powiodła jego palącą twardość ku swojej kobiecej miękkości, już gorącej, wilgotnej, gotowej. Czując tępe wniknięcie, wydyszała jego imię, lecz zaraz jego wargi, nagłace i głodne, stłumiły jej kwilenie. Kiedy rozdzielili usta, łapiąc spazmatycznie powietrze, oboje byli zdumieni, że tak prędko osiągnęli szczyt.

- Nie chciałem, żeby to było tak szybko - szepnął Jake z falującą pierśią.

- Nieważne.

Rachel pociągnęła go na łóżko. Padła nie wypuszczając go z objęć. Nie chciała go wypuścić. Nie chciała go nigdy więcej wypuścić.

Starając jej się ulżyć, Jake osunął się obok niej, przerzucił nogę przez jej uda.

- Ostrzegam cię, panienko - zamruczał i przerwał, żeby pocałować jej wyniosłą sutkę - zebrał mi się wielki zapas kochania.

- Mnie też.

Unióśł głowę, żeby jej postać uśmiech, jednocześnie ujmując dłonią jej pierś, drażniąc palcem jej wierzchołek. Rachel była już cała niecierpliwością, w dole brzucha czuła nabrzmiewający węzeł oczekiwania. Drżąc, wyprężyła pierś spragniona dotknięcia jego języka, tej niemal bolesnej pieśczoły, która zapierała jej dech, odzierała ją z wszelkiego skrępowania, przeganiała myśli w niebyt.

- Całuj mnie, Jake - poprosiła wplatając mu palce we włosy i naprowadzając usta na wezbraną sutkę. - Tutaj.

Jeśli odpowiedział, to Rachel tego nie słyszała. Krzyknęła,

gdy tylko poczuła wilgotne ciepło jego ust tam, gdzie tego pragnęła. Dłońmi zaciśniętymi na jego włosach prowadziła i ponaglała go do ssania, lizania, przygryzania. Cała rozedrgana, opadła na poduszki. Namiętność przelewała się przez nią jak rzeka, nurt unosił ją jak bezwolny liść. Nie wiedziała, kiedy jej nogi rozsunęły się same w instynktownym poszukiwaniu pełniejszego zaspokojenia.

Jake znał ją tak dobrze. Wyczuwając jej pragnienie, przesunął dłoń ku miękkiemu zakątkowi między jej nogami, poszukał ciepłego, wilgotnego otworu i zagłębił palec we wnętrzu.

Rachel wydyszała jego imię, lecz dźwięk jej głosu utonął w narastającej namiętności. Pocierając kciukiem nabrzmiąły ośrodek jej rozkoszy, Jake równocześnie uciskał i drażnił ją dłońią, a ona trzymała się go nieprzytomnie, jakby od tego zależało życie. W zapamiętaniu nie wiedziała, co się z nią dzieje, aż Jake nagle cofnął dłoń. Jęk jej protestu zamarł, gdy zamknął jej usta nowym głębokim pocałunkiem. Na udzie czuła jego gorący, gładki, twardy członek. Pociągnął ją pod siebie, rozpostarł w wygodnej pozycji.

Ich oczy się spotkały w jednym krótkim zwarciu wspólnej ekstazy, po czym Jake się zebrał i zanurzył w nią, wniknął do samego sedna. Łapiąc oddech, oparty na drżących ramionach, skupił się, żeby powstrzymać jak najdłużej swój spazm. Rachel wiedziała, że cała jego męskość domaga się natychmiastowego spełnienia, i delectowała się tym jego opanowaniem, delectowała poczuciem pełni, jakiej doznawała tak z nim spójna. Kobieta złączona z mężczyzną, jak być powinno.

Czując głęboko w sobie jego pulsujący żar, nie mogła się powstrzymać od instynktownego poruszania biodrami. Jake stęknął, cofnął się i odpowiedział pchnięciem. I jeszcze jednym. Jeszcze jednym. Rachel unosiła się przyjmując pchnie-

cie za pchnięciem, upajając się dźwiękami, które wydawał, odwieczną, instynktowną, niepohamowaną mową aktu miłosego.

Osiągnęła orgazm pierwsza, rozprysnęła się w miliardzie rozkosznych drgnień. Jake'owi trzeba było tylko ułyszenia i odczucia tego, by sam dosięgnął szczytu. Uczynił ostatnie potężne pchnięcie, wydał okrzyk uniesienia i wytrysnął, a jego potężnym ciałem wstrząsnęła seria nie kończących się, roztapiających duszę spazmów.

Kiedy oprzytomnieli, Rachel leżała przywarta do niego, oddech miała szybki i głośny, ciało zlane potem, osłabłe z rozkoszy, tak samo jak Jake.

- Boże! - wydyszał.

Rachel się roześmiała.

- To było fantastyczne - potwierdziła.

- Tak.

- Tego nam było trzeba.

- Yhm.

Zsunął się z niej, pociągając ją za sobą, żeby sięgnąć po przykrycie. Przygarnawszy ją ciasno, naciągnął koc i wydał westchnienie satysfakcji.

Rachel leżała milcząc w ciepłym nasyceniu, napawając się tym czymś mistycznym, co się zawsze wytwarzało między nią a Jake'em po seansie miłosnym. W ich pożycie wkrały się różne złe rzeczy, ale seks na pewno nie należy do nich. Skoro potrafili się tak idealnie zgrać pod tym względem, powinni móc się porozumieć również na innych płaszczyznach.

- Jake...

Ale Jake już prawie spał. Minęła chwila, nim odpowiedział, i to jedynie mruknięciem. Na wargach Rachel zaigrał uśmiech. Ci mężczyźni! Pół godziny gry miłosnej, zakończono-

ne paroma przyzwoitymi spazmami, i natychmiast zasypiają. Bum i po wszystkim. Wciąż uśmiechnięta, przesunęła mu dłoń po piersi.

- Jake.
- Mmm?
- Tak myślę...

Jęknął, po czym mruknął protestacyjnie, gdy mu delikatnie wyrwała parę włosów.

- Nie zasypiaj jeszcze.

Przytulił ją sennie.

- Zamieniam się cały w słuch.
- Mam zamiar złożyć jutro wypowiedzenie.

To go otrzeźwiło. Odsunął się trochę, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Chcesz rzucić pracę? Kochanie, ja żartowałem...
- Wiem. Rzucam pracę, bo chcę. Mam zamiar wrócić na studia.

Z westchnieniem rezygnacji, Jake się uniósł i oparł poduszkę o wezglowie łóżka. Usadowiwszy się, założył ramiona na piersiach. Ponieważ się nie odzywał, Rachel spytała:

- Co ty na to?
- Co ja na to? Co mogę powiedzieć na takie *dictum*? Jeśli mam jakieś zdanie w tej sprawie, to pozostanie ono moją słodką tajemnicą.

- To nie jest rozmowa, Jake. Czujesz do mnie anse, tak? Wydał krótki śmieszek.

- Anse?
- Żal, pretensję - wyjaśniła.
- Wiem, co to ansa, kochana. Tylko to takie staropanieńskie słowo. Nawet w twoich ustach.

- Nie jestem starą panną!

- Co ty powiesz?

Uszczypnął ją lekko w jedną z różowych sutek. Rachel z irytacją szarpnęła koc, żeby się osłonić, ale udało jej się jedynie odkryć Jake'a. Biała pościel uwydatniała smagłą atletyczność jego ciała, podkreślała jego męski *sex appeal*. Na sam ten widok coś się w Rachel poruszyło.

- Tylko skromne stare panny się czerwienią - zażartował widząc, jak krew uderza jej do twarzy.

- Wiesz, co ty robisz?

- Nie. Co takiego robię, Rachel?

- Drażnisz się ze mną. Wykorzystujesz mój pociąg płciowy, żeby się wymigać od rozmowy o ważnych rzeczach.

- Uważam, że pociąg płciowy to rzecz ważna.

Rachel westchnęła.

- Większość mężczyzn tak uważa. Ja zresztą też. Ale są poza tym rzeczy, o których musimy porozmawiać, Jake, a jedną z nich jest moja praca.

- O, rany, chcesz powiedzieć, że są i inne?

- Rzucam tę pracę, bo chcę robić coś sensowniejszego niż rejestrowanie chorych przywożonych z wypadków.

- Więc skorzystaj z propozycji Campbella. Zastępczyni dyrektora administracyjnego to stanowisko bardziej prestiżowe niż rejestratorka na Oddziale Nagłych Wypadków.

- Nie zależy mi na prestiżu, Jake. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak protekcyjnie mnie traktujesz? Nie pracuję dla zabawy. Zależy mi, żeby moja praca coś znaczyła. Czy to takie trudne do zrozumienia? Mam dyplom z psychologii, chcę zaliczyć jeszcze kilka dodatkowych przedmiotów, żeby móc pracować w szkole. Albo jako opiekunka społeczna w hrabstwie. To, czego się dowiedziałam o funkcjonowaniu rodzin zastępczych, świadczy, że jest w tej dziedzinie wiele do popra-

wienia. Chętnie robiłabym również coś takiego jak Jackie Kendall.

- Jackie Kendall jest dyplomowaną policjantką. Ukończyła Akademię Policyjną. Nie chcę, żebyś ty... - Urwał, zrobił głęboki wdech. - Powiedz mi, że nie zamierzasz zostać policjantką, maleńka. Proszę cię.

Rachel zachichotała cicho.

- Nie zamierzam, Jake. Podoba mi się tylko praca Jackie z trudną młodzieżą. Chętnie zajęłabym się czymś podobnym, ale niekoniecznie w aparacie policyjnym.

- Wobec tego idealna byłaby dla ciebie praca w Wydziale Rodzin Zastępczych.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Uważasz, że to dobry pomysł? Nie miałbyś nic przeciwko temu?

Wziął ją w ramiona, oparł się z powrotem o wezglowie.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa, kochanie. Jeśli ty tego pragniesz, to dla mnie bomba, jak mówią nasze małolaty.

Podeksytowana, wciągnęła z ulgą powietrze.

- Będzie cię to jedynie kosztowało - dorzucił Jake - nieograniczone usługi seksualne przez następne czterdzieści lat.

- Ty zbereźniku! - Z uśmiechem poprawiła się w jego ramionach. Wpatrzona w wiatrak obracający się leniwie na suficie, spróbowała zebrać myśli. - Czuję się dzisiaj prawie szczęśliwa, wiesz?

- O, rany! To dziękuję.

- Serio, Jake. Wydaje mi się, jakbym spędziła ostatnie miesiące na borykaniu się z demonami, których imion nawet nie znam.

- Spotkała cię najokrutniejsza tragedia, Rachel. Utrata

dziecka może załamać najsilniejszą osobę. Takie sprawy nie mijają bez echa.

- Chodzi nie tylko o Scottiego. Zawsze mi się wydawało, że do szczęścia potrzebne mi są pewne rzeczy, i najzabawniejsze, że nie mam teraz żadnej z nich, Jake. - Zerknęła na niego, nim przytuliła mu policzek do twarzy. - Oprócz ciebie.

- Jakich rzeczy nie masz?

- Tymi rzeczami nie były nigdy piękny dom ani BMW, ani członkostwo w Klubie Ziemskim. Przez wszystkie te lata byłam na tyle mądra, żeby wiedzieć przynajmniej to. Urodzenie dziecka, wychowywanie go w sposób, który się spotykał z powszechnym uznaniem, nienaganne prowadzenie domu, bycie przykładną żoną w oczach twoich i twoich wyborców... Tak, to były te rzeczy. Zauważ, jak dalece moja tożsamość miała zawsze za punkt odniesienia coś czy kogoś drugiego. - Przez chwilę wpatrywała się z zastanowieniem w wiatrak na suficie. - Nie mogę się teraz nadziwić, że tak przeżyłam tyle lat. Scottie przepadł, Michael uciekł, skandal skaził mój doskonały świątek, krótka próba pracy zawodowej wychodzi mi nosem. Prawdę mówiąc...

- Przedstawiasz to w taki sposób, jakby całe twoje życie obróciło się w garść popiołu.

- Bo pod pewnymi względami się obróciło.

Potrzebowała paru sekund, żeby zdać sobie sprawę z trwożnej nutki w jego głosie. Niechętnie słucha jej wynurzeń o niezadowoleniu z dotychczasowego życia. W nagłym olśnieniu zrozumiała, że poczuł się zagrożony. Czyżby nie zapewniała mu gwarancji, że będzie go kochała w szczęściu i w nieszczęściu? Skoro tak, to nie powinno jej dziwić, że zawsze się starał ją we wszystkim osłaniać. Musiało to być przytłaczające brzemie nawet dla człowieka o sile Jake'a.

- Chcę powiedzieć, że dopiero teraz zrozumiałam, że mogę żyć w zadowoleniu i zgodzie ze sobą bez wielu rzeczy, które uważałam dotąd za niezbędne.

- Czy aż tak okropnie było ci żyć jako pani szeryfowa McAdam?

Tym razem usłyszała w jego głosie wyraźny wyrzut.

- Nie, tylko że byłam ci żoną na pogodne dni, Jake, a zasługujesz na coś więcej. Żyłam jak mała dziewczynka pod skrzydłami opiekuńczego tatusia. Chroniłeś mnie przed brutalnymi faktami poszukiwania Scottiego dlatego, że przywykłeś osłaniać mnie przez całe życie.

Dłoń Jake'a zacisnęła się nieco za mocno na jej dłoni.

- To rzecz naturalna, że mężczyzna stara się osłaniać swoją kobietę - powiedział chrapliwie.

- Tak, ale nie do tego stopnia, do jakiego wymagałam czy na jaki pozwalałam. Nie odpowiada mi to, czym byłam.

- Diabła tam, Rachel, niczego takiego nie wymagałaś. Robiliśmy, cośmy chcieli.

- Reagowałeś na sygnały, jakie wymienialiśmy w języku kochanków, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

- No, wydawało się to... właściwe. W każdym razie z mojego punktu widzenia.

- Dobrze, powiedzmy, że wina jest obopólna.

Opuścił głowę na oparcie łóżka.

- Jakoś nie brzmi to tak, jakbym wyszedł z tej kontrowersji obronną ręką.

- To nie jest kontrowersja, Jake. To...

- ...wymiana myśli - dokończył takim tonem, jakby pozostawiało mu to niesmak w ustach.

- Można prześledzić pewien schemat wstecz aż do Miami - podjęła Rachel z namysłem. - Poronienia były dla mnie



tragedią. Tak bardzo chciałam mieć dziecko. Ale z fałszywych pobudek, teraz to wiem. Żeby się pełniej zrealizować. - Spojrzała na niego. - Dla ciebie też to było ciężkie, musiało być. Parę razy dawałeś mi do zrozumienia, że jestem wobec ciebie niesprawiedliwa...

Jake chciał zaprotestować, ale go uciszyła szybkim ruchem głowy.

- Miałeś rację. Ale ja cię kochałam, Jake. Czułam się tylko taka zagubiona, taka niepewna siebie. Twoja praca nie poma-gała. Była niebezpieczna. Nie potrafiłam się z tym pogodzić.

- Napędziłem ci śmiertelnego strachu, kiedy zostałem w końcu naprawdę postrzelony.

- No, napędziłeś. Ale choć może ci się to wydać dziwne, potrzeba było właśnie czegoś tak drastycznego, żebym zrozu-miała, jak bardzo cię kocham. I że chcę pozostać twoją żoną bez względu na to, czy będziemy mieli dziecko. Wyjechałam na ten tydzień do Tidewater, żeby przemyśleć wszystko. - Po-tarła z roztargnieniem policzek o jego ramię. - Gdybyś wtedy nie rzucił brygady antynarkotykowej, może dojrzałabym szybciej. Ale wyprowadziliśmy się z Miami, a życie w Tide-water toczyło się daleko od brutalnych realiów świata. Uśmie-rzyło to większość moich lęków, miałam tu mniej stresów. Ale kiedy teraz patrzę wstecz, widzę, że wtedy odepchnęłam oka-zję, żeby wytyczyć sobie cel, rozpocząć jakąś karierę czy zająć się jakąś godziwą działalnością, czymś, co by podbudowało moje poczucie własnej wartości. W Tidewater pozwoliłam się unosić fali, aż zdarzył się cud. Urodziłam dziecko.

- Ja pragnałem dziecka tak samo jak ty, Rachel.

Otarła się czule o niego.

- Może nie tak samo, ale miło, że to mówisz.

Uniósł jedną brew.

- Znowu się nad tobą rozczulam, tak  
- Nie szkodzi, jeśli to nie idzie za daleko. - Przechyliła głowę, żeby widzieć jego profil. - Zawsze ci zazdrościłam twojej... stabilności, mówiłam ci to już kiedyś? Byłeś zawsze taki pewny siebie, taki zdecydowany, podczas gdy ja się trzęsłam o wszystko, byłam jak chorągiewka na wietrze. Może to zabrzmiało okrutnie, ale mam uczucie, że dopiero zniknięcie Scottiego zmusiło mnie do dorostania. Widzisz w tym wszystkim sens?

Jake milczał tak długo, że Rachel się odsunęła, żeby go lepiej widzieć.

- Jake?

- Zastanawiam się, jak mogłem nie zauważyć, że żyjesz w takim stanie ducha.

- Wymiana myśli nie była nigdy naszą mocną stroną - odparła cicho. - Ale nie rób sobie wyrzutów. Ja zawsze wszystko dusiłam w sobie. Niczego nie zauważałeś, bo ja się z niczym nie zdradzałam.

- Wobec tego dobrze, że dorostaś, bo nie za bardzo mogłabyś obecnie na mnie polegać.

Ta jego uwaga przerwała na chwilę tok jej myśli. Rachel zmarszczyła w półmroku czoło.

- Co to znowu znaczy?

- Nie ty jedna borykasz się z demonami, Rachel.

Tak rzadko się zdarzało, żeby Jake wyrażał osobiste zwątpienie, przyznawał się do jakiegokolwiek słabości, że Rachel odebrało na chwilę mowę. Czy to fakt, że wylała przed nim swoje splecione myśli, sprawił, że łatwiej mu odsłonić własną przyłbicę?

- To trudny okres dla nas obojga - powiedziała ostrożnie. - Ja...

Urwała na dźwięk jego ostrego, niewesołego śmiechu.

- Trudny to delikatne określenie, nie uważasz?
- Masz na myśli zniknięcie Michaela? Czy Scottiego? Czy jeszcze coś?

Jedno i drugie, uświadomiła sobie raptem, kiedy odrzucił pled i zerwał się z łóżka. Wszystko to razem. W sypialni było ciemno, ale nie zapalił światła. Podeszedł do okna, rozsunął story. W świetle z ulicy jego naga sylwetka zarysowała się ostro.

- Przepadł jak kamień w wodę, Rachel.

Mówił o Michaelu, choć równie dobrze mógłby mówić o Scottiem. Po raz pierwszy przed oczyma Rachel otworzyła się głębia jego bólu. Jest oddany całym sercem rodzinie, miastu, hrabstwu, poczytuje sobie za punkt honoru zapewnienie im bezpieczeństwa. Jaką goryczą musi go napełniać poczucie, że zawiódł. Uważa to za osobistą klęskę, zrozumiała w nagłym olśnieniu. A ona, niech Bóg jej wybaczy, nie uczyniła nic, żeby mu ulżyć tego ciężaru.

- Wiem, że zrobiłeś wszystko, co możliwe.
- I co z tego? - rzucił gorzko.

Rachel wysunęła się z łóżka, sięgnęła po jedwabną koszulę nocną.

- To nie do wiary, żeby nikt w mieście nie zauważył samotnego nastolatka z torbą marynarską - powiedziała. - Musiał przecież korzystać z jakiegoś środka transportu. - Naciągnęła koszulę przez głowę. - A co z tym barem?

- Byłem tam dziś znowu. Nie wydusiłem jednej nędznej wiadomości z Lou Franka. Ale on coś wie, czuję to.

Rachel podeszła do niego. Chciała widzieć jego twarz.

- Jeżeli coś wie, to czemu ci nie chce powiedzieć?
- Dobrze pytanie. - Stał wpatrzony ponuro w pustą ulicę za oknem. - Zdobędę na nie odpowiedź. Pojadę tam jutro znowu i w ten czy inny sposób zmuszę Lou do mówienia.

Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć.

- Uważaj, Jake. To spelunka. Gromadzą się tam niebezpieczne typy.

Zmierzył ją uważnie.

- Nie mów!

- Tak! - Zacisnęła palce na jego ramieniu, potrząsnęła go lekko. - W szpitalu łataliśmy już kilka razy klientów Lou Franka. Noże, pistolety, ta egzotyczna broń azjatycka...

- Wstrząsnęła się. - Co tylko chcesz.

- Nic mnie nie powstrzyma, choćby sam diabeł rezydował „U Lou”, Rachel. Jadę tam jutro i nie wyjdę, dopóki się nie dowiem, co mój syn tam robił. - Wyrzucił z siebie te słowa gwałtownie, dając upust frustracji i strachowi, które w sobie dusił. - Nie mogę spieprzyć tej sprawy, u diabła!

- Spieprzyć...? - Wyraz jego oczu wstrząsnął Rachel.  
- Co ci jest? Stało się coś?

Odwrócił się od niej, zaplótł palce na karku.

- N-nic, nic się nie stało. - Urwał na moment. - Spokojna głowa. Poruszę niebo i ziemię, żeby ich odnaleźć, Rachel. Wierz mi...

- Jake! - Nim mógł dokończyć, wyciągnęła rękę i położyła mu palce na wargach. - Nie rób tego więcej. Obiecałeś.

- Przepraszam, maleńka, zapomniałem. - Kręcąc głową, roześmiał się cierpko. - Nie osłaniać więcej mojej kobiety. Nie wypinać piersi w domu. Nie udawać, że nad wszystkim panuję. - Skrzywił gorzko usta. - Z tym nie powinno być kłopotu. Jak dotąd, niewiele zdziałałem. Cały świat wali mi się na głowę, a ja się przyglądam bezradnie.

Rachel, ze ściśniętym sercem, szukała słów pociechy. Po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach znużenie. Zawsze wy-

dawał się taki niezmordowany, taki pewny siebie, a dziś ma twarz pobrużdżoną napięciem i niepokojem.

- Prawdę mówiąc, Rachel... - Urwał, popatrzył jej martwo w oczy. - Mam zamiar wycofać swoją kandydaturę.

- Nie mówisz chyba poważnie?

- Jak najpoważniej.

- Nie możesz tego zrobić!

- Czemu?

- Bo... No, bo to twój zawód. To, co kochasz. Hrabstwo Kinard nie miało nigdy lepszego szeryfa. Jesteś najlepszy...

- Najlepszy? - Odwrócił się od okna, podszedł do swojej bieliźniarki. Leżała na niej jego odznaka. Gwiazda szeryfa. Wzięła ją do ręki. - Śmiechu warte. - Odłożył odznakę z prychnięciem, spojrzał na Rachel. - Obudź się, moja droga. Popatrz na moje hrabstwo. Wszędzie narkotyki, miasto stało się ośrodkiem dystrybucyjnym na całą okolicę. Mego sześciolatniego syna porwano sprzed mojego własnego domu, mój drugi syn się rozplątał. Wiem, że musiało się stać coś niedobrego, bo inaczej Michael by tak nie zniknął.

Jego gniew zdawał się powoli wypalać.

- Co ze mnie za stróż prawa, jeśli nie potrafię uchronić własnych synów? Nie mówiąc już o zapewnieniu bezpieczeństwa innym dzieciom? Jak możesz w tej sytuacji twierdzić, że jestem najlepszym kandydatem na urząd szeryfa? - Pokręcił głową. - Otwórz oczy i rozejrzyj się, moja droga.

- Kiedy jesteś najlepszy, Jake - powtórzyła cicho, jak gdyby nie powiedział nic ważnego. - Jesteś najlepszym szeryfem.

Uniósł wzrok ku sufitowi, zastygł w tej pozycji.

- Skąd ta pewność? Wymień mi jeden argument.

- Znam cię.

- Ja też siebie znam - odrzekł z niesmakiem.

- Więc dobrze. Znam twoją uczciwość, twoje poczucie odpowiedzialności, twoją elementarną dobroć. Wiem, jak nie-nawidzisz niesprawiedliwości, wiem, że jesteś gotów ryzykować życie w obronie swoich zasad. - Z przejęcia ścisnęła mu ramię obiema rękami. - Gdzie obywatele hrabstwa Kinard znajdują drugiego takiego kandydata?

Przyglądał jej się w milczeniu. Zegarek, który mu kupiła na urodziny, wygrał melodyjnie półgodzinę. U sąsiadów zaszczekał pies. W oddali przetoczył się po nocnym niebie grzmot.

- Ty w to naprawdę wierzysz?

- Całym sercem.

Po dłuższej chwili Jake westchnął.

- No, faktycznie. J.B. Gonzales nie jest rozwiązaniem.

- A widzisz!

Z nowym, głębokim westchnieniem Jake wziął ją w ramiona.

- A co jeśli ich nie odnajdę, Rachel?

Rachel przypomniała sobie swój sen. Był taki wyrazisty, nie miała wątpliwości co do jego znaczenia. Chwytną się tej wiary, przytuliła policzek do ramienia Jake'a.

- Odnajdziemy ich - powiedziała z przekonaniem.

# Milczenie nocy

15

Rachel nalała w kuchni dwie filiżanki kawy. Z sypialni dochodziły ją znajome odgłosy porannej toalety Jake'a. Trzaśnięcie drzwiczek oznaczało, że wyszedł spod prysznica i nie wycierając się przystępuje do golenia nad umywalką po prawej stronie podwójnej toaletki. Po swojej stronie. Do niej należała lewa strona. Z filiżankami w dłoniach skierowała się do holu. Po raz pierwszy, odkąd go skazała na wygnanie, Jake mył się dzisiaj i golił w łazience przy wspólnej sypialni. Poprzysięgła sobie, że nie będzie musiał nigdy więcej używać łazienki gościnniej.

- Dojrzałeś do kawy? - spytała stawiając filiżankę na marmurowym blacie.

- Dzień dobry, kochanie.

Był mokry, gładko zaczesany i bardzo męski. Na policzkach miał jeszcze resztki piany po goleniu, lecz nie zważając na to, pochylił się, żeby ją pocałować. Chwilę trwali w słodkim zespoleniu wargi języków.

- Mmm, smakujesz czymś cierpkim i chłodnym.

- Soki pomarańczowym - mruknęła. - Odpowiada ci?

- Yhm.

Kiedy ją puścił i zabrał się do zmywania resztek piany, oparła się o toaletkę, żeby mu się przyglądać. Zawsze lubiła te wspólne chwile przed jego wyjściem do pracy. W okresie, gdy sypiali oddzielnie, brakowało jej tych momentów intymności. Próbowwała sobie wmawiać, że jest jej to obojętne. Ale tęskniła do tego. I to jak tęskniła.

- W dalszym ciągu zamierzasz złożyć dzisiaj wypowiedzenie? - spytał wycierając się energicznie ręcznikiem kąpielowym.

- List jest gotów i podpisany. - Wzięła ręcznik i wytarła mu plecy. - Masz jakieś szczególne plany na dzisiaj?

- Lou Franka - odparł krótko, naciągając białe kalesonki.

- Będiesz uważał?

- Będę, maleńka. - Sięgnął do szafy po koszulę, posłał jej przez ramię szeroki uśmiech. - Jeśli wolno mi cię nadal nazywać maleńką.

- Pod warunkiem, że mnie wolno nazywać cię zbierznikiem.

Jake zrobił do niej minę i oboje parsknęli śmiechem.

- Niewykluczone, że wrócę dzisiaj później - oznajmił po chwili, zapinając pasek spodni. - W mieście jest Rick Streeter.

- Rick Streeter? Z brygady antynarkotykowej?

- Tak. Obserwują całe wybrzeże, szczególnie w naszym hrabstwie. Szykuje się jakaś duża akcja. - Popatrzył na nią, wsuwając portfel do tylnej kieszeni. - Ale nic się nie bój. To wyłącznie ich akcja. My musimy być w pogotowiu, to oczywiste. Ale oni sobie bynajmniej nie życzą, żebyśmy się my, miejscowi, mieszały w ich rozprawę z bandziorami. Zresztą my sobie też tego nie życzymy.

Stała wpatrzona w przestrzeń za jego plecami.



- To się wiąże z tą ostatnią epidemią narkomanii w Tidewater, tak?

- Może.

Był już całkowicie ubrany, ale jakoś nie wychodził z sypialni. Stał przyglądając jej się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co się stało? - spytała.

- Masz tylko tyle do powiedzenia?

- W sprawie brygady antynarkotkowej?

- Tak.

- Czekasz na płacziwe kazanie o niebezpieczeństwach zadawania się z Rickiem Streeterem? I na listę przykazań, co masz robić, a czego nie robić, gdyby przypadkiem potrzebował twoich ludzi? - Z uśmiechem wzruszyła ramionami.

- Staram się zbytnio nie gderać.

Wsunąwszy kluczyki do kieszeni, przyciągnął ją do siebie.

- Trochę gderania daje mężczyźnie poczucie, że jest kochany - odparł pocierając nosem o jej nos.

- Znam lepsze sposoby okazywania ci, że jesteś kochany.

- Pocałowała go w szyję, tuż pod uchem. - Mniem, cudownie pachniesz.

Z dłońmi pod jej koszulką, rzucił szybkie spojrzenie na łóżko. Rachel roześmiała się cicho i otarła zachęcająco, erotycznie o jego udo. Jake zabierał się do rozwiązywania krawata, kiedy zadzwonił telefon. Ignorując jej drwiącą minę, poderwał słuchawkę.

- Tak.

Usłyszał głos Franka Cordoby.

- Przepraszam, Jake. Potrzebujemy cię tutaj.

- Co jest grane?

- Akcja anty. Jest Streeter.

- Napalony?

## Karen Young MILCZENIE NOCY

- Napalony.

- Będę za dziesięć minut.

Odłożył słuchawkę, równocześnie szukając drugą ręką w kieszeni kluczyków.

- Komplikacje? - spytała Rachel, która znała symptomy kryzysowych sytuacji.

- Na to wygląda. Zadzwoń, jak będę mógł.

Objąwszy go w pasie, odprowadziła do holu. Przy drzwiach przyciągnął ją i pocałował.

- Dokończymy... wiesz co... jak wrócę do domu - obiecał.

Uśmiechnęła się z wargami przy jego wargach.

- Kocham cię, maleńka.

- I ja cię kocham.

- Zamknij drzwi.

- Zamknę... zbereźniku.

Jego śmiech brzmiał jej w uszach jeszcze, gdy zamknęła zasuwę.

Ubrana do pracy, Rachel stała przed akwariem wsypując złotym rybkom karmę, kiedy rozległ się gong przy drzwiach. Z bijącym sercem wybiegła z pokoju, w nagłym przypływie nadziei. Ilekroć patrzyła na te nieme rybki, miała takie uczucie, jakby wraz z nią przyglądał im się Michael. Dobięła prawie do drzwi, nim sobie uświadomiła, że to nie może być Michael. Michael by nie dzwonił, ma przecież klucze.

Był to Todd Stewart.

- Todd!

Mimo woli rzuciła okiem przez jego ramię, czy jest sam, ale nikt mu nie towarzyszył.

- Dzień dobry, pani Rachel.

Posłał jej uśmiech, w którym pod pozorem pewności siebie kryła się ujmująca nieśmiałość.

- Cześć, Todd.

Odpowiedziała spontanicznym uśmiechem. Nie bez zdziwienia stwierdziła, że jego widok sprawił jej przyjemność. Wyraźną przyjemność. Todd miał jak zwykle włosy sztywne od jakiegoś mazidła i farby. Kiedy Michael przyprowadził go ostatnim razem, lewa połowa jego czupryny była fioletowa. Dzisiaj była pomarańczowa. Również kolczyk ma inny, zauważyła Rachel. Zamiast makabrycznej trupiej główki z pieszczelami, na jego lewym uchu dyndało cynowe kółko z napisem „Pokój”. Widać jego rodzice byli aktywistami ruchu pokojowego w latach sześćdziesiątych, pomyślała Rachel. Zaraz przypomniała sobie jednak brak jakichkolwiek więzów rodzicielskich w życiu Todda i pierś ścisnęło jej przypomnienie własnej utraty. Ukłuło ją jak nieoczekiwany cień w bukiecie róż.

- Mogę na chwilę wejść, pani Rachel?

- Oczywiście, Todd. - Otworzyła szerzej drzwi. - Przepraszam. Na twój widok... - Zdobyła się na uśmiech. - Kiedy cię zobaczyłam, pomyślałam o Michaelu i...

- Wiem. Spłynął.

- Szukam cię od paru dni - powiedziała.

- Przyjechała moja mama.

Powiedział to takim tonem, jakby powrót matki nie miał większego znaczenia.

- Słyszałam. - Tyle Rachel się dowiedziała od jego opiekuna społecznego. - Przyjechała na dłużej?

- Nie-e, już wyjechała. Do Atlanty. Tak przynajmniej planowała. Podróżuje ze swoim agentem. Powiedzieli, że po mnie przyślą, jeśli im wypali angaż. Bo ona jest śpiewaczką, wiedziała pani?

- Nie bardzo - bąknęła Rachel, poruszona losem tego chłopca.

Jak może matka zostawić własne dziecko na łasce obcych ludzi?

- Todd, chciałam cię zapytać o Michaela. Rozmawiałam z większością jego kolegów. Myślałam, że naprowadzą mnie na jakiś trop.

- Mówił mi, że może będzie musiał zrobić coś takiego.

- Musiał?

- Pieprzył coś bez sensu... O, p-przepraszam, pani Rachel. Powiedziałem mu to, ale nie bardzo słuchał. Był w parszywym nastroju, jeśli pani mnie rozumie. - Todd popatrzył na drzwi prowadzące do patia i basenu, pokręcił z niedowierzaniem głową. - Widziałem, że ma jakiś cholerny zgryz. Ale powiedział tylko, że to osobista sprawa, chodzi o panią i szeryfa. To było tego dnia, kiedy państwo pojechali do Orlando i okazało się, że ten mały to nie... Jak mu na imię, Sammie?

- Scottie - wyszeptała Rachel z dłonią na gardle.

- Rany, jaki on był tego dnia przegrany.

- I co więcej ci powiedział, Todd?

Złapała go za rękę i pociągnęła do gabinetu.

- Tak się zastanawiam. - Todd osunął się na kanapę, próbując najwyraźniej odtworzyć sobie rozmowę z Mike'em. - Odkąd usłyszałem, że się zmył, ciągle nad tym główkuję. Wkurzył mnie cholernie, że mógł w ogóle coś takiego zrobić. - Rzucił ponownie okiem na błękitną wodę basenu, iskrzącą się w słońcu jak fajerwerki na święto Czwartego Lipca. - Wygarnąłem mu, że jest ciemna masa, jeśli uważa, że pani go nie kocha.

Rachel zacisnęła palce na ustach, w poczuciu winy i skruchy.

- Kocham go, Todd, ale tak mi okropnie wstyd... Musiał

dopiero uciec, żebym zdała sobie sprawę, jak bardzo go kocham. Nie zdążyłam mu tego powiedzieć. Gdybym...

- Nie jestem wcale pewien, czy on uciekł, pani Rachel.

- Jak to?

Todd zrobił głęboki wdech, opuścił wzrok na ręce.

- Wiem, że to może brzmieć idiotycznie. - Zachichotał nerwowo. - Ale moja rodzina jest popie... pomyłona. Przy najmniej jej większa część.

- O czym ty mówisz, Todd? Co ma twoja rodzina do zniknięcia Michaela?

Todd wyprostował się na kanapie, spojrzął na nią spod oka.

- Ja mam pociotków, którzy mieszkają na bagnach koło Cross Corners. Słyszała pani o takim miejscu? - Kiedy Rachel kiwnęła głową, zgarbił się z powrotem na kanapie. - Rany, to cholerne miejsce, nic, tylko woda i błoto. A oni to... No, powiedzmy, nie tacy ludzie jak pani.

- I co? - ponagliła Rachel.

Nie pora była teraz na analizowanie jej własnych snobizmów. Wynagrodzi to później Toddowi. I Michaelowi.

- Opowiadałem o nich kiedyś Mike'owi. Ja ich unikam, jak mogę, bo to... - Wzruszył ramionami. - Co tu dużo gadać, to naprawdę wredne typy. Bandziory, rozumie pani? - Zmierzył ją badawczo, nim podjął: - Nie, nie rozumie pani. Nieważne. Dość że kiedy tam byłem ostatni raz, mieli u siebie takiego małego chłopca. Kręcił się koło domu, prawie nie odzywał. Mówili, że to jakiś ich krewny czy co.

Rachel usiadła, bo nogi się pod nią ugiwały.

- Rozumie pani, zanim poznałem Mike'a, nie zwracałem uwagi na te wszystkie fotografie pani synka. Scottiego, tak? A nawet jak go poznałem, też mi nie od razu zaskoczyło. Ale jakżeśmy się zaprzyjaźnili, nie mogłem przestać myśleć

o Scottiem. Bo Mike, no, on to bez przerwy kombinował, jak odnaleźć małego. Chciał się spiknąć z facetami od pornografii, że to może oni go trzymają. Chciał jechać do Miami, bo tam najwięcej bezdomnych małolatów. - Todd pokręcił głową. - Tak jakby w mieście o pół miliona ludzi można było tak sobie odnaleźć jednego sześciolatka.

- Proszę cię, Todd...

- Tak, dobrze... Więc im dłużej myślałem o tym chłopcu w Cross Corners, tym bardziej mi się wydawało, że wyglądał jak ten mały ze zdjęć.

Przez sekundę Rachel miała wrażenie, że się udusi z braku powietrza. W szaleńczym łomocie serca kłębiły się strach i nadzieja.

- Och, Todd!

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Powiedziałem Mike'owi o tym tamtego dnia.

- I myślisz, że Michael... że się wyprawił do Cross Corners?

- Nie wiem nic pewnego, ale niewykluczone.

- I myślisz, że ten chłopiec... że to może być Scottie?

- Och, pani Rachel! Nie chciałbym, żeby pani sobie robiła zbyt wiele nadzieje. Ja tylko...

- A jeśli to on i Michael się tam zjawił... - Urwała, zmarszczyła w zastanowieniu czoło. - Ale jakby tam trafił? Bagna są olbrzymie, ludzie się w nich topią.

- Mam takiego kuzyna, który przesiaduje w jednym barze przy szosie numer sześć - poinformował Todd. - On mieszka w Cross...

- W barze „U Lou”?

Todd posłał jej zdziwione spojrzenie.

- Tak, „U Lou”. Jeśli mówię o wrednych typach... No, to

są groźne bandziory. Nie rozstają się z nożami, z bykowcami...

- Trzeba zadzwonić do Jake'a. - Rachel porwała się na nogi. - Nie, trzeba jechać, porozmawiać z nim. - Podbiegła do baru, na którym leżały jej kluczyki. - Wiesz, gdzie ci ludzie mieszkają, Todd?

Todd podniósł się z kanapy.

- Tak, pani Rachel, ale nie możemy tam jechać na ślepo. Może to i moja krew, ale nie przeszkadza, że to paskudne typy.

Podniosła dłoń do gardła, odpychając myśl o tym, co Scottie mógł tam przeżyć przez te miesiące.

- Dlaczego paskudne typy?

- Po prostu źli ludzie - odparł Todd, jakby to wszystko tłumaczyło. - Ten malec tam, może to Scottie, a może nie. Ale ja myślę o Mike'u. Jeśli on tam trafił, to gdzie teraz jest? Dlaczego przepadł? - Szarpnął gors koszulki. - Jeśli mam być szczerzy, pani Rachel, to się o niego diabło boję.

Jake stał z Rickiem Streeterem przed mapą hrabstwa, kiedy usłyszał hałas pod drzwiami gabinetu. Rozpoznał głos Rachel i Todda Stewarta - i dech zamarł mu w piersi. Michael! Odnaleźli Michaela!

Widząc zmienioną twarz Jake'a, Rick urwał w pół zdania. Skierował w ślad za nim wzrok ku drzwiom, w których ukazała się kobieta. Za nią stał kilkunastoletni chłopak z pomarańczowymi włosami.

- Jake!

Ton Rachel wystarczył, by Jake odruchowo podbiegł do drzwi z wyciągniętymi ramionami. Pozwoliła się na moment objąć i przytulić, ale zaraz się odsunęła i podniosła na niego wzrok.

- Przepraszam, że tak wpadam, ale posłuchaj, co Todd...  
- Przełknęła i zaczęła od nowa: - Todd mówi... przypuszcza...  
- Chodzi o Michaela? - spytał Jake potrząsając ją delikatnie.

Przytaknęła energicznie głową.

- I o Scottiego! O nich obu!

Jake rzucił szybkie spojrzenie na Todda, który zaszurał niepewnie zbyt wielkimi butami, ale wytrzymał wzrok Jake'a.

- Nie mam pewności, panie szeryfie. Powiedziałem pani Rachel, że to może wcale nie Scottie. - Wzruszył ramionami.  
- Ale fakt, że wygląda jak na zdjęciach.

Nie puszcżając ręki Rachel, Jake położył dłoń na ramieniu Todda i wprowadził oboje do gabinetu.

- Jak się masz, Rachel?

Na dźwięk głosu Ricka, Rachel posłała mu szybki, nie-uważny uśmiech, po czym przedstawiła Todda. Jake przecesał dłonią włosy.

- Może zrobimy przerwę, Rick? Jest pewnie świeżo zaparzona kawa.

Rzucił okiem na zegar ścienny, chociaż ostatnią rzeczą, jaka go teraz interesowała, była przerwa na kawę.

- Świetna myśl - odparł Rick kierując się usłużnie ku drzwiom. - Miło było cię znowu zobaczyć, Rachel. Cześć, Todd. Nie musisz się śpieszyć, Jake. Zrobię swoim ludziom odprawę, spróbujemy rozwiązać te logistyczne zagadki. Okolica jest diabelnie trudna. Musimy pamiętać, że oni będą na swoim terenie, a my nie.

Po jego wyjściu Rachel i Todd zaczęli mówić jednocześnie.

- Jake, musisz...  
- Ja się mogę mylić...



Jake podniósł rękę.

- Powoli. Nie mogę was słuchać obojga naraz. Rachel, powiedz, czego się dowiedziałaś.

Nie spuszczając z niego wzroku, Rachel przycisnęła palce do warg. Starła się zebrać myśli, ale nie mogła opanować drżenia dłoni.

- Jake, to... Nie uwierzysz.

- Opowiedz wszystko po kolei, sam zdecyduję - odparł, z trudem powściągając niecierpliwość.

- Todd widział u swoich krewnych chłopca, który wygląda jak Scottie.

Jake zmierzył Todda ostrym spojrzeniem.

- Czemuś wcześniej nie powiedziała, synu?

- Nie zrobił tego rozmyślnie - wtrąciła szybko Rachel. Chciała chronić Todda, wiedząc, że Jake, wyprowadzony z równowagi, bywa niesprawiedliwy. - Dopiero dzisiaj sobie to skojarzył.

- Co skojarzył? - zapytał Jake zwracając się z powrotem do Rachel. - I co to ma wspólnego z Michaeliem?

- Todda nie zastanawiało, że u jego krewnych pojawił się nieoczekiwane mały chłopiec, dopóki się nie zaprzyjaźnił z Michaeliem. Todd mówi, że Michael ciągle myślał o swoim małym braciszku. Na mieście stale natykali się na fotografie Scottiego i Michael często o nim opowiadał Toddowi.

- Rany, Mike nie potrafił mówić o niczym innym - wtrącił Todd.

- Stopniowo Todda uderzyło podobieństwo fotografii do chłopca, którego widział w Cross Corners.

- Gdzie? - prychnął Jake.

- W Cross Corners - powtórzyła Rachel. - Ale to jeszcze nie wszystko, Jake. Todd...

- O, Boże! - jęknął Jake opierając się o biurko.
- Co się stało?

Jake potarł skronie, zdając sobie sprawę, że nie może zdradzić więcej. Nie mógł powiedzieć Rachel, że Cross Corners to przypuszczalnie baza kartelu narkotykowego i że ludzie Ricka Streetera szykują na nią tej nocy nalot. Arsenał broni palnej ściągnięty na tę operację zaszokował nawet Jake'a. Przez dziesięć lat, odkąd się wycofał z tej zabawy, sprawy zaszły daleko.

- Co się stało? - powtórzyła Rachel.
- Cross Corners to nie jest Disneyland - odpowiedział.
- Mieszkają tam szumowiny spod ciemnej gwiazdy.
  - - Już pani Rachel to mówiłem - potwierdził Todd.

Jake skupił na nim uwagę.

- Dlaczego myślisz, że Michael może tam być, Todd?
- Rozmawialiśmy o tym w szkole, a po południu tego dnia Mike się zmył. Nie powiem na pewno, że tam jest, ale był taki napalony, chciał za wszelką cenę odnaleźć Scottiego, że chyba nie przepuścił okazji, żeby przynajmniej sprawdzić.

- W jaki sposób by tam trafił? - spytał Jake. - Logiczną rzeczą byłoby poprosić ciebie, żebyś go zaprowadził.

Todd zrobił niepewną minę, oczekując krytyki. Rachel pośpieszyła mu z pomocą.

- Todd spędził ostatnie dwa dni z matką. Przyjechała nieoczekiwanie.

Jake kiwnął głową.

- Więc jak Michael miałby tam trafić? Jak mógł znaleźć tych twoich krewnych?

- To właśnie takie niezwykle - powiedziała Rachel chwytając Jake'a za rękę. Oczy błyszczały jej podnieceniem. - Według Todda, jego kuzynem jest taki ciemny typ, który przesiaduje...

- ..w barze „U Lou”? - dokończył za nią Jake.

- Tak!

Uśmiech Rachel był zarazem triumfujący i niepewny.

- Jak się nazywa ten twój kuzyn, Todd?

- Willard Biggs.

- Zgadza się - powiedział cicho Jake.

- Co się zgadza?

Uśmiech zamarł Rachel na wargach. Jake wstał i zaczął spacerować po gabinecie.

- Widziałem go wczoraj u Lou. Odwrócił twarz, jak mnie zobaczył, po czym się zaszył w jednym z boksów.

- Po co on miałby porywać Scottiego, Jake?

Ujął dłoń, którą trzymała na jego ręce, ścisnął ją dla dodania otuchy.

- Nie wiem, maleńka, ale już ja się tego dowiem.

- Szeryfie...

Oboje, Jake i Rachel, spojrzeli na Todda.

- Jeżeli Mike zaczął się rozpytywać i ten mój kuzyn zabrał go do Cross Corners, a Scottie tam jest...

Todd nie musiał mówić więcej. Wszyscy troje wiedzieli, na jakie niebezpieczeństwo naraził się Michael zaczepiając Willarda Biggsa.

Rachel poczuła, jak jej się ściska żołądek. Od sześciu miesięcy wyobrażała sobie koszmary, jakie może przechodzić jej mały synek. Ale przez cały czas trzymała się kurczowo wiary, że jakoś to przetrwa. Że żyje. Obaj jej synowie żyją. Muszą żyć.

Oślepiająca błyskawica rozświetliła mrok, huk pioruna wstrząsnął drewnianymi ścianami i lunęła nawałnica. Deszcz lał się takimi strumieniami, że zdawało się, iż dach z blachy

falistej zawali się pod jego naporem. Niechby się zawalił, westchnął zgębiony Michael. Tysiąc razy obmacał każde spojenie i każdą szczelinę wędzarni i wiedział, jak solidnie jest zbudowana. Trzeba by czegoś więcej niż ulewy, żeby ją naruszyć.

- Boję się, Mike.

Michael objął drobne ramionka Scottiego, przytulił braci-szka.

- Czego się boisz, Scottie. Odrobina deszczu jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Mogłoby być gorzej.

Scottie popatrzył wielkimi oczami na starszego brata.

- Co by mogło być gorsze?

- Mogłaby być burza śnieżna - odparł Mike z szerokim uśmiechem.

- Ja nigdy nie widziałem śniegu.

- Za to ja widziałem i wierz mi, deszcz jest lepszy.

Słyszając to, Scottie nieco się odprężył. Kiedy zadudnił następny grzmot, tylko nieznacznie drgnął.

- Powiedz mi jeszcze raz, jak stąd uciekniemy.

- No, przede wszystkim musimy się wydostać z wędzarni. Mam już plan. Będziemy musieli uciec w nocy, bo wtedy nas nie wytropią.

Jak za każdym razem, kiedy dochodzili do tego punktu, Scottie mu przerwał:

- Ty się nie boisz ciemności?

- Nie! Rany, to tak samo jak za dnia, tylko będzie lepiej uciekać.

- To ja się też nie boję.

- Jasne.

Michael ścisnął drobne ramionka i Scottie oparł się ufnie o niego.

- I co dalej?

- Będziemy się trzymali drogi, ale będziemy bardzo uważni. Jak tylko coś usłyszymy, schowamy się w krzakach. Liczę, że do rozwidlenia, które prowadzi do szosy, jest jakieś pięć mil. Dasz radę przejść pięć mil?

- Jak ty dasz, to ja też.

- A tam już będziemy u siebie, bracie. Bo jak tylko wyjdziemy na szosę, zatrzymamy jakąś brykę i ona nas podwiezie pod sam dom.

- A ty się na tym znasz, bo przecież przyjechałeś autostopem z Iowy, prawda?

- Prawda.

Scottiemu kleiły się oczy. Dawano im zwykle bardzo skąpo jedzenia i energia chłopca wyczerpywała się szybko.

- Mamusia się ucieszy, jak mnie zobaczy - powiedział sennie.

- No, myślę! - przytaknął cicho Michael, przełykając ślinę.

Przesunął się lekko, żeby Scottie mógł się trochę wyciągnąć. Może dzięki temu pośpi trochę dłużej. Znaczyło to, że on sam będzie musiał spać z podwiniętą nogą, ale nie było na to rady. Zresztą skuty łańcuchem z braciszkiem, i tak nigdy nie spał długo.

# Milczenie nocy

16

Rick Streeter spojrział z niedowierzaniem.

- Chyba nie mówisz serio, Jake? Biuro przygotowuje tę operację od dwóch lat, mamy szansę wygarnąć Ramireza i jego bandę, a ty chcesz, żebym odwołał akcję?

Strach ściskający Jake'owi trzewia eksplodował nagłym gniewem.

- Guzik mnie obchodzi Ramirez i jego parszywa banda, Rick. Te oprychy trzymają obu moich synów, muszę ich dzisiejszej nocy uwolnić. Wiesz dobrze, że jak im się zwalicie na kark, może się zrobić strzelanina jak na wojnie. Nie dopuszczę, żeby moi synowie znaleźli się na linii frontu.

- Współczuję ci, Jake, ale...

- Nie gniewaj się, Rick, ale mało mnie interesuje twoje współczucie, kiedy w grę wchodzi życie moich synów. Możesz ze mną współdziałać, jeśli chcesz, ale to jest moje hrabstwo i bezpieczeństwo jego mieszkańców liczy się dla mnie bardziej niż wygarnięcie kolumbijskich gangsterów, którzy się zaszyli na bagnach.

- Nie chcę interweniować nad twoją głową, Jake.

- Więc nie interweniuj. Występuję jako najwyższy rangą przedstawiciel prawa w hrabstwie Kinard, powołany do chronienia obywateli i do służenia im w sposób, jaki uznam za stosowny. Wiem, jaką wagę biuro przywiązuje do tej operacji, i nie mam najmniejszego zamiaru jej torpedować. Ale nie pozwolę ci wkroczyć do akcji, dopóki nie wydostanę moich synów z Cross Corners. Od tego nie odstępę.

Rick się skrzywił.

- Niech cię diabli, Jake...

Jake wciągnął spazmatycznie powietrze. Zrozumiał, że wygrał. A sprawa wisiała na włosku. Bóg raczy wiedzieć, ile tysięcy dolarów biuro zainwestowało w operację Cross Corners. Rozumiał Ricka. Jako były pracownik brygady antynarkotykowej nie miał wątpliwości, jakie będą konsekwencje, jeśli Ramirez zostanie spłoszony.

- Jadę z tobą.

Przerwawszy przypasywanie służbowego rewolweru, Jake wzniósł wzrok ku sufitowi.

- Rachel, to nie pora na jeszcze jedno kazanie o męskiej dominacji. Cross Corners nie jest miejscem dla kobiet. Ci ludzie są bezwzględni. Nie liczą się z prawem i jego przedstawicielami, a jeszcze mniej z przypadkowymi świadkami. Jak tylko się zorientują, że ich organizacja jest zagrożona, otworzą ogień z całej broni, jaką mają. A mają jej pod dostatkiem, zapewniam cię.

- Nie zamierzam szturmować z tobą fortu, Jake -jęła cierpliwie tłumaczyć Rachel. - Ale nie chcę siedzieć i czekać w domu.

Wiedziała, że nikt nie dopuści jej w pobliże Cro\$ss Corners. Jake ze względu na jej bezpieczeństwo, Rick dlatego, że obe-

ność każdej osoby postronnej grozi dodatkowymi komplikacjami, których chce za wszelką cenę uniknąć.

- Proszę cię, Jake.

Na wypowiedzianą szeptem prośbę Jake obrócił się do niej z ociąganiem.

- Bądź rozsądna, Rachel. Rick już dostatecznie nadstawia karku wstrzymując akcję, dopóki nie stwierdzą, czy chłopcy znajdują się gdzieś w melinie Ramireza. To moja jedyna szansa.

- Ee, panie szeryfie...

- Co, Todd?

- Nie ma pan żadnych danych, gdzie może być Mike i Scottie, prawda?

- Nie. Muszę to dopiero wy badać. - Z ustami zaciśniętymi w wąską linię, Jake nasunął na głowę kapelusz. - Ale jeśli tam są, to ich znajdę. A jak znajdę, to ich stamtąd wydostanę.

Todd przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

- Bo tak sobie pomyślałem...

- Co pomyślałeś?

Jake zmierzył go ostrym spojrzeniem.

- Ja znam dość dobrze zabudowania Biggsa. Może bym poszedł przodem i wymacał grunt.

Jake posłał mu krótki uśmiech.

- Dziękuję, Todd, ale to zbyt ryzykowne.

- Wiem, co pan myśli, szeryfie, ale jak mnie zobaczą, to pewnie się specjalnie nie zdziwią. Znają mnie dobrze, więc nie wpadną w panikę, tak jak na widok pana. - Wzruszył ramionami, jakby przeproszał za swoich krewniaków. - Rozumie pan, oni tam nie przepadają za obcymi, nie mówiąc już o przedstawicielach prawa. Jakby pana wykikowali, toby panu dali popalić.



- Jake...

Rachel posłała mu wystraszone spojrzenie.

- Nic mi nie będzie, Rachel. Nie doszło jeszcze do tego, żebym musiał się wysługiwać nieletnimi chłopcami.

Jego słowa utonęły w huku pioruna. Jake naciągnął poncho od deszczu i skierował ich przed sobą do drzwi gabinetu. Na jego widok podniósł się od biurka Frank Cordoba z kubkiem kawy w ręce.

- Parszywa pogoda, Jake.

Jake skwitował to mruknięciem. Cóż, burza może mieć swoje dobre strony. Ulewa ogranicza wprawdzie widoczność, ale ogranicza ją także Biggsowi.

- Gdzie jest Rick?

- Właśnie miałem do ciebie wejść...

Jake zaklął soczyście.

- Mam nadzieję, że nie odjechali?

- N-nie. - Frank dopił kawę i, nie zważając na karcące spojrzenie sierżanta dyżurnego, postawił kubek na kontuarze. - Czekają na parkingu z zapalonymi silnikami. Znasz tych federalnych. Po dwudziestu miesiącach przygotowań świerzbią ich ręce. Nie chciałbym, żeby nadzieja na awans popchnęła Ricka do czegoś ryzykownego, zanim wydostaniemy twoich chłopców.

- Wydostaniemy? - spytał Jake unosząc brwi.

Frank wzruszył ramionami.

- Nie sądzisz chyba, że cię puszczą samego do tej meliny, szefie?

Jake otworzył usta, żeby zaprotestować, ale uprzedziła go Rachel.

- Dziękuję, Frank.

Frank posłał jej przelotny uśmiech.

- Na wszelki wypadek - zwrócił się do Jake'a - przydzie-

liłem radiowóz do pilnowania Streetera i jego ludzi, dopóki nie załatwimy sprawy. Jak im potem damy sygnał, niech już sobie robią, co im nakazują ich wrażliwe federalne sumienia.

Kręcąc głową, Jake skierował wszystkich do wyjścia. Frank przesadza pewnie z podejrzliwością wobec brygady z Miami, jednakże na wszelki wypadek Jake postanowił nie odwoływać radiowozu. Gdyby któregoś z federalnych zaświeźbiała rzeczywiście ręka do pociągnięcia za spust, nim on oswobodzi synów, mogłoby się to skończyć tragicznie. Wyszedłszy na deszcz, Jake zaczekał, aż Rachel otworzy parasolkę, po czym, skuliwszy ramiona, odprowadził ją i Todda do auta. W ich życiu nie ma miejsca na jeszcze jedną tragedię.

Jadąc za Jake'em, Rachel włączyła kierunkowskaz i skręciła w lewo na pierwszym skrzyżowaniu. Widziała, jak tylne światła jego wozu oddalają się i nikną szybko w deszczu i mroku.

- Nie wiem, jak ci dziękować, Todd, że przyszedłeś z tą wiadomością. Nigdy ci tego nie zapomnimy oboje z Jake'em.

- Co pani? - Siedzący obok Todd spuścił głowę. - Pluję sobie tylko w brodę, że mi wcześniej nie zaskoczyło.

Posłała mu uśmiech.

- Dobrze, że ci w ogóle zaskoczyło. Dla mnie to prawdziwy cud.

Czując, że go wprowadziła w zakłopotanie, Rachel zachowała resztę dla siebie. Po powrocie Scottiego i Michaela - bo wierzyła święcie, że powrócą do domu - będzie dość czasu na przeanalizowanie wypadków, które do tego doprowadziły. W pojawieniu się Michaela akurat w tym momencie jej życia widziała teraz wyraźny palec boży. Bo gdyby się nie pojawił, gdyby nie był taki, jaki jest, gdyby się nie zaprzyjaźnił z Toddem, gdyby się nie poczuł zmuszony do odejścia... Tyle tych

gdyby. Tyle brzemiennych w skutki zbiegów okoliczności. Starczy ich, żeby ją nauczyć pokory na resztę życia. Poprzy sięgła sobie, że nigdy więcej nie straci z pola widzenia tego, co się naprawdę liczy - rodziny, dzieci, miłości, prostej ludzkiej dobroci.

Przez parę minut jedynym dźwiękiem w aucie był chrobot wycieraczek. W pewnej chwili Rachel zauważyła nieuchwytny niepokój w zachowaniu Todda. Poruszał nerwowo kolanem, wodził dłońmi po udach. Przesunął się na siedzeniu i obrócił głowę do okna, jakby ważył coś w myśli.

- Chcesz coś powiedzieć, Todd?
- Zna pani drogę, która prowadzi do tych moich krewniaków, pani Rachel?

Oderwała na moment wzrok od przedniej szyby, żeby mu posłać szybkie spojrzenie.

- To jedyny dojazd do nich, prawda?
- No, niezupełnie. Jest jeszcze stara droga. Bardzo zła, pełna dziur, wyrw, wybojów. Nikt jej właściwie nie używa, odkąd poprowadzili tę odnogę od szosy numer sześć. Więc tak sobie pomyślałem...

- To by było zbyt wielkie ryzyko, Todd. Jake też uważa, że ci twoi kuzyni to niebezpieczni osobnicy. Jeśli porwali Scottiego, a teraz trzymają Michaela, to Bóg wie, do czego są zdolni, jak poczuja, że grunt im się pali pod nogami.

- Pewnie pani ma rację. To głupi pomysł.
- No, może nie głupi, Todd. Ale powinniśmy chyba zostawić sprawę ludziom szkolonym do interweniowania w takich wypadkach. Przedstawicielom prawa.

- Chyba tak.

Zaległo milczenie. Deszcze nieco zelżał, więc Rachel przestawiła wycieraczkę na wolniejsze obroty.

- A gdzie właściwie jest ta droga, Todd?

Todd odpowiedział jej szerokim uśmiechem.

- Niech pani skręci w lewo na najbliższych światłach.

Jake przypuszczał, że Rick Streeter musi kłać pogodę. W ciągu czterech godzin spadło dziesięć centymetrów deszczu. Po zapadnięciu nocy deszcz wprawdzie ustał, ale poziom wody na rozlewiskach nadal się podnosił. Zdejmując z Frankiem Cordobą z dachu auta pirogę, Jake słyszał chlupot tuż przy szosie. Odczekał, aż Frank wsiądzie do niewielkiej łódki, wzorowanej na pirogach używanych przez Kreolów na płytkich rozlewiskach Luizjany. W tej wyprawie miała ona wyższość nad motorowymi amfibiami i płaskodennymi krypami, jakimi będą się musieli posłużyć ludzie Streetera. Brygada uderzeniowa liczy kilkudziesięciu ludzi, więc siłą rzeczy potrzebuje większych jednostek pływających. Im szczęśliwie wystarczy jedna mała piroga, powinni nią dotrzeć szybko i cicho pod sam dom Biggsa.

- Dobra, włącz.

Stłumiony głos Franka ledwo doszedł uszu Jake'a z odległości kilku metrów. Nie zważając na błoto i mogące się w nim roić jadowite stwory, Jake wszedł po kolana w wodę i wdrapał się do pirogi. Obaj z Frankiem często łowili ryby i polowali na bagnach, więc zdawali sobie doskonale sprawę z niebezpieczeństw. Ciche wody i strażujące wśród nich wiekowe cyprysy znały rozliczne, osnute legendą tajemnice.

Jake odepchnął silnie wiosłem pirogę od błotnistej pobocza szosy. Z myśli nie schodzili mu synowie i zasadzki, jakie mogą na nich czyhać. Sunąc bezgłośnie po wodach, czarnych jak bezksiężycowe niebo, stłumił nagły przypływ miłości ojcowskiej, pomieszanej z determinacją. Jest blisko celu. Jest

wreszcie blisko. Rozglądając się po przejmującej dreszczem nocnej scenerii, przypomniał sobie sen Rachel. Zamiast niepewnością i lękiem napełniło go to otuchą.

„Uszy do góry, chłopcy. Jadę do was”.

Wyczuli bliskość bazy Ramireza, zanim ją zobaczyli. Mając nadzieję na nią natrafić, Jake trzymał się na północ od drogi dojazdowej. Wiedział, że Ramirez nie jest głupcem i nie ulokowałby punktu wyładunku narkotyków wartości milionów dolarów w miejscu, do którego każdy może trafić. Jedyne sensowne było usytuowanie go na terenie dostępnym tylko wodą. Kilka następnych pociągnięć wioseł przeprowadziło ich przez labirynt pokrzywionych cyprysów i gęstych, nisko płózających się zarośli. I oto znaleźli się przy bazie.

Nie było w niej prawie świąteł. Jeszcze jeden sensowny środek ostrożności, stwierdził Jake. Rozpoznanie z powietrza wykryłoby szybko jasno oświetlone, świeżo ogrodzone zabudowania magazynowe pośrodku bagien.

W innych okolicznościach baza międzynarodowego kartelu narkotykowego wzbudziłaby w nich żywe zainteresowanie. Ale nie tej nocy. Jake dał Frankowi znak, żeby płynąć dalej. Według Todda, gdzieś w pobliżu miała się znajdować siedziba Biggsa.

Wiedząc, jak dźwięk niesie po wodzie, w zupełnej ciszy sterowali pirogę przez wezbrane rozlewiska, trzymając się w bezpiecznej odległości od zabudowań bazy. Po paru minutach usłyszeli muzykę *country*. Jake skinął do Franka i skierował pirogę w tę stronę. Po chwili przez zagajnik cyprysów ujrzeli oświetlone okna. Podpłynawszy bliżej, zatrzymali się, żeby zlustrować koślawy dom i kilka szop. Dom stał na palach, dobre trzy metry nad ziemią. Ryk muzyki dochodził z pomieszczenia służącego najwyraźniej za kuchnię. Wewnątrz poruszało się kilka osób.

- Dzieci - szepnął Frank.

Obecność dzieci stanowiła komplikację, której żaden z nich nie przewidział. Nie mieli najmniejszej ochoty postrzeżyć dziecka, gdyby musieli użyć broni.

Z dudniącym sercem, Jake obserwował postacie ukazujące się w oknie. Po paru minutach doszedł do wniosku, że dzieci jest prawdopodobnie tylko dwoje. Płowowłosa dziewczynka, w wieku Scottiego, i ciemnowłosy chłopiec, wyglądający na jakieś dziesięć lat. Michaela ani Scottiego wśród nich nie było.

- Najpierw zabudowania gospodarcze - mruknął ledwo słyszalnie Frank. - Łatwiej je sprawdzić od domu.

Jake potwierdził skinieniem głowy. Przy obecności może pół tuzina osób w domu, niemożnością było sprawdzenie niepostrzeżenie wszystkich pomieszczeń. Samo zajrzenie w okna wzniesionej na palach budowli stanowiło problem. Jake wolał na razie nie myśleć, co robić, jeśli chłopcy są pod strażą w którymś z pokoiów. Przy odrobinie szczęścia może odnajdą ich w jednej z szop.

Odległa błyskawica oświetliła na moment dwie wolno stojące komórki na tyłach domu. Obie znajdowały się niebezpiecznie blisko niego. W gołym oknie jednego z pokoiów Jake bez trudu rozpoznał Willarda Biggsa, siedzącego przy stole z czterema innymi mężczyznami. Wszyscy ściskali przy pierśiach karty. Stół był zaśmiecony puszkami po piwie, popielniczkami pełnymi niedopałków, resztkami podłego jedzenia.

- Poker - szepnął Jake.

Frank potwierdził mruknięciem.

Przywiązali pirogę pod osłoną kępy drzew i cicho wysiedli. Słyszeli z tej odległości pojedyncze słowa, od czasu do czasu dochodziły ich wybuchy śmiechu, ale nic sensownego nie byli w stanie zrozumieć. W pewnym momencie mężczyźni rzucili

karty i Biggs zgarnął pulę. Inny z graczy jął natychmiast tasować karty.

Jake stuknął Franka i wskazał komórki. Frank przytaknął głową.

Rozpoczęli od komórki stojącej dalej od domu. Nie miała okien, ale w ścianach między deskami były spore szpary. Zająwszy przez nie, rozróżnili zarysy narzędzi i maszyn. Jake miał małą latarkę, ale bał jej się użyć. Komórka zdawała się służyć za składzik. Dla pewności spróbował uchylić drzwi. Zamarł, bo zaskrzypiały na zardzewiałych zawiasach.

- Spokojnie - szepnął Frank. - Przy tym ryku muzyki nie usłyszysz nawet grzmotu.

Po sekundach napięcia Jake przyznał mu rację. Radio stało w oknie, nastawione na pełny regulator, tak że w domu słyszalna byłaby chyba tylko eksplozja. Jednakże po sprawdzeniu, że w komórce nikogo nie ma, Jake na wszelki wypadek podparł drzwi łopata, żeby zapobiec następnemu skrzypnięciu.

Druga komórka, stojąca bliżej domu, była w znacznie lepszym stanie. Nie miała jak poprzednia okien, a jej deski zachodziły szczelnie na siebie. Nie przenikał przez nie nawet zacinający deszcz.

- Wędzarnia - zaryzykował Frank.

Jake przytaknął rozpoznając dymny zapach węgla drzewnego. Biggs zapewne polował i wędził tu ubitą zwierzynę. Jake zastygł na chwilę w niepewności, co robić. Drzwi wędzarni znajdowały się od strony domu i padało na nie światło z pokoju, w którym mężczyźni grali w karty. O podejściu od frontu i zajrzeniu do środka nie było mowy. O zawołaniu czy zapukaniu w ścianę również.

- Będziemy musieli wyważyć z tyłu deskę - szepnął do Franka. - Widziałem w składziku łom.

- Tak, przyniosę go.

Poruszając się z zadziwiającą zręcznością jak na swój wzrost, Frank rozplątał się w ciemności.

Zostawszy sam, Jake znieruchomiał z pochyloną głową i dłonią przytkniętą do ściany. I wówczas to wyczuł. Jakieś poruszenie za ścianą. Równocześnie usłyszał metaliczne brzęknięcie. Z walącym sercem nastawił ucha, niepewny, skąd doszedł dźwięk.

U jego boku wyrósł Frank z wyciągniętym łodem. W drugiej ręce trzymał tęgi stalowy pręt. We dwóch powinni wyważyć jakąś deskę.

- Coś czy ktoś jest w środku - szepnął Jake, ledwo poruszając wargami.

Z trudem się powstrzymywał, żeby nie zawołać imion synów. Może to Michael? Albo Scottie? A może obaj? Czy też pies na łańcuchu? Po Biggsie można się spodziewać, że trzyma na uwięzi psa w ciemnej wędzarni. Ale gdyby to było zwierzę, z pewnością podniosłoby już alarm.

Wymacał między deskami szczelinę wystarczającą, żeby wsunąć płaski koniec łomu. Naparł całym ciężarem ciała i deska bez trudu odstała od belki tworzącej szkielet wędzarni. Wymienili z Frankiem tryumfalne spojrzenie.

Wewnątrz panowały egipskie ciemności. Nie było innej rady, jak zaświecić na moment latarkę. Szczęśliwie znajdowali się na tyłach wędzarni, niewidoczni dla grających w karty. Jake wyjął latarkę i błysnął przez szparę.

W ułamku sekundy dojrzał w okopconym wnętrzu obu swoich synów skulonych pod ścianą.

- Ci-i, chłopcy - syknął śpiesznie.

Z ledwością hamował przyływ uczucia, które go popychało, by paść na kolana. Radość, ulga, ból, gniew, wszystkie te uczucia



weszbrały w nim jednocześnie na widok synów. Michael zamrugał oślepiony i przygarnął odruchowo zaspanego Scottiego, który z kwileniem przywarł do piersi starszego brata.

Jake usłyszał ponownie metaliczne brzęknięcie, ale w ciemności nie odgadł jego znaczenia. Błysnął ponownie latarką i to, co zobaczył, przyprawiło go o furję, płomienną i dudniącą jak rozpędzony pociąg.

Jego synowie byli przykuci do ściany jak zbrodniarze.

- Spokój, Jake.

Syknięcie Franka przedarło się przez szum krwi w głowie Jake'a. Z wściekłością jął wyważać drugą deskę. Frank wcisnął w szparę pręt.

- Teraz - powiedział. - Napieraj łomem.

- Żyj! obaj - wymamrotał Jake w nieprzepatanej potrzebie potwierdzenia cudu i odepchnięcia potworności tego, co zobaczył.

- Dzięki Bogu.

Otwór był wciąż za mały, żeby Jake przy swoim wzroście mógł się precyzyjnie do środka. Owładnęło nim nieprzytomne pragnienie dotknięcia synów, porwania ich w ramiona i osłaniania, tak by nic im już nigdy nie zagroziło. Odrzuciwszy łom, jął ciągnąć trzecią deskę gołymi rękami.

W tym momencie muzyka zamilkła i skrzyp gwoździ wyrywanych z belki rozdarł noc jak krzyk. W domu zapadła chwila napiętej ciszy, po czym otworzyły się głośno drzwi i rozległo się ujadanie psa. Na werandę wyszedł Willard Biggs, rozejrzał się z wysokości.

- Kto tam jest?

Rachel zaciskała dłonie na kierownicy, żeby ukryć przed Toddem, jaka jest przerażona. Było zupełnie jak w tamtym jej

śnie. Bagna, bezkresne czarne rozlewiska, omszałe drzewa wyglądające jak sędziwe szare duchy. Bujna roślinność bagicenna zaczęła dawno zarastać prymitywną imitacją drogi i trudno się było dziwić, że nikt jej nie używa.

- Todd, jesteś pewien, gdzie się znajduje ten dom?

- Tak, pani Rachel. Wiem, że na to nie wygląda, ale to kilkaset metrów za tym zakrętem. Nie możemy dalej jechać, bo usłyszą auto.

Światła zgasili już dwie mile temu. Gdyby droga nie została kiedyś wysypana pokruszonymi białymi muszlami, niemożliwością byłoby jadąc nią nie wpaść w bagno. I tak Rachel z duszą na ramieniu posuwała się cal za cal. Teraz musi się zmobilizować i pójść dalej pieszo. Nie miała pojęcia, co zrobi, jeśli misja Jake'a i Franka się nie powiedzie, ale wiedziała, że musi być tam, gdzie stawką jest życie jej synów.

Zrobiła głęboki wdech, popatrzyła na Todda.

- Nie wolno ci się stąd ruszać, rozumiesz, Todd?

- Rozumiem.

Zaskoczyło ją to. Spodziewała się, że zechce jej towarzyszyć aż do celu.

- Dobrze. To ja pruję - powiedziała zapożyczając zwrot, który słyszała od Mike'a.

Sięgnęła do klamki, modląc się, żeby nie nastąpić na węża. Ale gdy tylko wysunęła z auta nogę, usłyszała nie dalej niż dziesięć metrów głośne chlupnięcie. Zdusiła okrzyk i zamknęła oczy, próbując powściągnąć szaleńcze bicie serca. Próżna nadzieja. Doznała już dzisiaj jednego cudu. Oczekiwanie, że na bagnach nie będzie groźnych stworów, równałoby się żądaniu drugiego cudu w jednym i tym samym dniu.

Wsunęła głowę do auta, skupiając w ciemności wzrok na niewyraźnej sylwetce Todda.

- Nie wolno ci się pod żadnym pozorem ruszać z auta, Todd - powtórzyła. - Wróć, jak będę mogła najprędzej.

- Nie ma sprawy - odparł beztrzesko, jakby go zostawiała samego w kinie, a nie nocą wśród bagien.

Nim zrobiła dwa kroki, wiedziała, że ta samotna wędrówka ciemną drogą przez błota pozostanie na zawsze najstraszliwszym doświadczeniem jej życia. Każdy dźwięk - pisk czy świst, kwilenie czy pluśnięcie - zapierał jej dech w piersi. Gdyby ślizganie się węża było słyszalne, z pewnością by je usłyszała. Nie jest zaradna i odważna jak jej siostry. Jest tylko matką, która idzie po swoich synów. Jedynie miłość do Scottiego i Michaela dodawała jej sił, żeby brnąć przed siebie prosto w paszczę koszmaru.

Zatrzymała się cała drżąca, nadstawiła ucha. Skądś dochodziła muzyka *country*. Widać jest niedaleko. Wyszedłszy w końcu zza zakrętu, o mało nie wydała okrzyku ulgi. Zobaczyła przed sobą zarysy domu.

Niemal w tej samej chwili dojrzała błysk latarki Jake'a za komórką stojącą w pobliżu - niebezpiecznie blisko! - domu. Obok stał Frank. Zatrzymawszy się w cieniu, Rachel śledziła z zapartym tchem, jak się natężają, żeby oderwać deski niewielkiej budowli. Widziała ich pośpiech. Czyżby w środku byli Scottie i Michael? Czy możliwe, żeby poszukiwania chłopców dobiegły końca? Zamknawszy oczy, wzniosła do nieba modlitwę.

Wybuch męskiego śmiechu przyciągnął jej wzrok ku domowi. Z miejsca, gdzie stała, trudno było ocenić, ile osób znajduje się wewnątrz, ale wyglądało, że są to głównie mężczyźni. Po chwili spostrzegła dwójkę dzieci i serce jej zamarało. „Boże, nie dopuść do nieszczęścia”. Stojąc tak i obserwując jak na filmie grozy, nie mogła z napięcia i strachu po-

wstrzymać szczekania zębów. W ustach miała suchość. Zwróciła wzrok z powrotem na komórkę i stwierdziła, że ruchy Jake'a zrobiły się gwałtowne. Zagryzłszy wargę, zastanawiała się, czy nie powinna im zasygnalizować swojej obecności. Nagle usłyszała za sobą szelest i zamarła z przerażenia.

- Ci-i, to tylko ja.

O mało nie zemdląta, kiedy obok niej wynurzył się z zarośli Todd. Bojąc się wydać dźwięk, posłała mu zamiast zdrowej reprimendy piorunujące spojrzenie. Wyszczrzył w odpowiedzi zęby i wzruszył ramionami z wdziękiem, jakim będzie się pewnie posługiwał z zabójczym skutkiem za parę lat, kiedy dorośnie.

Obrócili się oboje na szczekanie psa. Ku przerażeniu Rachel, w domu otworzyły się drzwi i na werandę wyszedł mężczyzna. Usłyszała jego wołanie.

- To Willard - szepnął Todd. - Usłyszał ich, cholera. Żeby nie zechciał zejść na dół.

Wzrok Rachel pobiegł ku Jake'owi i Frankowi, którzy zastylili w cieniu komórki. Odruchowo sięgnęła po rękę Todda, ale przejechała tylko dłonią po jego rękawie. Był dobre kilka kroków przed nią, nim się połapała, co zamierza. Z przeczuć nieuchronnej katastrofy patrzyła, jak się wynurza z osłony mroku i puszcza biegiem ku Biggsowi.

Przywarci do ściany komórki, obaj Jake i Frank klęli soczyście w duchu. Biggs kroczył już przez szerokość werandy, przy jego nodze biegł ujadając pies. Jake rozejrzał się rozpaczliwie za czymś, co by mogło odwrócić uwagę Biggsa. Dobry Boże, potrzeba mu było jeszcze paru minut dla uwolnienia chłopców. Chociaż bez odpowiednich narzędzi ten piekielny łańcuch może stanowić problem. Chciał w miarę możliwości uniknąć otwartego starcia z Biggsem i jego bandą. Rick Stre-

eter nie podziękuje mu za komplikacje, które, kto wie, czy nie postawią pod znakiem zapytania akcji na bazę Ramireza. Przebiegając w myśli ewentualności dalszego działania, jedną gorszą od drugiej, usłyszał niespodziewany głos.

- Cześć, Will. To ja, Todd.

Jake osłupiał na moment. Todd Stewart! Co on tutaj robi? Jakby wtórując jego myślom, Biggs warknął:

- A czego ty tu, u diabła, szukasz po nocy, gówniarzu!

Podsunawszy się do skraju komórki, Jake zobaczył, jak pies wrywa się Biggsowi i kieruje prosto na nich. Zesztywniał, jednakże Todd zrobił zwodniczo lekki rzut ciała i schwytał zwierzę za obrożę.

- To syn Hazel! - wrzasnął Biggs tak, żeby go słyszano w domu. Po czym zwrócił się do Todda: - Co cię tu przygnało?

- A-a, tak się włóczę - odkrzyknął Todd i, trzymając psa mocno za obrożę, ruszył naprzeciw Biggsa.

Frank, przywarty do ściany obok Jake'a, wypuścił wstrzymywany oddech, kiedy Todd wbiegł szybko po schodkach na werandę, niewątpliwie, żeby zapobiec zejściu Biggsa na dół. Byli teraz zbyt daleko, by dochodziło wiele z ich rozmowy.

- Jezuniu! - szepnął z uczuciem Frank, pełen podziwu dla przytomności umysłu Todda.

- No-o! - Jake się obrócił i przełożył nogę przez otwór, który zrobili w ścianie wędzarni. - Trzeba najpierw uwolnić Mike'a i Scottiego. Potem...

- Potem ja się zajmę Toddem - dokończył Frank tonem, z którego Jake wiedział, że nie ma co z nim dyskutować.

- Jak go stąd wydostaniesz, jeśli ja zabiorę auto?

- To już moje zmartwienie.

- Tatusiu...

Jake wciągnął spazmatycznie powietrze, schylając się, żeby przytulić Scottiego.

- Ci-i, jestem przy tobie synku. Wszystko będzie dobrze. Wracamy zaraz do domu.

Ściskając jedną ręką Scottiego, drugą objął Mike'a, który ze zdławionym łkaniem opasał go ramionami.

- Jake...

Jake skwitował kiwnięciem głowy nagłący szept Franka. Największe niebezpieczeństwo jest jeszcze przed nimi - wydostanie stąd chłopców. No, i Todda. Trzymając wciąż Scottiego, który mu zaplótł ręce na szyi, Jake się odchylił, żeby Frank mógł obejrzeć łańcuch przykuty do ściany.

- Masz jakiś pomysł?

Frank podniósł się na piętach.

- Spróbujmy ustawić odpowiednio łom i posłużyć się tym żelastwem jako młotkiem. Myślę, że jedno solidne uderzenie powinno wyrwać hacel.

- Masz chyba rację. Żeby oni tylko nastawili z powrotem to radio...

- Tato...

Objaj mężczyźni spojrzeli na Michaela.

- Scottie jest ze mną skuty. Nie możemy uciekać, dopóki nie uwolnicie nas z łańcuchów.

- Wiem, synu.

Poprawiwszy Scottiego w ramionach, Jake uniósł nieco jego nogę, żeby obejrzeć, jak jest skrupowana.

- Scottie ma małą nóżkę, więc mu założyli zwykłe kajdanki - poinformował Michael. Mówił szeptem, ale nie zdołał ukryć drżenia głosu. - Potem nas skuli ze sobą łańcuchem, owinęli nim dwa razy. Próbowałem na wszystkie sposoby, ale nie udało mi się sforsować zamków. - Powiódł bezsilnym

spojrzeniem po ciemnym wnętrzu, dając obu mężczyznom przelotny wgląd w to, co przeżył. - Nie było tu nic, czym bym się mógł posłużyć. Przykro mi, tato.

- Nie ma powodu, żeby ci było przykro, synu. - Wzruszenie ścisnęło Jake'owi tak gardło, że z ledwością wydobywał głos. - Nie ruszaj się przez chwilę, zaraz was obu uwolnimy. Wyślizgniemy się stąd bez problemu.

Scottie się poruszył, chcąc coś powiedzieć. Jake przyłożył mu czym prędzej palec do ust.

- Cii-cho, synku. Jak tylko wrócimy do auta, obiecuję, że pozwolę ci wszystko opowiedzieć.

Scottie kiwnął poważnie głową. Z oczami wbitymi w Jake'a, zapytał szeptem:

- Mike jest moim starszym bratem, wiesz?

Jake, zaciskając zęby, potwierdził skinieniem. Scottie podjął szeptem:

- Przyszedł mnie stąd zabrać.

- Wiem.

- Nie będziemy się nic bali, nawet jakbyśmy musieli uciekać po bagnach.

Jake przytulił go bez słowa, posyłając równocześnie starszemu synowi czułe spojrzenie, od którego tamten ukrył, zawstydzony, twarz.

- Jake, musimy się stąd zabierać - przypomniał Frank.

Jake opuścił Scottiego na ziemię. Wziąwszy od Franka łom, ustawił go w pozycji najdogodniejszej do uderzenia. W tym momencie, jak na komendę, ktoś włączył radio w polowie krzykliwej reklamy używanych aut.

- W samą porę - mruknął Jake.

Frank uderzył silnie prętem w górny koniec łomu i hacel odpadł od belki.

- Teraz łatwiejsza część.

Jake wyciągnął z kieszeni kluczyk, wsunął w zamek kajdanków. Jeden ruch i noga Scottiego była wolna. Usunięcie łańcuchów zajęło im więcej czasu, ale przy wspólnym wysiłku Jake'a i Franka chłopcy zostali w końcu wyswobodzeni z okowów, które ich unieruchamiały przez trzy dni przy ścianie. Jake wołał teraz nie pytać, ale w głowie kłębiły mu się rozmaite niewiadome. Czy chłopcy nie są głodni? Jak w tych warunkach załatwiali potrzeby naturalne? Czy przed pojawieniem się Michaela Scottie był zamykany sam w tej komórce, a jeśli tak, to na jak długo?

Stłumił kipiącą w piersi furję, świadom, że pierwszą rzeczą jest teraz wywieźć stąd chłopców. Ale nic go nie powstrzyma od osobistego dopilnowania, żeby Biggs zapłacił za cierpienia, jakie zgotował jego najbliższymi.

Przeciskali się przez otwór w ścianie, kiedy usłyszeli strzały.

- Co, u diabła?

Z domu buchnął nagle harmider, jaskrawe światło zalało cały teren. Na werandę wysypali się mężczyźni, którzy zbiegali po schodkach, naciągając koszule i zataczając się po pijanemu. Żaden nie rzucił okiem na komórkę, w której pozostawiali dwóch uwięzionych chłopców. Po drugiej stronie domu znajdowała się ścieżka, nie zauważona uprzednio przez Jake'a ani Franka. W ciągu minuty wszyscy mężczyźni zniknęli w tamtej stronie i wkrótce bujna roślinność pochłonęła wszelkie odgłosy. Tylko pies, ujadając wściekle, rzucił się w ich kierunku. Odciągnięty przedtem od obcych, których wyczuł, popędził teraz prosto na tyły wędzarni.

Jake, z wyciągniętym rewolwerem, wysunął się przed chłopców, żeby ich osłonić. Ale pies, wybiegłszy zza węgła,



zatrzymał się zdezorientowany, bo poskoczyli ku niemu obaj Michael i Scottie.

- Ja go uwięzę- oświadczył Mike.

Jake kiwnął głową i schował rewolwer do kabury. Pies najwyraźniej rozpoznał chłopców.

- Nie zapomnijcie o Toddzie.

Obrócili się wszyscy w zdumieniu, bo z cienia wynurzyła się Rachel.

- Rachel...

- Mamusia!

- Rany, pani Rachel!

Frank pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

- Pójdę po Todda. Coś mi się zdaje, że jest jedyną osobą pozostałą w domu. Oczywiście nie licząc tamtych dwojga dzieci.

- Dla bezpieczeństwa zabierz je także - poradziła Rachel.

Po czym, wyciągnąwszy ręce, wzięła od Jake'a Scottiego i wybuchnęła płaczem. Tuląc go do piersi, szepcząc raz po raz jego imię, ukryła twarz na jego brudnej, kochanej szyi.

# Milczenie nocy

17

Rachel nie spała. Leżała cicho na boku, wtulona w Jake'a, obserwując błyskawice rozjaśniające co jakiś czas okna. Zegar wybił godzinę.

Trzecia.

Po pierwszym froncie burzowym nadciągnął drugi i wiatr bił co chwila w okna strugami deszczu. Gwałtowne porywy targały palmami, niosły liście i śmiecie. Rachel poprawiła się trochę, wpasowując siedzenie w przód Jake'a. Uśmiechnęła się lekko, czując jego ciepłe zgrubienie. Jake westchnął przez sen, zaplótł ramiona ciaśniej na jej szyi i niemal natychmiast pogrążył się z powrotem w sen.

Jak on może spać, zastanowiła się Rachel. W jej głowie myśli wirowały jak unoszone wiatrem liście za oknami. Jej synowie są w domu!

Scottie! Zacisnęła powieki w żarliwym dziękczynieniu.

Michael! Gardło jej się ścisnęło.

„Dzięki Ci, Boże!”

Fakty otaczające zniknięcie Scottiego pozostawały jeszcze trochę zagmatwane, ale Michael wyjaśnił im z grubsza, co

zaszło. W gruncie rzeczy było to nieskomplikowane. W dniu porwania na sąsiedniej uliczce parkował wielki wóz meblowy. W trakcie początkowego dochodzenia Jake przesłuchiwał kierowcę, ale nic nie wskazywało, by cokolwiek łączyło go ze zniknięciem Scottiego. W całej sprawie nie było nic niezwykłego, nic podejrzanego. Wóz należał do wielkiej ogólnokrajowej firmy przewozowej, kierowca miał licencję i jak najlepszą opinię, tragarze byli miejscowi. I to się okazało słabym ogniwnem, bo wśród tragarzy znalazł się Willard Biggs.

Biggs od dłuższego czasu żywił urazę do wymiaru sprawiedliwości hrabstwa Kinard, gdzie odsiedział wyrok za wykroczenia, których nie uważał za przestępstwo. Kiedy Biggs się zorientował, że jednym z maluchów przyglądających się tamtego dnia przeprowadzce jest syn szeryfa Jake'a McAdama, postanowił skorzystać z okazji odegrania się na miejscowych władzach w ogólności, a na szeryfie w szczególności. Bez wiedzy kierowcy ukrył związanego i zakneblowanego Scottiego w tyle osiemnastokątowej ciężarówki, po czym przeszwarcował go do swego domu na bagnach, gdzie go puścił samopas, żeby sobie radził, jak potrafi, pospołu z jego własnymi zaniedbanymi dziećmi. Był to akt wyjątkowej złośliwości i nikczemności. Gdyby Scottie był starszy, mógłby próbować ucieczki, ale tak paraliżował go strach przed bagnami i ustawiczne groźby Biggsa. W rezultacie przez pół roku nie odszedł dalej niż dwadzieścia metrów od jego werandy.

Nagle ogarnięta potrzebą zobaczenia i dotknięcia jeszcze raz synka, Rachel wysunęła się cicho z łóżka, starając się nie obudzić Jake'a. Po raz nie wiadomo który przeszedł ją dreszcz na myśl o wszystkim, co mogło się wydarzyć podczas wyswobadzenia chłopców. Serce jej zamarło, kiedy rozległy się strzały. W chaosie, który nastąpił, Biggs z ludźmi swoimi i Rami-

reza ratował się ucieczką. Jake z Frankiem nie przegapili okazji. Jake zgarnął rodzinę i odjechał autem Rachel. Frank, z Toddem i dwójką dzieci Biggsa, powrócił pirogą. Te ostatnie spały teraz pod skrzydłami Jackie Kendall w izbie młodocianych. Todda zabrał Frank ze sobą do domu. Jake'a zaskoczyła sugestia, że Frank Cordoba byłby dla Todda wymarzoną opiekunem. Rachel uważała to za doskonały pomysł, sam Frank zaś zdawał się już niemal przekonany. Każdemu, kto tylko chciał słuchać, opowiadał entuzjastycznie o roli, jaką Todd odegrał w oswobodzeniu Michaela i Scottiego.

Narzuciwszy szlafrok, wyszła z sypialni. Na korytarz sączyło się przyćmione światło lampki nocnej w pokoju Scottiego. Był on początkowo trochę niespokojny, kiedy go ułożyła w łóżku, i Rachel chciała mu nawet pozwolić spać tej nocy z nią i Jake'em, ale odmówił dowiedziawszy się, że Mike nie będzie im towarzyszył. Starszy brat urósł już w jego wyobraźni do rozmiarów antycznego bohatera.

Rachel weszła do jego pokoju i zamarła. Łóżko Scottiego było puste. Z sercem bijącym jak oszalałe zawróciła, żeby zaalarmować Jake'a, zauważyła jednak zielonkawy poblask wydobywający się z pokoju Michaela. Światło akwarium, oczywiście. Zajrzawszy do środka, oparła się z ulgą o framugę. Scottie leżał skulony przy boku Mike'a.

Bezgłośnie podeszła do łóżka. Obaj chłopcy spali przy akompaniamencie bulgotania wody w akwarium. Z lekkim uśmiechem stwierdziła, że Michael ustąpił Scottiemu cennego miejsca od strony zbiornika. Pochyliła się z piekącymi oczyma, delikatnie przesunęła wystającą spod okrycia nóżkę i usiadła. Cała pościel jest już oczywiście rozkopana. Poprawiwszy ściągnięte prześcieradło, dotknęła policzka Scottiego, odgarnęła mu z oczu włosy. Musi go jutro zaprowadzić do

fryzjera, pomyślała, szczęśliwa, że czeka ją znowu to drobne matczyne zadanie. Scottie się poruszył, coś zamamrotał. Ze skurczem serca rozróżniła dwa słowa:

- Mike... Do domu...

Nowo pozyskany starszy brat zdominował już nawet jego sny, stwierdziła z melancholijnym uśmiechem. Zanurzwszy palce w jego jedwabistych włoskach, zastanowiła się nad jego snami. Czy śni mu się uwięzienie? Przybycie Michaela na ratunek? Gorączka ucieczki? Czy przeżyty koszmar będzie go dręczył przez resztę życia? Jak wynikało z relacji Michaela, Scottie bywał głodny i zmarznięty. Parę razy zamykano go z całym okrucieństwem w wędzarni, ale przykuto go dopiero razem z Michaeliem. Rachel pochyliła się i pocałowała gładki dziecięcy policzek. Dziękowała Bogu, że nie padł ofiarą innych niegodziwości, które mogłyby mu zwichnąć życie, przyprowadzić go o urazy trudne do przezwyciężenia.

Głaszcząc małą rączkę, wyciągniętą niewinnie nad główką, poprzysięgła w duchu, że uczyni wszystko, by koszmar, który ich omal nie zniszczył, scementował ich w rezultacie jako rodzinę. Czuła taką wdzięczność, że są w końcu wszyscy czworo razem. Odzyskała wiarę w siebie, w swoje małżeństwo, wstępowała w nią na nowo radość życia. Przesunawszy po raz ostatni pieścizotliwie po jedwabistych włoskach Scottiego, wstała i przeszła na drugą stronę łóżka.

Michael miał na sobie koszulkę, którą dostał od Jake'a tamtego pierwszego wieczora. Nie mogąc się oprzeć, dotknęła jego ciemnych włosów. Przyglądając mu się w świetle akwarium, stwierdziła, że przyjmuje jako rzecz naturalną jego podobieństwo do Jake'a. Podobieństwo pozostało, zmienił się jej stosunek i teraz Michael jest... po prostu Michaeliem.

Poruszył się i Rachel zdała sobie sprawę, że nie śpi.

- Pani Rachel.

Głos miał cichy, zaspany.

- Przepraszam, Michaelu. Nie chciałam cię obudzić.

- Nie szkodzi. Niepokoiła się pani pewnie o Scottiego?

- Tylko do chwili, kiedy go tu znalazłam.

- Bał się jeszcze trochę po tej nocnej jeździe przez bagna. No, i w ogóle... Zapomni szybko o wszystkim, zobaczy pani.

Roześmiała się cicho, usiadła na łożku.

- Wiemy to oboje, prawda?

- Tak jest, proszę pani.

Dotknęła jego policzka, objęła dłonią głowę.

- Ty też powinieneś spać, wiesz?

Przymknął oczy pod jej dotknięciem.

- Po tych wszystkich emocjach, rozumie pani...

Nie zdając sobie z tego sprawy, wysunął ramię, jakby dla zatrzymania jej pieśczoły. Rachel sięgnęła po jego dłoń, spłótła z nim palce i wymienili mocny uścisk.

- Tak się cieszę, że jesteś z powrotem w domu, Michaelu - powiedziała zdławionym głosem.

Nic nie odpowiedział, patrzył na nią tylko szeroko otwartymi, poważnymi oczyma. Ich dłonie pozostały splecione.

- Nie opuszczaj nas nigdy więcej. Choćby nie wiem, co zaszło. Bez względu na to, co zobaczysz czy co ci się wyda, że widzisz. Jesteśmy jedną rodziną, Michaelu. Ty, ja, Jake i Scottie. Nikt nie jest w stanie nam tego odebrać. Kiedy odchodzi ktoś, kogo kochamy, nic nie może zapełnić pustki, jaką pozostawia w naszym sercu.

Jej głos stapiał się z cichym bulgotaniem akwarium. Michael odwrócił śpiesznie wzrok, ale nie dość szybko, żeby ukryć łzy, które mu się kręciły w oczach.

- Obiecujesz mi to, Michaelu?
- Ta-ak.

Głos załamał mu się wysoką nutą. Rachel przyciągnęła ich splecione dłonie do ramienia, ścisnęła mocno.

- Dziękuję ci, że poszedłeś szukać Scottiego. Że go ochraniałeś, że mu pomagałeś pokonać strach. Ale gdybyś nie poszedł go szukać, też bym cię chciała za syna.

Michael zamrugał, próbując mężnie powściągnąć łzy, które mu wypełniły oczy. Rachel, sama z wilgotnymi oczami, posłała mu uśmiech.

- Co, czy jesteś już za dorosły, żeby mnie uściskać?

Schronił się w jej objęciach, jak by to była najnaturalniejsza rzecz w świecie. Bo była.

Starając się poruszać bezgłośnie, Rachel wsunęła się do łóżka koło Jake'a. Z sennym mruknięciem przyciągnął ją bliżej, wpasował się w jej kształty. Rachel, odprężona, rozkoszowała się bliskością jego ciała. Czuła się szczęśliwa i bezpieczna. Jego oddech poruszał jej włosy na karku. Myślała, że usnął z powrotem, kiedy się cicho odezwał.

- Gdzie byłaś?
- Zaglądałam do dzieci.
- I czują się dobrze?
- Yhm.

Poczuła na ramieniu pieszczotę jego ręki.

- A ty?

Odpowiedziała nie od razu. Przewróciła się na plecy, położyła mu głowę na ramieniu.

- Jestem dzisiaj chyba najszczęśliwszą kobietą na świecie, Jake.
- Obliczasz błogosławieństwa, jakie cię spotkały.

- Cuda, Jake. To był dzień cudów.

- Wiem, kochanie.

- Tyle rzeczy mogło się zdarzyć.

- Ale się nie zdarzyły.

- Myślałam, że zemdleję, kiedy Biggs wyszedł na werandę z psem. Dzięki Bogu, był Todd.

- Tak. - Jake się uniósł, żeby ją widzieć. - Chciałem z tobą właśnie o tym pomówić. Zdajesz sobie sprawę, jaki to był idiotyczny pomysł, żeby za nami pojechać do domu Biggsa? I ciągnąć ze sobą Todda? - Pokręcił głową. - Naraziłaś go na niebezpieczeństwo, Rachel. Samą siebie też.

- Miał na mnie czekać w aucie - odparła słabo, wiedząc, że zasłużyła na naganę. Nie za to, że uważała za swój obowiązek uczestniczyć w wyprawie po swoich synów, ale że naraziła Todda. - Bo co do mnie, to musiałam tam pojechać. I dobrze, że pojechałam. Nie zapominaj, że skorzystaliśmy z mojego auta, żeby się stamtąd bezpiecznie wydostać. Gdybyś musiał wracać do swojego, ktoś mógłby łatwo zostać postrzelony.

Jake chrząknął.

- Skoro o tym mowa, Rick Streeter jest wściekły z powodu tej strzelaniny.

- Co się właściwie stało? Mieli przecież czekać z rozpoczęciem akcji, aż uwolnicie Scottiego i Michaela.

- Nastąpił jakiś przeciek. Wskutek tego operacja nie zakończyła się takim sukcesem, jakim powinna. Skonfiskowali znaczną ilość kokainy i marihuany, zniszczyli laboratorium. Ale niestety Ramirez miał czas, żeby skrzyknąć ludzi. Kiedy tylko wypatrzyli federalnych, otworzyli ogień i udało im się uratować część zapasów.

- Ale jak?

- Wywieźli je pirogami, takimi samymi jak ta, którą po-



służyliśmy się z Frankiem. To cichy i szybki środek transportu. I nie sposób go wytropić. - Odgarnął jej z twarzy pasmo włosów, zatknął za ucho. - Mieli przypuszczalnie zaplecze gdzieś w głębi bagien i teraz pewnie lecą do St. Louis. Albo do Detroit. Albo do Nowego Jorku.

- I zabawa zacznie się od początku - westchnęła Rachel. Jake ją przyciągnął, splótł nogi z jej nogami.

- Niestety. Nie wrócą chyba do naszego hrabstwa, ale z pewnością kartel znajdzie sobie nową bazę. Jak długo jest zapotrzebowanie na nielegalne narkotyki, nie zabraknie ludzi pokroju Ramireza, którzy ich będą dostarczali. Ale przynajmniej zlikwidowaliśmy źródło zaopatrzenia naszego miasta i szkół. To coś jest.

- Dlaczego on to zrobił, Jake?

- Co zrobił? Kto, Ramirez?

- Nie, Biggs. Dlaczego porwał z domu rodzinnego małego chłopca? Jak mógł obojętnie patrzeć na strach, na zagubienie bezbronnego dziecka? Przecież Scottie musiał być śmiertelnie przerażony. Co sprawia, że człowiek staje się taki... taki nikkemny?

- Nie wiem, kochanie. Ale będzie teraz miał dużo, dużo czasu, żeby to przemyśleć.

Rachel się wstrząsnęła.

- Więzienie wydaje mi się niemal zbyt łagodną karą dla takiego człowieka. Nie będzie nigdy głodny ani zmarznięty, nie będzie nigdy przykuty...

Jake przytulił ją mocniej.

- Nie, nie będzie.

Leżeli przez chwilę w milczeniu, starając się odepchnąć ponure obrazy, które im niechybnie pozostaną w pamięci na resztę życia. Ale najstraszliwsze wspomnienia stanowiły nie-

wielką cenę za świadomość, że Scottie jest z powrotem w domu, zdrowy i cały.

- Nie jesteś dumny z Michaela? - spytała Rachel chcąc rozładować napięcie Jake'a.

- Ta-ak!

Nie widziała dobrze w ciemności, ale była pewna, że się uśmiechnął.

- Ja też.

Przesunął jej kciukiem po policzku.

- Prawdę mówiąc, przeczuwałem to.

- Myślę, że jego droga życiowa jest jasno zarysowana.

Dłoń Jake'a zamarła.

- Słyszałaś, jak mówił o podwójnym kamuflażu? Nie przypuszczałem, że w ogóle słyszał o czymś takim.

Rachel zachichotała.

- Nie możesz mu pozwolić spędzać tyle czasu u siebie w biurze. Mówię serio. Musi skończyć szkołę i college, zanim rozpocznie pracę w policji. Ale mówiąc między nami - ciągnęła poważniejszym tonem - zaimponował mi tym, czego się dowiedział będąc formalnie więźniem Biggsa.

- Tak. Ale naprawdę zdumiewająca jest beztroska Biggsa. Facet zawiadywał całą siatką małoletnich rozprowadzających narkotyki, od starszych klas szkoły powszechnej po liceum. Oczywiście Mike niektórych z nich zna.

- Między innymi synalka pastora Moody'ego.

- Trzeba było piramidalnej głupoty ze strony Biggsa, żeby załatwiać z nimi interesy na oczach Mike'a.

- Bądź co bądź, syna szeryfa - uzupełniła Rachel głaszcząc pierś męża. - A nawiasem mówiąc, teraz nie ma już chyba żadnych wątpliwości, jeśli w ogóle były, że pozostaniesz szeryfem, jak długo będziesz chciał.

Jake ze śmiechem podniósł jej dłoń do ust.

- Co za wiara!

- Może nie mam racji?

- Ale wracając do Mike'a... Myślę, że najbardziej doświadczony z moich wywiadowców nie wykonałby lepszej roboty niż on przez te parę dni uwięzienia.

Rachel wtuliła twarz w jego ciepłą pierś, pocałowała płaską męską sutkę.

- Musi być coś w genach.

Pierś pod jej ustami zabulgotała cichym męskim rechotem.

- Jestem bez spodni.

- Zauważyłam - odparła Rachel przesuwając się i kładąc na nim.

- A to co znowu? - Jake uniósł głowę, żeby jej popatrzeć w oczy. - To ta nowa odmieniona Rachel?

- Yhm. - Oparłszy się o jego barki, usiadła okrakiem. Zachichotała słysząc, jak głośno wciąga powietrze. - Podoba ci się?

Sięgnął obiema rękami i ściągnął jej przez głowę koszulę nocną. Pochyliwszy się z cichym kwileniem nad jego pierś, Rachel wsunęła jego pulsującą twardość w swoje miękkie wnętrze. Jake się uniósł, ujął jej głowę w dłonie, przywarł do jej warg. Wysunął język, całował ją namiętnie i łapczywie. Z jękiem opadł z powrotem na poduszki, pociągając ją za sobą. Ona to rozpoczęła, ale on nie myślał pozostać bierny. Pochyliwszy usta, pogłębił pocałunek, czyniąc go jeszcze bardziej szalonym, zapamiętałym. Zatracili się w nim oboje, upajając się słodyczą. Aż oszołomiony i bez tchu, Jake oderwał się od jej ust.

- Czy mi się po-do-ba? - wydyszał urywanymi sylabami.

- Jeszcze jak, panienko, jeszcze jak mi się podoba!

- Kocham cię, Jake.
- Och, prowadź mnie, maleńka.

Z uśmiechem opasała go ramionami i w uniesieniu zespała się z nim ruch po ruchu w rosnącej napiętności i rozkoszy. Wspólnota. Odnowa. Ekstaza. Wzbierało w niej to wszystko. Przepełniało ją szczęściem.

Za oknami burza przeszła w jednostajny szum deszczu. Grzmoty przetaczały się jeszcze, ale już gdzieś daleko, coraz dalej.

Kto by na to zwracał uwagę?